

D

NIE

3

OCALENIE

PISMA ZBIOROWE JOSEPHA CONRADA

(KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

Z PRZEDMOWĄ STEFANA ŻEROMSKIEGO

TOM XXI

O C A L E N I E

TOM I



WARSZAWA 1929

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

<http://rcin.org.pl>

JOSEPH CONRAD

OCALENIE

OPOWIEŚĆ Z PŁYTKIEGO MORZA

Z PRZEDMOWĄ AUTORA

CZĘŚĆ I, II i III

CZŁOWIEK I BRYG — WYBRZEŻE ZBIEGÓW
PORWANIE

INSTITUT
BADAN LINGWISTYCZNYCH
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68-83, 26-62-31 w. 42

WARSZAWA 1929

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

<http://rcin.org.pl>

TEUMACZYŁA Z ANGIELSKIEGO
ANIELA ŻAGÓRSKA



ODBITO 5250 NUMEROWANYCH
EGZEMPLARZY

№ 1940 *

497

Copyright by Aniela Żagórska Warsaw 1929
Prawa przedruków i przekładów zastrzeżone

Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie

<http://rcin.org.pl>

FRYDERYKOWI COURTLAND PENFIELDOWI

OSTATNIEMU AMBASADOROWI STANÓW ZJEDNOCZO-
NYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ W BYŁEM CESARSTWIE
AUSTRJACKIEM POŚWIĘCAM Z WDZIĘCZNOŚCIĄ TĘ
OPOWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW NA WSPOMNIENIE
POMOCY OKAZANEJ PEWNYM STROSKANYM PODRÓŻ-
NYM PODCZAS WIELKIEJ BURZY DZIEJOWEJ ROKU

1914

„ALLAS!“ QUOD SHE
„THAT EVER THIS SHOLDE HAPPE!
FOR WENDE I NEVER, BY POSSIBILITEE
THAT SWICH A MONSTRE OR
MERVELLE MIGHTE BE!“

THE FRANKELEYN'S TALE

PRZEDMOWA AUTORA

Z trzech długich powieści, które pisałem z przerwami, „Ocalenie“ musiało czekać najdłużej, aby los się nad niem zmiłował. Nie zdradzę tu żadnej tajemnicy, gdy stwierdzę że powieść ta czekała okrągłe lat dwadzieścia. Odłożyłem ją pod koniec lata 1898 roku, i również pod koniec lata roku 1918^{*} podjąłem znów pracę z silnem postanowieniem, że dotrę do końca, wspomagany nagłem poczuciem, iż wywiążę się dobrze z podjętego zadania.

Nie znaczy to jednak, abym je podejmował z radosną dumą. Zdawałem sobie sprawę wyraźnie — może aż nazbyt wyraźnie — z niebezpieczeństw takiej przygody. Zdumiewająca, serdeczna życzliwość, którą ludzie o różnych usposobieniach, rozbieżnych zapatrywaniach i rozmaitych gustach literackich okazywali memu dziełu przez lata, dała mi wiele, dała mi wszystko — prócz jednego: tej przesadnej pewności siebie, która może być czasem pomocną dla miłośnika przygód, lecz — na dłuższą metę — doprowadza ostatecznie do szubienicy.

Ponieważ szczerść jest rysem zasadniczym, który pragnąłbym przedewszystkiem nadać tym krótkim „przedmowom autora“, pisany dla pierwszego zbiorowego wydania mych dzieł, pośpieszam oświadczyć, że nie liczyłem wcale na swe mniemane zasługi, lecz na stałą życzliwość czytelników. Powiem odrazu, że moje nadzieje ziściły się w stopniu nie pozostającym w żadnym stosunku do tego, na co zasłużyłem. Spot-

kałem się z najwzględniejszą, najdelikatniej wyrażoną krytyką, wolną od wszelkiego antagonizmu i wykazującą w swych wnioskach głębię spojrzenia, która już sama przez się musiała głęboko mię wzruszyć, a łączyła się przytem z takim uznaniem, że poczułem się władcą bogactw przewyższających najśmielsze marzenia skąpca — mam na myśli skąpca artystę, który poszukuje skarbów w sercach mężczyzn i kobiet.

Nie! Mimo wszelkich uprzednich niepokojów ta przygoda nie miała się smutno zakończyć. Raz jeszcze śmiałość została przez los nagrodzona; a jednak nie zapomniałem nigdy żartobliwego tłumaczenia *audaces fortuna juvat* — tłumaczenia, które wuj mi przytoczył, gdy byłem jeszcze małym chłopczykiem: „Śmiałkowie dostają w skórę“. Nadmienił mi jednak przytem, że są różne rodzaje śmiałości. O tak, zaiste!... Jest naprzykład pewien jej rodzaj prawie równoznaczny z bezczelnością... Muszę uwierzyć, że w tym wypadku nie byłem bezczelny, ponieważ sobie nie przypominam abym dostał w skórę.

Faktem jest, że gdym odkładał pracę nad „Ocale niem“, nie skłaniała mnie do tego rozpacz. Wchodziło tu w grę kilka przyczyn, a główną z nich było napewno wzrastające poczucie trudności w ujęciu samego tematu. Treść i przebieg opowieści rysowały się jasno przede mną. Ale jeśli chodzi o samo przedstawienie faktów i może w pewnej mierze o ich rodzaj, nasuwało mi się dużo wątpliwości. Mam tu na myśli najbardziej uderzające, wymowne fakty, pomocne przy rozwijaniu tematu; chodziło mi o ujęcie ich w taki sposób, aby uczynić zbytecznem szczegółowe opracowanie atmosfery, mogące oddziałać ujemnie na akcję. Otóż zdawało mi się, że nie potrafię uniknąć nudy

w przedstawieniu szczegółów i w pogoni za jasnością Sam przebieg akcji widziałem dosyć wyraźnie. Lecz zatraciłem wówczas poczucie, jak znaleźć odpowiednią formę dla ujęcia tematu, formę jedynie właściwą. To osłabiło oczywiście moje zaufanie do istotnej wartości tej opowieści i do zajęcia, któreby mogła wzbudzić — w tej postaci, w jakiej ją pomyślałem. Ale podejrzewam, że w gruncie rzeczy na dzień tego wszystkiego leżała nieufność do mego stylu, nieufność do jego ścisłości, do władania barwą i cieniem.

Trudno wyrazić skomplikowany stan mych uczuć, jak je sobie przypominam; ale czytelnicy, którzy się interesują artystycznymi zagadnieniami, zrozumieją mnie najlepiej, gdy powiem że nie porzuciłem „Ocalenia“ aby się oddać beczynności, żalom lub marzeniom, ale by zacząć „Murzyna z załogi Narcyza“ — i nie ustawać w pracy bez wahań i bez przerwy. Porównanie którejkolwiek stronicy „Ocalenia“ z pierwszą lepszą stronicą „Murzyna“ może służyć za demonstrację jaką była istota, jakim było wewnętrzne znaczenie tego pierwszego kryzysu w mojem literackiem życiu. Gdyż był to istotnie kryzys. Odłożyć dzieło tak daleko już posunięte, to strasznie ciężka decyzja. Powziąłem ją pod presją nagłego przekonania, że to jest właśnie jedyna droga ratunku — jedyny sposób aby położyć kres wyrzutom sumienia. Gdy skończyłem „Murzyna“, poczucie spełnionego obowiązku podniosło mię na duchu, dając mi po raz pierwszy świadomość pewnego mistrzostwa — świadomość, że będę mógł czegoś dokonać z pomocą sprzyjających mi gwiazd. Jeśli nie powróciłem wówczas do „Ocalenia“, to nie dlatego abym go zaczął się bać. Umiałem już teraz przybrać stanowczą postawę i powiedziałem sobie z rozwagą: „Tamto może

poczekać“. A jednocześnie czułem z równą pewnością, że „Młodość“, opowiadanie, które miałem — że się tak wyrażę — na końcu pióra, czekać nie może. Nie mogłem również odłożyć „Jądra ciemności“, a to dla pewnego praktycznego powodu: p. W. Blackwood prosił, abym napisał coś dla tysięcznego numeru jego przeglądu; musiałem tedy odrazu zabrać się do tematu, który długo we mnie spoczywał; nie mogłem żadną miarą narazić na czekanie czcigodnego wydawnictwa, patriarchy liczącego tysiąc numerów. A potem znowu „Lord Jim“, którego prawie siedemnaście stron napisałem różnemi czasy, zwrócił się do mnie z nieodpartem wezwaniem. I tak każde pociągnięcie pióra oddalało mię od porzuconego „Ocalenia“, nie bez skruchy z mej strony, lecz ze słabnącym stopniowo oporem; aż wreszcie poddałem się zupełnie, jakby uznając jakiś wyższy wpływ, z którym walka jest bezcelowa.

Mijały lata; liczba stronic wciąż rosła, a długie zadumy, z których się te strony rodziły, rozpostarły się szeroko między mną a porzuconem „Ocaleniem“ — jak gładka, zamglona przestrzeń sennego morza. A jednak w gruncie rzeczy nie straciłem nigdy z oczu tej ciemnej plamki w mglistem oddaleniu. Zmniejszyła się znacznie, ale dawała znać o sobie, przyzywając mię dawnemi wspomnieniami. Zdawało mi się, że byłoby niecznie z mej strony, gdybym ten świat opuścił, zostawiając ową plamkę hen w dali, samotną, czekającą na znak losu, znak, który nie objawi się nigdy!

Uczucie więc, tylko uczucie — jak z tego widać — skłoniło mię ostatecznie do podjęcia trudów i ryzyka powrotu. Gdy ruszyłem zwolna ku porzuconemu zrębowi powieści, zamajaczył przede mną wysoko wśród lśniących płycizn wybrzeża, samotny, lecz nie odpy-

chający. Nie przypominał wcale posępnych szczątków okrętu. Tkwiło w nim utajone życie. Rozróżniałem jedną po drugiej znajome twarze, oczekujące mnie z lekkim uśmiechem zadowolenia, świadczącym że mię poznają. Wiedziały dobrze, że muszę do nich powrócić. Ale ich oczy patrzyły we mnie z powagą, czego się też należało spodziewać — ponieważ i ja sam byłem w bardzo poważnym nastroju, znalazłszy się znów między nimi po latach nieobecności. Odrazu, nie tracąc czasu, wzięliśmy się razem do pracy nad wskrzeszeniem naszego życia; i z każdą chwilą czułem silniej, że Ci co Czekali nie mają żalu do człowieka, który — choć nawędrował się ongi po szerokim świecie — raz tylko w życiu puścił się na wagary.

J. C.

1920.

CZĘŚĆ I
CZŁOWIEK I BRYG

Płytkie morze, które się pieni i szemrze u wybrzeży tysiąca wielkich i małych wysp Malajskiego archipelagu, było przez wieki widownią awanturnicznych przedsięwzięć. Wady i zalety czterech narodów uwydatniły się przy zdobywaniu tej krainy, która aż po dziś dzień nie została odarta z tajemnicy i romantycznego uroku swej przeszłości — a rasa ludzi, walczących ongi przeciw Portugalczykom, Hiszpanom, Holendrom i Anglikom, nie uległa zmianie mimo nieuchronnej klęski. Ci ludzie zachowali po dziś dzień umiłowanie wolności, fanatyczne przywiązanie do wodzów, ślepą wierność w przyjaźni i nienawiści — wszystkie swe skłonności zgodne z prawem lub prawu przeciwne. Kraj ich z lądu i wody złożony — gdyż morze było ich krajem tak jak i ziemia tych wysp — stał się łupem zachodniej rasy jako nagroda za większą siłę — jeśli nie za wyższą moralność. Praca naprzód cywilizacja zatrze jutro ślady długiej walki, dopełniając niezawodnego zwycięstwa.

Zdobywcy, którzy rozpoczęli tę walkę, nie mają już dziś następców. Pojęcia świata zmieniły się na to za szybko. Ale mieli naśladowców nawet jeszcze w drugiej połowie tego wieku. Widzieliśmy jak jeden z nich, prawie nam współczesny — rycerski awanturnik wierny swym porywom, człowiek o wielkiej duszy i szlachetnym sercu — oparł podwaliny kwitnącego państwa na gruncie współczucia i sprawiedliwości. Uznał po rycersku roszczenia zwyciężonych; był zdobywcą bezinteresownym, a nagrodą jego szlachetnych instynktów

jest cześć, z jaką obca a wierna rasa miłuje jego pamięć.

Choć nie zrozumiano go i zniesławiono za życia, chwała jego dzieła świadczy o czystości jego pobudek. Dziś człowiek ten należy do historii. Ale byli jeszcze inni — nieznani awanturnicy nie mający za sobą jego urodzenia, pozycji i inteligencji; podzielali tylko jego uczucia dla leśnego i morskiego ludu, który on tak głęboko znał i kochał. Nie można powiedzieć o tych ludziach, że zostali zapomniani, skoro nie znano ich nigdy. Ginęli w pospolitym tłumie kupców-żeglarzy archipelagu, a jeśli stawali się głośni, to tylko gdy ich skazywano za wykroczenia przeciw prawu. Roztrwonili życie dla sprawy, której nie wolno było istnieć w obliczu nieubłaganego, zorganizowanego postępu — roztrwonili swe bezmyślne życie, kierowane prostym uczuciem.

Lecz dla niewielu ludzi, znających tamte dzieje, ci marnotrawcy zabarwili romantyzmem krainę płytkich wód i wysp lasami okrytych, leżącą daleko na wschodzie między głębokimi wodami dwóch oceanów — i wciąż tajemniczą.

I

Z gładkiego błękitu morskiej płycizny dźwiga się Carimata, jałowa wyniosłość o szarem i żółtem zabarwieniu, o szczytach płowych i nieurodzajnych. Ku zachodowi widać Suroeton, oddzielony wąskim pasem wody, wysepkę o wygiętym zarysie przełęczą, podobnym do grzbietu pochylonego olbrzyma. A na wschód leży grupa drobnych wysepek, zatartych i niewyraźnych; mgliste ich kontury zdają się rozplýwać w gromadzą-

cych się cieniach. Noc postępuje od wschodu wślad za cofającym się słońcem, posuwa się zwolna, chłonąc ląd i morze; ląd poszarpany, udreńczony i stromy; morze równe, nęcące gładzią wygodnej, jednolitej powierzchni do wędrówek łatwych i nieskończonych.

Wiatru nie było i małyb ryg, który stał przez całe popołudnie kilka mil na północo-zachód od Carimaty, posunął się w tym czasie zaledwie o pół mili. Spokój był zupełny — martwy, tępy spokój, cisza martwego morza i martwego powietrza. Jak okiem sięgnąć panował bezwład. Nic się nie poruszało ani na ziemi, ani na wodzie, ani ponad niemi w niezamąconej wspaniałości nieba. Na równej powierzchni cieśniny bryg tkwił spokojny i prosty, jakby spojony na moc, kilem w kil, z własnym wizerunkiem, odbitym w olbrzymiem, nieobramionem zwierciadle morza. Na południe i wschód podwójne wyspy strzegły w milczeniu podwójnego okrętu, który zdawał się tkwić między niemi nazawsze — zwątpiały więzień bezruchu, nieporadny jeniec płytkiego morza.

Już od południa lekkie i kapryśne powiewy tych mórz rzuciły mały bryg na pastwę nierychłego losu; dziób statku obrócił się wolno na zachód, a koniec smukłej i wygładzonej rei bukszprytowej, wystający śmiało za wdzięcznie wygięty przód okrętu, godził w wieczorne słońce jak włócznia ważąca się wysoko w dłoni wroga. Z prawej strony juty, tuż przy kole, sternik malajski stał, wparłszy mocno nogi w kratę i tęgim chwytem trzymał szprychy pod kątem prostym, jak gdyby okręt żeglował pod sztormowym wiatrem. Sternik stał bez drgnienia jak skamieniały, gotów puścić w ruch koło natychmiast, gdy los pozwoli brygowi ruszyć w drogę przez oleiste morze.

Drugą ludzką istotą obecną wówczas na pokładzie był oficer pełniący służbę, biały człowiek niskiego wzrostu, krępy, o wygolonych policzkach, siwiejącym wąsie i twarzy powleczonej szkarłatem przez palące słońce i ostre, słone wiatry mórza. Zrzucił poprzednio lekką kurtkę i miał na sobie tylko białe spodnie i cienką perkalową koszulę; skrzyżowawszy na piersi krzepkie ramiona, wyglądające jak dwa grube kawały surowego mięsa, krążył po jucie od burty do burty. Na bosych nogach miał słomiane sandały a głowę osłaniał mu olbrzymi korkowy kapelusz — niegdyś biały lecz teraz bardzo brudny — który nadawał całej postaci wygląd dziwnego, poruszającego się grzyba. Niekiedy oficer przerywał swą niespokojną wędrówkę przez trap juty i stawał nieruchomo, utkwivszy niepewny wzrok w spokojnej wodzie, gdzie się bryg odbijał. Mógł widzieć także tam w dole swą głowę i ramiona wychylające się z nad burty; stał długo, jakby pociągnięty własnymi rysami i mruczał niewyraźne przekleństwa na ciszę, która leżała na statku jak niewzruszony ciężar — niezmierny i palący.

W końcu westchnął głęboko, zmusił się do wielkiego wysiłku, i oderwawszy się od burty, zdołał się dowlec w swych sandałach aż do stojaka z busolą. Tu zatrzymał się znowu, wyczerpany i znudzony. Z pod uchylonych szyb bliskiej luki świetlnej nad kabiną dochodziło nikłe ćwierkanie kanarka, które zdawało się sprawiać marynarzowi pewną przyjemność. Przysłuchiwał się, uśmiechnął się zlekka, szepnął: „Dicky, biedny Dick“ — i pograżył się znów w niezmiernej ciszy świata. Oczy jego zamknęły się, a głowa zwisała nad gorącym mosiądzem pokrywającym wierzch sto-

jaka z busolą. Nagle targnął się w górę i rzekł ostro zachrypłym głosem:

— Ty tam — śpisz, czy co? Ster na drugą stronę. Statek się cofa.

Malaj, bez najlżejszej zmiany w rysach czy pozie, jak gdyby był bezdusznym przedmiotem, powołanym nagle do życia przez ukryty czar tych słów, obrócił szybko koło, przepuszczając szprychy między rękami; a gdy ruch ustał ze zgrzytliwym hałasem, ujął je znów i trzymał ponuro. Jednak po chwili zwrócił z wolna głowę ku ramieniu, spojrzął na morze i rzekł upartym tonem:

— Nie chwycić wiatr — niema droga.

— Nie chwycić, nie chwycić — to wszystko co wiesz — burknął marynarz o czerwonej twarzy. — Chwytaj ręką za ręką, mój Ali — ciągnął z nagłą po-błażliwością. — Za chwilę schwycisz wiatr, a wtedy ster będzie narychtowany jak trzeba. Rozumiesz?

Nieczuły wilk morski zdawał się nic nie słyszeć i nic nie rozumieć. Biały popatrzył z niesmakiem na niewzruszonego Malaja, obrzucił wzrokiem horyzont, spojrzął znów na sternika i rozkazał krótko:

— Z powrotem ster. Czy nie czujesz powiewu od rufy? Stoisz jak malowany.

Malaj obrócił znów szprychy ze wzdorliwym posłuszeństwem, a człowiek o czerwonej twarzy skierował się ku przodowi, mrużąc coś pod nosem, gdy przez otwartą lukę świetlną dobiegło go wołanie: „Hej, wy tam na pokładzie!“ Stanął jak wryty, a wyraz jego twarzy zmienił się raptownie na uważny i pełen uprzejmości.

— Jestem, panie kapitanie — rzekł, pochylając ucho ku otworowi.

— Cóż tam się dzieje na górze? — zapytał głęboki głos z dołu.

Mężczyzna o czerwonej twarzy rzekł zdziwionym tonem:

— Słucham, panie kapitanie?

— Słyszałem jak obracaliście ster z burty na burtę. Co pan tam robi, panie Shaw? Czy wiatr się pokazał?

— Ta-ak — przeciągnął Shaw, wtykając głowę pod szyby i mówiąc do mroku w kajucie. — Zdawało mi się, że jest lekki wietrzyk, i — ale teraz już ustał. Nigdzie ani powiewu pod niebem.

Cofnął głowę i chwilę czekał przy luce, ale słyszał tylko ćwierkanie niestrudzonego kanarka, słabiuchny świegot, który zdawał się sączyć przez zwisające czerwone kwiaty geranji rosnące w doniczkach pod szybami. Odszedł powoli parę kroków dalej, kiedy głos z dołu zawołał prędko:

— Panie Shaw! Czy pan jest?

— Jestem, panie kapitanie — odrzekł, wracając.

— Czy ruszyliśmy z miejsca tego popołudnia?

— Ani na cal, panie kapitanie, ani na cal. Zupełnie jakbyśmy stali na kotwicy.

— To tak zawsze — rzekł niewidzialny Lingard. Głos jego zmieniał natężenie stosownie do jego poruszeń w kajucie i wybuchnął niebawem jasnym dźwiękiem w chwili gdy głowa Lingarda ukazała się nad zasuwą tambuczy. — Zawsze tak jest! Prądy zaczynają się dopiero gdy już ciemno i człowiek nie może zobaczyć na jakie paskudztwo woda go niesie, no a wtedy przychodzi wiatr. I to prosto od rufy — jakbym go widział.

Shaw wzruszył zlekka ramionami. Malaj u steru dał nurka w lukę świetlną kajuty aby spojrzeć na zegar, poczem pociągnął dwa razy mały dzwonek na

rufie. Natychmiast z przodu na głównym pokładzie rozległ się ostry, przeciągły gwizd, który zmiękł i zamarł w ciszy. Władca brygu wynurzył się z luki schodni na pokład, spojrzał w górę na skantowane reje i z progu ogarnął horyzont przeciągłym spojrzeniem.

Miał lat około trzydziestu pięciu, prosty był i gibki. Poruszał się swobodnie, raczej jak człowiek zwykły przemierzać równiny i wzgórza niż jak ten, który od najwcześniejszej młodości przywykł do przeciwdziałania nagłemu zgięciom ciała wznoszeniu się i chybotom ciasnego pokładu na drobnych statkach, miotanych kaprysami gniewnego lub rozigranego morza.

Miał na sobie popielatą flanelową koszulę, a białe jego spodnie przytrzymywała błękitna jedwabna szarfa, owinięta ciasno wkoło smukłych bioder. Wyszedł z kajuty tylko na chwilę, ale przekonaawszy się, że główny marsel rzuca cień na rufę, pozostał z gołą głową na pokładzie. Jasne, kasztanowate włosy wiły się zlekka na jego kształtnej głowie, a przystrzyżona broda mieniła się jaskrawo gdy mijał wąski pas słońca, jakby każdy jej włoszek był falistym i cieniuchnym złotym drucikiem. Usta Lingarda ginęły pod gęstymi węsami; nos był prosty, krótki, o lekko stępionym końcu; szeroki pas mocniejszej czerwieni leżał pod oczami i przylegał do kości policzkowych. Oczy nadawały twarzy szczególny wyraz. Brwi, ciemniejsze od włosów, kreśliły prostą linię pod szerokim, gładkim czołem, znacznie bielszem od ogorzałej twarzy. Siwe oczy, gorejące jak gdyby blaskiem ukrytego ognia, mieniły się czerwonymi błyskami, co nadawało badawczość i zapal spokojnemu ich spojrzeniu.

Ten człowiek tak dobrze niegdyś znany, a dziś zapomniany tak zupełnie wśród czarownic i nieczu-

łych brzości — płytkiego morza, miał wśród kolegów przewisko „Czerwonookiego Toma“. Dumny był ze swego szczęścia, ale bynajmniej nie ze swego rozsądku. Pysnił się swym brygiem, szybkością swego okrętu, który uchodził za najzwinniejszy statek na tych wodach, pysnił się także tem, co statek przedstawiał.

A bryg przedstawiał owoc szczęśliwej wyprawy na Wiktorjańskie pola złotodajne; przedstawiał przezorną wstrzeźliwość właściciela, długie dni snuty przezeń planów i miłującego trudu przy budowie; wielką radość lat jego młodych, niezrównaną wolność mórza; idealny — bo wędrowny — dom; niezależność, umiłowanie Lingarda — i jego troskę. Słyszał często jak ludzie mówili, że Tom Lingard nie dba o nic na świecie prócz swego brygu — i z uśmiechem poprawiał w myśli to zdanie, dodając że nie dba o nic *żywego* — prócz brygu.

Dla niego bryg był równie pełen życia jak i szeroki świat. Czuł jego żywotność w każdym ruchu, w każdym chybnieniu się, w każdym przechyleniu ostrokończastych masztów, tych masztów, których malowane gałki dla oczu żeglarza poruszają się wiecznie na tle chmur albo na tle gwiazd. Ten statek był mu zawsze drogim — jak dawna miłość; zawsze pożądanym — jak obca kobieta; zawsze pełnym tkliwości — jak matka; zawsze wiernym — jak ukochane dziecko męskiego serca.

Lingard stał nieraz godzinami z łokciem na burcie, z głową wspartą na dłoni i słuchał — słuchał w sennej ciszy pieszczotliwego i pełnego obietnic szeptu morza, które sunęło w szybko niknących bańkach wzdłuż gładkich, pomalowanych na czarno boków statku. Co

przewijało się w takich chwilach samotnej zadumy przez duszę tego potomka wielu rybackich pokoleń z wybrzeży Devonu — człowieka, który jak większość ludzi z jego sfery był głuchy na subtelne głosy świata i ślepy wobec tajemniczych jego przejawów — który zawsze był gotów zmierzyć się z konkretną rzeczywistością, bez względu na warunki jaknajbardziej nieoczekiwane, przerażające lub groźne, ale jak dziecko był bezbronny wobec ukrytych porywów własnego serca; jakie były myśli tego człowieka, gdy popadł w marzący nastrój — trudno powiedzieć.

Zapewne i jego — jak większość z nas — unosił niekiedy poryw budzącego się liryzmu w krainy czarujące, puste i niebezpieczne. Ale — jak większość z nas — nieświadom był swych bezpłodnych podróży ponad absorbującymi troskami tej ziemi. Jednak owe chwile, niewątpliwie bezsensowne i stracone, rzucały na powszednie życie tego człowieka coś nakształt gorejącej, pogodnej poświaty, która łagodziła kanty jego szorstkiej natury. Takie chwile zacieśniały więzy pomiędzy nim a brygiem.

Lingard zdawał sobie sprawę, że jego mały stateczek jest w stanie dać mu to, czego on sam nie mógłby uzyskać od nikogo i od niczego na świecie: coś, co stanowiło najistotniejszą jego własność. Zależność tego krzepkiego mężczyzny o tęgich kościach i mięśniach od posłusznej rzeczy z drzewa i żelaza, nabierała przez to jego poczucie tajemniczego dostojęstwa miłości. Statek miał wszystkie zalety żywej istoty: szybkość, posłuszeństwo, ufność, wytrzymałość, piękno, zdolność do działania i cierpienia — wszystko, prócz życia. Człowiek był natchnieniem tej rzeczy, którą uważał za najdoskonalszą w swoim rodzaju. Jego

wola była wolą statku, myśl — impulsem; to on tchnął weń życie. Lingard czuł to wszystko niejasno, nie wyrażając nigdy tego uczucia w bezgłośnej formule myśli. Jedyne jego ukochaniem był ten statek, bryg o objętości trzystu czterestu tonn — całe królestwo!

A teraz władca chodził miarowo po pokładzie swego królestwa — barczysty, z gołą głową. Stąpał rozkołysanym krokiem, machając swobodnie ramionami, jak człowiek wyruszający w pole na piętnastokilometrową przechadzkę; ale co dwanaście kroków musiał nagle zawracać i iść z powrotem aż do poręczy.

Shaw założył ręce za pas i wparł się obu łokciami w burtę; zdawało się że spogląda na pokład między nogami. W rzeczywistości zaś wpatrywał się w domek z malutkim frontowym ogródkiem, zagubiony w labiryncie nadrzecznych ulic na wschodnim krańcu Londynu. Shawa męczyła trochę okoliczność, że nie mógł dotychczas zawrzeć znajomości ze swym synem liczącym osiemnaście miesięcy — i to właśnie wywołało odlot jego fantazji w mroczną rodzinną atmosferę. Lecz był to spokojny lot, po którym nastąpił szybki powrót. Nim upłynęły dwie minuty, Shaw znalazł się znów na brygu — „w pogotowiu“ — jak zwykle mawiał. Pysnił się tem, że jest zawsze „w pogotowiu“.

W stosunku do majtków był porywczy i szorstko się do nich odzywał. Każdemu ze swych zwierzchników okazywał na zewnątrz tyle uszanowania ile tylko potrafił, wewnątrz zaś był z zasady wrogo względem nich usposobiony; tak rzadko który z kapitanów należał według niego do gatunku ludzi „w pogotowiu“.

Co się tyczy Lingarda, z którym pracował dopiero od niedawna — a dostał się na bryg w Madras Roads, rzuciwszy wskutek kłótni i bójki z kapitanem statek

wracający do kraju — otóż dla Lingarda miał dosyć dużo uznania, choć stwierdzał z żalem, że i ten szyperski — jak większość ludzi — miał pewne idyotyczne manje; Shaw określał je jako „kiełbie we łbie“.

Był to człowiek — wielu się takich spotyka — mający istotną wartość tylko dla siebie samego, i pozbawiony znaczenia poza tem, że pełnił obowiązki głównego pomocnika na brygu i był jedynym białym z załogi obok kapitana. Czuł się nieskończenie wyższym od żeglarzy malajskich, z którymi miał do czynienia, i traktował ich z wyniosłą pobłażliwością, choć był przekonany, że w razie czego okaże się dobitnie, iż wszystkie te draby nie są „w pogotowiu“.

Z chwilą gdy duch jego wrócił ze swego domowego urlopu, Shaw oderwał się od burty i posunąwszy się naprzód, stanął przy trapie juty, spoglądając wzdłuż sztymborku głównego pokładu. Lingard ze swej strony zatrzymał się także i patrzył przed siebie z roztargnieniem. Na śródkręciu, między wąskimi belkami przymocowanymi z każdej strony luki ładunkowej, mógł widzieć gromadkę ludzi przycupniętych wkoło drewnianej tacy naładowanej kopiasto ryżem i stojącej na świeżo zamiecionej podłodze. Milczący mężczyźni o ciemnych twarzach i łagodnych oczach siedzieli w kukki i pojadali godnie z przejęciem, które nie wyłączało powściągliwości.

Z całej gromadki tylko dwóch czy trzech miało sarongi, gdyż pozostali ulegli — przynajmniej na morzu — poniżającemu zwyczajowi: nosili europejskie spodnie. Dwóch siedziało na belkach. Jeden z nich — mężczyzna o dziecinnej, jasno-żółtej twarzy i zarozumiałym, głupkowskim uśmiechu pod kosmykami twardej, prostych wąsów, zabarwionych na kolor maho-

niu — był *tindalem* załogi — czemś w rodzaju pomocnika bosmena czyli *seranga*. Drugi, siedzący na bomie obok niego, był prawie zupełnie czarny, niewiele większy od dużej małpy, a pomarszczona jego twarz miała wyraz komicznej dzikości, która charakteryzuje często ludzi z południowo-wschodniego wybrzeża Sumatry.

Był to *kassab* czyli szafarz, piastujący godność wygodną i pełną dostojeństwa. *Kassab* był jedynym z spośród wieczerającej załogi, który zauważył obecność dowódcy na pokładzie. Szepnął coś do *tindala*; ten zsunął natychmiast na bok głowy swój stary kapelusz, który to bezsensowny gest nadał mu minę skończenie głupkowatą. Pozostali usłyszeli również szept *kassaba*, lecz w dalszym ciągu pożywiali się sennie, podnosząc pajęczymi ruchami chude ramiona.

Słońce znajdowało się mniej więcej o stopień nad horyzontem i z nagrzaney powierzchni wód lekka mgła zaczęła się podnosić; nikła mgielka niewidzialna dla ludzkiego oka, dość jednak silna aby zmienić słońce w czerwoną, rozżarzoną tarczę, pionową i gorącą, która staczała się powoli na kraniec poziomej i zimnej na pozór tarczy połyskliwego morza. Oba krańce zetknęły się i krągła przestrzeń wód nabrała nagle tonu mrocznego jak zmarszczenie brwi, głębokiego jak ponura zaduma o złem.

Zdawało się, że senne wody zatrzymały na chwilę spadające słońce, z którego strzelił ku nieruchomemu brygowi po ciemnej powierzchni morza szlak światła prosty i jaśniejący, równy i wspaniały, ścieżka ze złota, purpury i fioleto — olśniewająca i straszliwa — która prowadziła jak gdyby z ziemi prosto w niebo przez wrota chlubnej śmierci. Jaśniejący szlak zwolna

plował. Światło zostało pokonane przez morze. Wreszcie pozostał w oddali tylko szczątek słońca, jak czerwona iskra unosząca się na wodzie. Ociągała się jeszcze czas jakiś i nagle — bez ostrzeżenia — zagasła, jakby zduszona zdradziecką ręką.

— Zaszło! — krzyknął Lingard, któremu wymknęła się ta ostatnia chwila zachodu, choć cały czas patrzył bacznie na słońce. — Zaszło! Panie Shaw, popatrzno pan, która jest na zegarze w kabinie!

— Zdaje mi się, że czas prawie zupełnie się zgadza, panie kapitanie. Trzy minuty po szóstej.

Sternik uderzył ostro w dzwon cztery razy. Inny bosy majtek przesunął się po dalszej stronie rufy, aby zluzować człowieka przy kole, a *serang* brygu wszedł po trapie, gdyż miał objąć po Shawie pieczę nad pokładem. Podszedł do kompasu i czekał, stojąc w milczeniu.

— *Serangu*, weźmiesz kurs południowo-wschodni jak będzie wiatr — rzekł Shaw wyraźnie.

— Południowo-wschodni — powtórzył podstarzały Malaj z głęboką powagą.

— Dasz mi znać, gdy statek ruszy — dodał Lingard.

— *Ya*, tuan — odrzekł Malaj, spoglądając szybko na niebo. Wiatr się zbliża — mruknął.

— Ja też tak myślę — szepnął Lingard jakby do siebie.

Cienie gromadziły się szybko wkoło brygu. Mulat wytknął głowę z kajuty i zawołał:

— Gotowe, panie kapitanie.

— Panie Shaw, chodźmy coś przegryźć — rzekł Lingard. — Ale, ale, rozejrzyjno się pan przed zejściem nadół. Ciemno już będzie, gdy wrócimy.

— Z pewnością, panie kapitanie — rzekł Shaw,

biorąc lunetę i przykładając ją do oczu. — Cóż to za przekłeta sztuka — mówił urywanym głosem, majstrując przy szklach, wsuwając je i wysuwając — jakoś nie mogę — ani rusz. — No! utrafiłem nareszcie!

Obrócił się zwolna na pięcie, trzymając koniec rury na widnokręgu. Potem zamknął instrument z trzaskiem i rzekł stanowczo:

— Nie widać nic, panie kapitanie.

Zszedł nadół za Lingardem, zacierając wesolo ręce.

Przez długą chwilę milczenie panowało na rufie. Potem majtek u koła odezwał się sennie:

— Czy *malim* powiedział, że niema nic na morzu?

— Tak — mruknął *serang*, nie patrząc na stojącego za nim człowieka.

— Między wyspami była łódź — wyrzekł majtek bardzo cicho.

Serang stał wyprostowany i sztywny obok kompasu, z rękami splecionymi na plecach i zlekka rozstawionymi nogami. Jego twarz, którą trudno już było rozróżnić, nie wyrażała nic zgoła — jak drzwi kasy.

— Słuchajże co mówię — nalegał sternik łagodnym tonem.

Zwierzchnik nie poruszył się wcale. Wilk morski pochylił się nieco z wysokości kraty przy kole.

— Widziałem łódź — szepnął z odcieniem tkliwego uporu, jak kochanek błagający o łaskę. — Widziałem łódź. Hadzi Wasub! *Ya!* Hadzi Wasub!

Serang był ongi po dwakroć pielgrzymem i nie okazał się obojętnym na dźwięk należnego mu tytułu. Posępny uśmiech zjawił się na jego twarzy.

— Widziałeś pływające drzewo, o Sali — rzekł ironicznie.

— Ja jestem Sali, i moje oczy są lepsze od za-

czarowanej mosiężnej rzeczy, która rozciąga się na wielką długość — rzekł uparty sternik. — Łódź była tam, tuż za wyspą leżącą najdalej na wschód. Tam była łódź, a ci co w niej siedzieli mogli widzieć statek pod zachodnie światło — chyba, że są ślepcami zagubionymi na morzu. Widziałem łódź. Czy widziałeś ją także, o Hadzi Wasub?

— Czy ja jestem tłustym białym mężczyzną? — warknął *serang*. — Byłem człowiekiem morza przed twojem urodzeniem, o Sali! Mamy rozkaz milczeć i pilnować steru, aby okrętowi nie stało się nic złego.

Po tych słowach wrócił do swej nieugiętej wyniosłości. Stał z nogami nieco rozstawionymi obok kompasu, bardzo sztywny i wyprostowany. Oczy jego wędrowały nieustannie od oświetlonej róży kompasu do mrocznych żagli brygu i z powrotem, a ciało było nieruchome, jakby wycięte z drzewa i wbudowane w okręt. Tak to hadzi Wasub, *serang* brygu *Błyskawica*, pełnił kapitańską wachtę z wyteżoną i baczną gotowością — niestrudzony i czujny — niewolnik obowiązku.

W pół godziny po zachodzie ciemność objęła ziemię i niebo w niepodzielne panowanie. Wyspy rozplynęły się w nocy. A mały bryg, tkwiący tak spokojnie na gładkiej wodzie cieśniny, zdawał się spać głęboko, otulony wonnym płaszczem gwiazdnego blasku i ciszy.

II

Było wpół do dziewiątej, gdy Lingard zjawił się znów na pokładzie. Shaw — teraz już w kurtce — dreptał tam i z powrotem po rufie, ciągnąc za sobą

zapach tytoniowego dymu. Iskra zarząca się niejednolicie zdawała się biec w ciemności przed okrągłym żarysem jego głowy. Nad masztami brygu kopuła czystych niebios pełna była światła, które migotały jak gdyby pod wpływem potężnych oddechów, miotających tam wysoko płomieniami gwiazd. Zupełna cisza objęła pokłady, a gęste cienie zalegające statek miały wygląd tajnych zakątków, w których się kuliły postacie, czekające w głuchym milczeniu na jakiś fakt decydujący. Lingard potarł zapałkę aby zapalić cygaro; potężna jego twarz ze zmrużonemi oczami wystąpiła na chwilę z ciemności i znikła raptownie. Potem już dwie ciemne postacie i dwie czerwone iskry krążyły po rufie tam i z powrotem. Większe lecz bledsze i podłużne plamy światła od lamp kompasu leżały na mosiężnych okuciach steru i na piersi Malaja stojącego przy kole. Głos Lingarda, jakby niezdolny do opanowania olbrzymiej ciszy morza, zabrzmiał głucho i bardzo spokojnie, bez zwykłego głębokiego tonu.

— Niewiele się zmieniło, panie Shaw.

— Niewiele, panie kapitanie. Widzę już tylko wyspę — tę wielką — ciągle w tem samym miejscu. Przychodzi mi na myśl, że pod względem ciszy to jest psia oko-lica.

Rozciął na dwie części słowo oko-lica, przedzielając je dobitną pauzą. Takie ładne słowo. Zadowolony był z siebie, że przyszło mu na myśl. Ciągnął dalej:

— Więc — już od południa ta wielka wyspa —

— Carimata, panie Shaw — przerwał Lingard.

— Tak, panie kapitanie, właśnie — Carimata. Muszę zaznaczyć, że będąc obcym w tych stronach, nie wprowadziłem się w te wszystkie —

Chciał powiedzieć „nazwy“, ale zatrzymał się

ł zamiast tego rzekł: „miana“, wymawiając z lubością obie sylaby.

— W ciągu ostatnich piętnastu lat — ciągnął dalej — żeglowałem regularnie na dużych statkach linii wschodnio-indyjskiej. Czuję się bardziej u siebie tam — w zatoce.

Wyciągnął rękę w ciemność ku północo-zachodowi i patrzył z natężeniem w tym kierunku, jakby mógł dojrzeć z pokładu tę zatokę Bengalską, gdzie — jak twierdził — czułby się o tyle bardziej u siebie.

— Przyzwyczaj się pan szybko — mruknął Lingard, mijając swego pomocnika prędkim, rozkołysanym krokiem. Potem zawrócił i spytał ostro, idąc z powrotem:

— Mówił pan, że po zachodzie nie było nic widać na morzu?

— O ile mogłem dojrzeć, panie kapitanie. Kiedy o ósmej objąłem pokład, spytałem tego *seranga* czy co się nie pokazało; o ile zrozumiałem, odpowiedział, że akurat to samo jest na morzu co i przedtem, kiedy schodziłem o szóstej z pokładu. To morze bywa czasem bardzo puste, prawda, panie kapitanie? a tymczasem zdawałoby się, że o tej porze statki wracające z Chin do kraju powinny się trafiać często gęsto.

— Tak — rzekł Lingard — spotkaliśmy mało statków od czasu, gdy Pedra Branca została za rufą. Tak jest, morze było puste. Ale mimo wszystko, panie Shaw, to morze — nawet puste, — nie jest nigdy ślepe. Każda wyspa jest okiem. A teraz, odkąd nasza eskadra wyruszyła na chińskie wody —

Nie skończył zdania. Shaw włożył ręce do kieszeni i oparł się wygodnie plecami o pokrywę luki świetlnej.

— Mówią że będzie wojna z Chinami — rzekł plotkarskim tonem — i że Francuzi będą po naszej stronie, tak jak pięć lat temu na Krymie. Zdaje mi się, że coraz bardziej kumamy się z Francuzami. Nie mam o tem wyraźnego zdania. A co pan myśli, panie kapitanie?

— Spotykałem ich statki wojenne na oceanie Spokojnym — rzekł zwolna Lingard. — Statki były piękne a ludzie na nich obchodzili się ze mną dość grzecznie — i bardzo się interesowali tem co robię — dodał ze śmiechem. — Ale nie jeździłem tam aby z nimi wojować. Miałem wtedy stary zbutwiały kuter handlowy — ciągnął z ożywieniem.

— Doprawdy, panie kapitanie? — rzekł Shaw bez cienia zapału. — Żeby tak mieć duży statek — uważa pan, taki duży statek, z którym możnaby —

— A później już, przed kilku laty — przerwał mu Lingard — zaprzyjaźniłem się z francuskim szyprem w Ampanamie; było nas tylko dwóch białych w całym mieście. To był dobry chłop, i nie żałował swego czerwonego wina. Trudno było zrozumieć gdy mówił po angielsku, ale umiał śpiewać pieśni w swoim języku o ah-mur. Ah-mur, panie Shaw, to znaczy po francusku miłość.

— Aha — właśnie, panie kapitanie. Kiedy byłem drugim oficerem na barce sunderlandzkiej, w czterdziestym pierwszym, na morzu Śródziemnem, równie mi było łatwo władać ich mową jak, naprzykład, panu — pięciocalową cumą przerzuconą przez bok okrętu.

— Tak, to był człowiek jak się patrzy — ciągnął Lingard w zamyśleniu jakgdyby do siebie. — Nie znałem lepszego kompana do lądowych wycieczek. Miał

raz historję z dziewczyną z Bali, która rzuciła mu z progu czerwony kwiat; szliśmy właśnie złożyć uszanowanie bratankowi radży. Francuz był doprawdy bardzo przystojny — ale dziewczyna należała do bratanka radży — i zrobiła się z tego poważna sprawa. Stary radża rozgniewał się i powiedział, że dziewczyna musi umrzeć. Zdaje mi się, że bratankowi nie zależało specjalnie na tem aby ją zasztyletowali, ale stary zrobił wielką awanturę i posłał jednego ze swych głównych zauszników żeby tego dopilnować — a dziewczyna miała nieprzyjaciół; własni jej krewni byli przeciwko niej! Nie mogliśmy nic zrobić. Pomyśl pan, między nimi dwojgiem nie było nic prócz tego nieszczęśliwego kwiatu, który Francuz przypiął sobie do kurtki — a potem, po śmierci dziewczyny, nosił pod koszulą zawieszony na szyi w małym pudełeczku. Zdaje mi się że nie miał nic innego, w czemby to mógł nosić.

— Czyżby te dzikusy zabijały za taką rzecz kobietę? — pytał Shaw niedowierzająco.

— Oho! Oni tam są bardzo moralni. Wtedy to pierwszy raz w życiu o mało co nie rozpocząłem wojny na własną rękę. Nie umieliśmy trafić do przekonania tym ludziom. Nie można ich było przekupić, choć Francuz oddawał wszystko co miał najlepszego, a ja byłem gotów poprzeć go do ostatniego dolara, do ostatniego skrawka bawełny! Nic nie pomogło — tacy byli przekłęcie cnotliwi. No więc Francuz mówi do mnie: — Mój drogi, jeśli nie chcą przyjąć w darze naszego prochu, spalimy go i obdarujemy ich ołowiem. — Byłem uzbrojony tak jak pan teraz widzi: sześć osmiofuntowych armatek na głównym pokładzie i długa osiemnastofuntowa na przednim pomoście — a dalibóg chciało mi się ją wypróbować. Może mi pan

wierzyć! Ale Francuz miał tylko kilka starych muszkietów; te szelmy wykręcały się pięknymi słówkami — aż wreszcie pewnego dnia rano załoga łodzi ze statku Francuzą znalazła dziewczynę martwą na wybrzeżu. To pokrzyżowało nam plany. Dla niej wszystkie zmartwienia były już skończone, a żaden rozsądny człowiek nie będzie się bił za nieżywą kobietę. Ja tam nigdy nie byłem mściwy i — Bogiem a prawdą — przecież nie mnie rzuciła ten kwiat. Ale Francuza złamało to zupełnie. Zaczął się gryźć, nie robił żadnych interesów, i wkrótce potem odpłynął. Pamiętam, że z tej wycieczki miałem ładny kawał grosza.

Zdawało się że z temi słowami wyczerpały się wspomnienia Lingarda o owej wyprawie. Shaw stłumił ziewnięcie.

— Kobiety bywają przyczyną wielu kłopotów — rzekł beznamyślnie. — Przypominam sobie, że na *Morayshire* mieliśmy pasażera — starego pana — który opowiedział nam raz historję o starożytnych Grekach, co walczyli dziesięć lat o jakąś kobietę. Porwali ją Turcy czy też coś w tym rodzaju. W każdym razie walczyli w Turcji, w co mi łatwo uwierzyć. Ci Grecy i Turcy to ciągle się bili. Mój ojciec był pierwszym oficerem na trzypokładowcu w bitwie pod Navarino — wtedy właśnie gdyśmy szli na pomoc tym Grekom. Ale tamta historia o kobietę zdarzyła się długo przedtem.

— Naturalnie — mruknął Lingard, przechylając się przez balustradę i śledząc przelotne błyski, które migąły głęboko w wodzie wzdłuż dna statku.

— Tak. Świat się zmienił. W tamtych dawnych czasach ludzie byli jeszcze nieoświeceni. Mój dziadek był kaznodzieją, i choć ojciec służył w marynarce wojennej, nie trzymam za wojną. Bić się to grzech; tak

mówił staruszek i ja myślę taksamo. Chyba że z Chińczykami, czy murzynami, czy też wogóle z ludźmi, których trzeba ostro trzymać, albo którym nie można przemówić do rozumu, bo zamało mają sensu w głowie żeby pojąć co dla nich jest dobre, choć tłumaczą im to ludzie o wiele od nich lepsi — misjonarze i tym podobne powagi. Ale bić się dziesięć lat... I to o kobietę!

— Czytałem tę historję w jakiejś książce — rzekł Lingard; mówił wdół przechylony przez burzę, jakby spuszczał delikatnie słowa na morza. — Czytałem o tem. Ta kobieta była bardzo piękna.

— To jeszcze gorzej, panie kapitanie. Ręczę panu, że to była taka sobie nic potem. Te pogańskie czasy nigdy już nie wrócą, Bogu dzięki. Dziesięć lat mordów i nieprawości! I to wszystko o kobietę. Czyżby kto zrobił dziś coś podobnego? Czyby pan to zrobił? Czy pan —

Dźwięk dzwonu szarpniętego ostro przerwał przemowę Shawa. Wysoko w górze jakiś suchy blok piśnął krótko i rozpaczliwie niby z bólu. Ten dźwięk przeniknął spokój nocy aż do samego rdzenia i jak gdyby usunął powściągliwość, która hamowała głosy obu mężczyzn; zaczęli teraz mówić głośno.

— Spuść pan pokrywę na kompas — rzekł Lingard tonem zwierzchnika. — Świeci to jak księżyc w pełni. Należy pokazywać tylko te światła które są konieczne, gdy stoimy nocą tak blisko lądu. Nie trzeba aby nas widziano, gdy sami widzieć nie możemy — czy nie? Niech pan o tem pamięta, panie Shaw. Jakież włóczęgi mogą się tu wałęsać —

— Myślałem że skończono z tem raz na zawsze — rzekł Shaw, majstrując koło pokrywy — odkąd Sir

Thomas Cochrane ze swą eskadrą zrobił porządek przed kilku laty wzdłuż wybrzeży Borneo. Ten to się nawojował, co? Słyszałem o tem od chłopców z szalupy *Diana*, którą naprawiano w Kalkucie, kiedy tam byłem na *Warwick Castle*. Wzięli tu w tej okolicy jakieś królewskie miasto leżące wyżej nad rzeką. O nicem innem nie gadali.

— Sir Thomas sprawił się porządnie — odrzekł Lingard — ale upłynie jeszcze dużo czasu, zanim to morze będzie równie bezpieczne jak kanał angielski w czasie pokoju. Mówiłem o tem świetle głównie po to, aby pouczyć pana o wszystkim na co trzeba zwracać uwagę na tych morzach. Czy pan zauważył, jak mało statków malajskich widzieliśmy przez te wszystkie dni, co się — że tak powiem — włączymy po tem morzu?

— Nie mogę powiedzieć, panie kapitanie, abym przywiązywał do tego faktu jakieś specjalne znaczenie.

— To znak, że coś się dzieje. Kiedy się puści jakąś wieść na te wody, wędruje od wyspy do wyspy; nie trzeba na to żadnego wiatru, któryby ją pędził.

— Jestem sam marynarzem z głębokich wód i przez całe życie żeglowałem spokojnie z portów angielskich — rzekł Shaw z wielką rozważą — nie mogę więc twierdzić, że znam wszystkie szczególne właściwości tych okolic leżących poza uczęszczanymi drogami. Ale umiem pełnić wachtę w zwykły sposób i zauważyłem, że statki trafiały się rzadko w ostatnich dniach; zważywszy że prawie codzień mieliśmy ląd w pobliżu - to z tej, to z tamtej strony.

— Zapozna się pan prędko z temi szczególnymi właściwościami, jak pan je nazywa, jeśli pan pozostanie ze mną jakiś czas — zauważył niedbale Lingard.



— Mam nadzieję, że pan kapitan będzie ze mnie zadowolony, bez względu na to czy pozostaniemy razem długo czy krótko! — rzekł Shaw, podkreślając te słowa dobitnem ich wymawianiem. — Człowiek, który spędził na słonej wodzie trzydzieści dwa lata swego życia, nie może nic więcej powiedzieć. Byłem oficerem na statkach angielskich przez ostatnich lat piętnaście i nie znam się na pogańskich obyczajach tych tu dzikusów, ale jeśli chodzi o obowiązki marynarza, znajdzie mnie pan kapitan zawsze w pogotowiu.

— Z wyjątkiem — sądząc z tego, co pan mówił przed chwilą — z wyjątkiem jeśli trzeba będzie się bić — zaśmiał się Lingard.

— Bić się! Nie wiem o nikim, ktoby chciał się bić ze mną. Jestem spokojnym człowiekiem, panie kapitanie, ale gdyby co do czego przyszło, potrafiłbym walczyć równie dobrze jak każdy z tych płaskonosych drabów, którymi musimy się zadawałniać w braku porządnej załogi, złożonej z przywoitych chrześcijan. Bić się! — ciągnął z niespodzianą wojowniczością w głosie — bić się! Jeśli zjawi się ktoś, kto będzie chciał bić się ze mną, znajdzie mnie w pogotowiu — przysięgam!

— To doskonale. Doskonale — rzekł Lingard, wyciągając ramiona nad głowę i poruszając łopatkami. — Słowo daję, chciałbym już aby przyszła bryza i pomogła nam stąd się wydostać. Dosyć mi śpieszno, panie Shaw.

— Doprawdy, panie kapitanie; choć właściwie nie spotkałem jeszcze nigdy prawdziwego marynarza, którymby nie było śpieszno gdy o-brzydłe zakłęcie ciszy trzyma go za pięty. Jak przyjdzie bryza... niech pan posłucha, panie kapitanie!

— Słyszę — rzekł Lingard. — To krótka fala przypływowa, panie Shaw.

— I ja tak przypuszczam, panie kapitanie. Ale co za hałas. Rzadko kiedy słyszałem takie —

Na morzu pojawiło się w najdalszym polu widzenia pasmo kipiącej piany, podobne do wąskiej, białej wstęgi ciągniętej szybko po gładkiej powierzchni wody za dwa końce, zagubione w ciemności. Dotarło do brygu, przeszło pod nim, rozciągając się z obu stron — i z obu stron woda stała się hałaśliwą i rozbiła się na mnóstwo drobnych falek — mimikry niezmiernego wzburzenia. Lecz okręt wśród tego nagłego i głośnego zamieszania pozostał tak niewzruszony i spokojny, jak gdyby stał bezpiecznie uwiązany między kamiennymi ścianami zacisznego doku. Po krótkiej chwili smuga piany i szum, sunąc szybko na północ, znikły nagle dla wzroku i słuchu, nie zostawiając śladu na niezmożonej ciszy.

— Otóż to jest bardzo ciekawe — zaczął Shaw.

Lingard gestem nakazał mu milczenie. Zdawał się wciąż nasłuchiwać, jakby szum fal mógł odbić się echem, które spodziewał się usłyszeć. A męski głos, co przemówił na przodzie, miał w sobie istotnie coś z nieosobowego dźwięku głosów odbitych od twardych, wyniosłych skał i padających na puste przestrzenie morza. Głos odezwał się cicho w malajskim języku.

— Co tam? — zawołał Shaw. — Co takiego?

Lingard powstrzymał go, dotknąwszy jego ramienia, i ruszył żwawo naprzód. Shaw poszedł za nim zdziwiony. Szybka wymiana niezrozumiałych słów, rzucanych wtył i naprzód poprzez cienie głównego pokładu od kapitana do wartującego majtka i z powrotem, sprawiła że oficer uczuł się z przykro-

ścią wyłączonym z rozmowy. Lingard zawołał ostro na majtka:

— Co tam widzisz?

Odpowiedź natychmiastowa i szybka brzmiała:

— Ja słyszę, tuanie. Słyszę wiosła.

— Z której strony?

— Noc nas otacza. Słyszę je blisko.

— Ze strony bakortu czy szymborku?

Tym razem nastąpiła zwłoka w odpowiedzi. Na rufie pod tylnym pomostem zaszurały bosc nogi. Ktoś kaszlnął. Wreszcie głos na przedzie rzekł niepewnie:

— *Kanan*.

— Zawołaj pan *seranga*, panie Shaw — rzekł Lingard spokojnie — trzeba zebrać załogę. Porozkładali się wszyscy na pokładach. Uważaj pan teraz. Coś jest blisko nas. To nieprzyjemnie czuć się tak zaskoczonym — dodał z rozdrażnieniem.

Przeszedł na prawą stronę statku i stanął, nasłuchując z uchem zwróconem ku morzu, ująwszy jedną ręką więź tylną najwyższego masztu, ale nie mógł chwycić z tej strony żadnego dźwięku. Szaniec pełen był stłumionych szmerów. Nagle wzniosł się długi, ostry gwizd, rozebrzmiał głośno między płaszczyznami nieruchomych żagli i słabł stopniowo, jak gdyby wymknął się i uszedł, biegnąc po wodzie. Hadzi Wasub był już na pokładzie, gotów wykonać rozkazy białego Ciska zapadła na brygu; wreszcie Shaw odezwał się spokojnie:

— Pójdę teraz na przód, panie kapitanie, razem z *tindalem*. Jesteśmy wszyscy na stanowiskach manewrowych.

— Dobrze, panie Shaw. Bardzo dobrze. Uważaj pan, żeby nie dostali się na statek — ale ja nic

nie słyszę. Żadnego szmeru. To musi być coś małego.

— Temu człowiekowi przyśniło się z pewnością. Mam także dobre uszy, a —

Poszedł ku przodowi i koniec zdania zagubił się w niewyraźnym pomruku. Lingard stał, skupiwszy uwagę. Trzech majtków z dolnej wachty zjawiło się na tylnym pomoście i zakrzętnęło koło wielkiej skrzyni stojącej obok osłony kajutowego zejścia. Rozległ się grzechot i brzęk stalowej broni wydobywanej na pokład, ale ludzie nie zaszeptali nawet do siebie. Lingard patrzył spokojnie w noc, wreszcie potrząsnął głową.

— *Serangu!* — zawołał półgłosem.

Chudy, stary Malaj wbiegł po trapie tak zręcznie, że kościste jego stopy zdawały się nie dotykać schodów. Stał obok swego dowódcy z rękami założonemi za plecy — postać niewyraźna lecz prosta jak strzała.

— Kto stał na wachcie? — spytał Lingard.

— Badrun, Bugis — rzekł Wasub w swój ostry, szarpany sposób.

— Nie słyszę nic! Badrun słyszał hałas w swojej głowie.

— Noc kryje łódkę

— Widziałeś ją?

— Tak, tuanie. Mała łódka. Przed zachodem. Blisko lądu. Teraz kieruje się tutaj — jest już blisko. To ją właśnie słyszał Badrun.

— Więc dlaczego nie zameldowałeś? — spytał ostro Lingard.

— *Malim* meldował. Powiedział: „Niema nic“ — ale ja ją widziałem. Skąd mogłem wiedzieć jakie są jego myśli albo twoje, tuanie?

— Słyszysz co teraz?

— Nie. Zatrzymali się. Może zgubili z oczu okręt — kto wie? A może boją się —

— No, no—mruknął Lingard, poruszając niespokojnie nogami. — Zdaje mi się, że kłamiesz. Jaka to łódź?

— Łódź białych. Czterooosobowa, zdaje mi się. Mała. Tuanie, słyszę ją znowu! Tam!

Wyciągnął ramię w kierunku poprzecznym do statku, potem opuścił je z wolna.

— Zbliżają się z tej strony — dodał stanowczo.

Od przodu Shaw zawołał przestraszonym głosem:

— Coś jest na wodzie, panie kapitanie! Widać wyraźnie — przybija do przodu!

— Dobrze! — zawołał w odpowiedzi Lingard.

Bryła czarniejszego mroku pojawiła się przed jego oczami. Płynęły od niej po wodzie angielskie słowa wypowiedane z rozwagą, jedno po drugim, jakby każde z nich musiało torować sobie własną, uciążliwą drogę poprzez głęboką ciszę nocy:

— Co — to — jest — za — okręt?

— Angielski bryg — odpowiedział Lingard po krótkiej chwili namysłu.

— Bryg! Myślałem że wasz statek jest większy — ciągnął głos z morza z odcieniem rozczarowania w tonie pełnym rozwagi. — Wejdem na pokład, jeśli pan pozwoli.

— Nie! nie wchodź pan! — odrzyknął ostro Lingard. Powolne cedzenie słów przez niewidzianego człowieka wydawało mu się obrażającym i budziło nieprzyjemne uczucie. — Nie! nie wchodź pan, jeśli pan dbasz o całość swej łódki. Skąd się wzięliście? Kto jesteście? Ilu was tam jest?

Po tych dobitnych pytaniach nastąpiła chwila ciszy. Tymczasem zarys łodzi stał się nieco wyraźniejszy. Widać posunęła się jeszcze naprzód, gdyż zamajaczyła teraz większą sylwetą prawie nawprost miejsca gdzie stał Lingard. Spokojny głos dał się znów słyszeć:

— Pokażę panu.

Potem, znów po krótkiej przerwie, głos rzekł mniej głośno lecz bardzo wyraźnie:

— Uderz o burtę. Uderz mocno, Janie! — i nagle rozbłysło niebieskie światło, rozjaśniając sinym płomieniem okrągły płat ciemności. W dymie i szumie tej upiornej aureoli ukazał się biały czterowiosłowy gig z pięciu ludźmi siedzącymi rzędem. Głowy ich były zwrócone w stronę brygu i wielkie zainteresowanie malowało się na twarzach, które nabrały martwego wyglądu w tym blasku jaskrawym i ponurym, przypominając twarze zaciekawionych trupów. Majtek stojący na oku w przodzie łodzi upuścił w wodę światło, które trzymał nad głową i ciemność rzuciła się z powrotem na łódkę, chłonąc ją z głośnym i gniewnym sykiem.

— Jest nas pięciu — rzekł spokojny głos z głębi nocy, która wydała się teraz ciemniejsza niż przedtem. Czterech majtków i ja. Jesteśmy z jachtu — brytyjskiego jachtu.

— Niechże pan wejdzie na pokład! — krzyknął Lingard. — Dlaczego pan tego nie powiedział? Przepuszczałem że jesteście przebranymi Holendrami z waleśającej się kanonierki.

— Czy ja mówię jak parszywy Holender? Jeszcze jedno uderzenie, chłopcy. Wiosła złóż! Uważaj na dziób, Janie!

Łódka zbliżyła się, uderzając lekko o bryg i ludzki

kształt zaczął odrazu wspinać się po kadłubie z pewnego rodzaju masywną zręcznością. Przez chwilę utrzymywał się w równowadze na poręczy, mówiąc w dół do łódki: „Odbijcie cokolwiek, chłopcy“, poczem skoczył na pokład z głuchym łoskotem i rzekł do Shawa, który podszedł od strony rufy: „Dobry wieczór... Czy to pan kapitan?“

— Nie. Kapitan jest na jucie — burknął Shaw.

— Niech pan pozwoli tu na górę, proszę proszę — zawołał niecierpliwie Lingard.

Malaje zeszli ze swych stanowisk i stali koło głównego masztu, zbici w milczącą grupę. Ani jedno słowo nie rozległo się na pokładach brygu, gdy nieznajomy zdążył do czekającego kapitana. Lingard zobaczył krępego, zwinnego mężczyznę, który zbliżył się, dotknął czapki i powtórzył chłodno słowa powitania, cedząc sylaby:

— Dobry wieczór... Pan jest kapitanem?

— Tak, jestem kapitanem. O co panu chodzi? Zniosło was od statku? Co się stało?

— Nie! Nie zniosło nas. Opuściliśmy statek przed czterema dniami i od tego czasu wiosłowaliśmy prawie cały czas w zupełnej ciszy. Moi ludzie dłużej nie wytrzymają. Wody już nie mamy. To szczęście, że was wypatrzyłem.

— Wypatrzył pan nas! — wykrzyknął Lingard. — Kiedy? O której godzinie?

— Nie w ciemności, zapewniam pana. Tłukliśmy się między temi wyspami, kierując się na południe — wiosłowaliśmy aż nam płuca pękały — to w jednym przesmyku, to w drugim — chcieliśmy się wydostać na pełne morze. Objechaliśmy wkoło jakąś wysepkę — kawał jałowej skały w kształcie głowy cukru — i wtedy

dostrzegłem bardzo daleko statek. Wziąłem w pośpiechu jego kierunek i zabraliśmy się do roboty; ale wiadać jakiś przeciwny prąd musiał nas trzymać, bo długi czas nie mogliśmy oddalić się od tej wysepki. Sterowałem przy świetle gwiazd i — do djaska — zacząłem myśleć, że was gdzieś wyminąłem — bo to chyba napewno was dojrzałem.

— Tak, pewnie że nas. Nie widzieliśmy nic przez cały dzień — przyznał Lingard. — Gdzie wasz statek? — zapytał skwapliwie.

— Siedzi mocno i pewnie na ławicy miękkiego błota — ze sześćdziesiąt mil stąd — tak mi się zdaje. Jesteśmy drugą z kolei łódką wysłaną po pomoc. Rozstaliśmy się z tamtą pierwszą we czwartek. Musiała przejechać dziś na północ od was. Pierwszy oficer prowadzi ją i ma rozkaz dotarcia do Singapuru. Ja jestem drugim oficerem i zostałem wysłany w kierunku tej cieśniny na chybił trafił, aby złapać jakiś okręt. Mam list od właściciela. Nasi państwo są znudzeni tem siedzeniem w błocie i chcą pomocy.

— Jakaż pomoc spodziewał się pan tu znaleźć?

— Dowie się pan o tem z listu. Czy mogę pana prosić, panie kapitanie, o trochę wody dla chłopców w łódce? A i ja będę wdzięczny jeśli pan mi da się czego napić. Od południa nie przełknęliśmy ani łyku. Okazało się, że nasza beczka przecieka.

— Panie Shaw, proszę się tem zająć — rzekł Lingard. — Niechże pan zejdzie do kajuty, panie —

— Nazywam się Carter.

— Ach tak — panie Carter. Proszę, proszę — ciągnął Lingard, idąc naprzód po kajutowych schodach.

Steward zapalił wiszącą lampę i postawił na stole karafkę i butelki. Kajuta wyglądała wesoło; pomalo-

wana była na biało, a naokoło ścian biegły złote gzymsy. Naprzeciw zamkniętej kotarą niszy z oknami wychodzącymi na rufę stał kredens z marmurowym blatem, a nad nim wisiało lustro w złoconej ramie. Na półokrągłej kanapie naokoło steru leżały poduszki z karmazynowego pluszu. Stół był nakryty czarnym indyjskim obrusem haftowanym jaskrawymi kolorami. Między pokładnicami juty umieszczono stojaki na muszkiety, których lufy błyszczały w świetle. Było ich dwadzieścia cztery między czterema belkami. Tyleż bagnatów starego typu otaczało politurowane, tixowe obudowanie steru podwójnym pasem mosiądzu i stali. Wszystkie drzwi do kajut-kompanij były wyjęte z zawiasów i w odrzwiach wisiały tylko zasłony jak gdyby z żółtego chińskiego jedwabiu. Zatrzepotały nraz wszystkie cztery, gdy dwaj mężczyźni weszli do juty.

Carter objął wszystko jednym spojrzeniem, ale oczy jego przylgnęły do okrągłej tarczy zawieszonej ukośnie nad mosiężnymi rękojeściami bagnatów. Na czerwonym jej polu odcinał się wypukle jaskrawo złocony snop stylizowanych błyskawic, godzących przez środek tarczy ku dołowi między dwiema dużymi literami T. L. Lingard patrzył ciekawie na swego gościa. Miał przed sobą człowieka młodego lecz wyglądającego jeszcze młodziej, o chłopczej, gładkiej twarzy mocno opalanej, o błyszczących niebieskich oczach, jasnych włosach i małym wąsiku. Lingard zauważył przykuty wzrok gościa.

— Aha, patrzy pan na tę historyjkę. Dał mi to budowniczy tego brygu, najlepszy z ludzi jacy kiedykolwiek spuszczały okręty na morze. To ma przedstawiać nazwę okrętu między mojami inicjałami — błysk

piorunu — widzi pan? Bryg nazywa się *Błyskawica* a ja Lingard.

— Bardzo ładna rzecz: tak ozdabia kajutę — mruknął grzecznie Carter.

Wychylili szklanki, przepijając do siebie, i usiedli.

— A teraz proszę pana o list — rzekł Lingard.

Carter podał list nad stołem i rozglądał się dalej, podczas gdy Lingard wyjmował arkusik z otwartej koperty, zaadresowanej do komendanta pierwszego z brzegu brytyjskiego statku na morzu Jawajskim. Papier był gruby, miał wypukły nagłówek: „Szkuner-jacht Hermit“ i nosił datę z przed czterech dni. List donosił, że pewnej mglistej nocy jacht wjechał na jakąś mieliźnę w pobliżu brzegów Borneo. Łąd tam jest niski. Oficer nawigacyjny twierdzi, że statek osiadł na mieliźnie w czasie największego wiosennego przypływu. Wybrzeże wygląda w tem miejscu na zupełnie opustoszałe. Przez cztery dni — odkąd jacht tam ugrzązł — można było dojrzeć w oddali tylko dwa małe statki krajowców, które się nie przybliżyły. Właściciel brygu kończył list prośbą zwróconą do kapitana jakiegokolwiek statku wracającego do Anglii, aby doniósł o sytuacji brygu czy to władzom w porcie Anjer — gdy będzie przejeżdżał przez Sunda Straits — czy też pierwszemu lepszemu spotkanemu na drodze krążownikowi angielskiemu albo holenderskiemu. List kończył się wyrażeniem z góry podziękowaniem, propozycją zwrócenia kosztów związanych z wysłaniem posłańców z Anjeru oraz zwykłemi grzecznościami.

Składając zwolna papier w dawne załamki, Lingard rzekł: „Nie jadę ani do Anjeru, ani też w jego pobliże“.

— Zdaje mi się, że każde inne miejsce będzie równie dobre — rzekł Carter.

— Ale nie miejsce, dokąd jadę — odrzekł Lingard, otwierając list ponownie i zaglądając do niego z niepokojem. — Wybrzeże nie jest dokładnie opisane a podana szerokość geograficzna bardzo niepewna — ciągnął dalej. — Nie zdaję sobie sprawy, gdzieście właściwie utknęli. A jednak znam każdy cal tego lądu — w tamtej okolicy.

Carter odchrząknął i zaczął mówić po swojemu, cedząc sylaby. Zdawało się że wydziela skąpo fakty, że odsłania w oszczędnych słowach charakter wybrzeża, lecz każdy wyraz wykazywał drobiazgowość jego obserwacji i przytomny wzrok marynarza umiającego zdać sobie szybko sprawę z nieznanego lądu i nieznanego morza. Przedstawił z treściwą jasnością obraz płataniny skał i mielizn, przez które jacht przedostał się pociemku jakimś cudem, zanim się opał o dno.

— Zdaje się, że na morzu dosyć jest pogodnie — zauważył w końcu i zatrzymał się, aby pociągnąć długi łyk. Lingard, pochylony nad stołem, słuchał uważnie i skwapliwie. Carter mówił dalej po swojemu, zwięźle i rozważnie.

— Zauważyłem kilka wysokich drzew na wybrzeżu, które jest według mnie lądem — ku południowi; ktoś co ma coś do czynienia z tą zatoką był na tyle dowcipny, że pobieł parę z tych drzew: jedno na przylądku a drugie głębiej. Przypuszczam że to są znaki nawigacyjne... Co panu, panie kapitanie?

Lingard zerwał się na równe nogi, ale po wykrzyku Cartera siadł z powrotem.

— Nic, nic... Niech mi pan powie, ilu macie ludzi na tym jachcie?

— Dwudziestu trzech, poza chlebodawcami: właścicielem, jego żoną i jednym Hiszpanem — znajomym, którego zabrali w Manilli.

— Więc jechaliście z Manilli?

— Aha. Do Batawji. Właściciel nasz chce studjować holenderski system kolonjalny. Zamierza wykazać jego błędy. Pan wie jak to jest — nie można nie słyszeć wielu rzeczy, kiedy się trzyma wartę na rufie. Potem jedziemy na Ceylon na spotkanie parowca. Nasz właściciel wróci do domu tą samą drogą, którą przyjechał — łądem przez Egipt. A jacht, oczywiście, pojedzie naokoło przylądka.

— Więc tam jest kobieta? — rzekł Lingard. — Pan mówi, że macie na jachcie kobietę. Czy jesteście uzbrojeni?

— Nieszczególnie — odparł niedbale Carter. — Jest tam parę muszkietów i dwie myśliwskie strzelby na rufie. To mniej więcej wszystko; — zdaje mi się, że to albo za dużo albo za mało — dodał z lekkim uśmiechem.

Lingard spojrział na niego zbliska.

— Czy pan przyjechał z kraju na tym jachcie? — zapytał.

— Ależ nie! Nie jestem właściwie oficerem jachtowym. Dostałem się na ten jacht prosto ze szpitala w Hongkongu. Przedtem byłem dwa lata na chińskim wybrzeżu.

Zatrzymał się, poczem dodał szeptem wyjaśnienie:

— Uważa pan, służyłem na kliprach handlujących opium. Nie mam nic wspólnego z bronzowymi guzikami. Mój statek zostawił mię i potrzebowałem pracy. Wziąłem tę robotę, ale nie zależało mi specjalnie na tem aby wracać do domu. Taki jacht to nudziarstwo dla człowieka, który żeglował ze starym Robinsonem na *Ly-ee-moon'ie*. To był mój okręt. Słyszał pan o nim, panie kapitanie?

— Tak, tak — rzekł śpiesznie Lingard. — Niech pan posłucha, panie Carter — którędy pojechał wasz pierwszy oficer do Singapuru? Przez cieśninę Rhio?

— Tak mi się zdaje — odparł Carter nieco zdziwionym tonem — a dlaczego pan pyta?

— Poprostu żeby wiedzieć... A co tam, panie Shaw?

— Czarna chmura podnosi się od północy, panie kapitanie i zaraz będziemy mieli wiatr — rzekł Shaw, stojąc na progu.

Ociągał się z oczami zwróconemi na karafki.

— Napije się pan szklankę? — rzekł Lingard, podnosząc się z krzesła. — Idę na górę się rozejrzeć.

Poszedł na pokład. Shaw zbliżył się do stołu i zaczął przygotowywać sobie napój, manewrując butelkami w głębokiem milczeniu i z przesadną ostrożnością, jakby z kruchych naczyń odmierzał jakąś śmiertelną truciznę. Carter siedział z rękami w kieszeniach, oparty o tylną poręcz krzesła, i oglądał go chłodnym wzrokiem od stóp do głów. Pomocnik Lingarda podniósł szklankę do ust; wpatrzony z nad jej brzegu w nieznanomego, wysączył powoli zawartość.

— Pan to ma nosa do znajdowania pociemku okrętów, mój panie — rzekł dobitnie, stawiając szklankę na stole z niezmierną delikatnością.

— Co? Cóż to znowu? Zobaczyłem was zaraz po zachodzie.

— I wiedział pan dobrze, w którą stronę patrzeć — ciągnął Shaw, spoglądając ostro na Cartera.

— Patrzyłem na zachód, gdzie było jeszcze jasno, co każdy rozsądny człowiek zrobiłby na mojem miejscu — odparł tamten z pewną niecierpliwością. — O co panu właściwie chodzi?

— I ma pan obrotny język do rozprowadzania cudów o sobie — może nie?

— Nigdy nie widział podobnego człowieka — oświadczył Carter, wracając do niedbałego tonu. — Zdaje mi się, że panu coś nie w smak poszło.

— Nie lubię jak łódź zjawia się niewiadomo skąd chyłkiem milczkiem koło okrętu, kiedy jestem odpowiedzialny za pokład. Umieję trzymać straż równie dobrze jak i każdy inny marynarz z portów angielskich, ale nie znoszę aby mię podchodzono zapomocą obwiniętych wiosł i tym podobnych brzydkich kawałów. Oficer jachtu — ho, ho! Na tem morzu roi się pewno od takich oficerów. Uważam, że pan zrobił mi brzydki kawał. Powiedziałem staremu o zachodzie że niema nic na morzu — i rzeczywiście nic nie było. Jestem przekonany, że pan natknął się na nas przypadkiem — pomimo wszystkich pańskich przechwałek o zachodach i kierunkach. Bzdury! Wiem, że pan wpadł na nas na oślep, i to jeszcze z obwiniętymi wiosłami. Pan nazywa takie postępowanie przyzwoitem?

— Jeżeli obwinałem wiosła, to miałem ku temu wystarczające powody. Chciałem prześlizgnąć się koło zatoki, gdzie były przycumowane jakieś statki krajowców. To najzwyczajniejsza ostrożność, gdy się jedzie taką małą łódką — i to bez broni, jak ja. Widziałem was bardzo dobrze, ale nie miałem zamiaru nikogo straszyć. Mogę panu dać na to słowo.

— Czemuż nie trafiliście gdzieindziej — warknął Shaw. — Oświadczam panu, że nie zniosę aby zbieg okoliczności i czyjeś kłamstwa stawiały mię w złym świetle. Ale słyszę, że mój stary woła —

Opuścił śpiesznie kabinę; wkrótce potem Lingard zeszedł na dół i siadł znów naprzeciw Cartera po dru-

giej stronie stołu. Twarz jego była poważna i stanowcza.

— Zaraz będziemy mieli wiatr — rzekł.

— Zatem, panie kapitanie — rzekł Carter, wstając — zechce pan oddać mi ten list, a ja będę w dalszym ciągu krążył po tej okolicy aby porozumieć się z jakim innym okrętem. Ufam, że pan doniesie o nas tam, dokąd pan pojedzie.

— Jadę do jachtu i zatrzymuję list przy sobie — odparł stanowczo Lingard. — Wiem dokładnie gdzie się jacht znajduje i muszę jechać na ratunek tych ludzi. To bardzo szczęśliwie, że pan natknął się na mnie, panie Carter. Szczęśliwie i dla nich i dla mnie — dodał ciszej.

— Ta—ak — przeciągnął Carter z namysłem. — Niezła sumka mogłaby się panu okroić, gdyby pan nasz statek wyciągnął, ale nie zdaje mi się, aby pan mógł wiele pomóc. Lepiej pozostanę tutaj i będę się starał porozumieć z jaką kanonierką —

— Pan musi wrócić ze mną do swego statku — rzekł rozkazująco Lingard. — Niech pan się nie troszczy o żadne kanonierki.

— To nie byłoby wypełnieniem rozkazów, które otrzymałem — przekładał Carter. — Mam porozumieć się z okrętem wracającym do kraju albo ze statkiem wojennym — to jest zupełnie jasne. Nie mam wcale ochoty tłuc się całymi dniami po morzu w odkrytej łodzi ale — niech mi pan kapitan pozwoli napełnić beczkę świeżą wodą — czas mi w drogę.

— Głupstwo — rzekł ostro Lingard. Jedzie pan ze mną żeby pokazać to miejsce i — pomóc. Poholuję pańską łódkę.

Carter nie wyglądał na przekonanego. Lingard położył ciężką dłoń na jego ramieniu.

— Posłuchaj, mój młodzieńcze. Jestem Tom Lingard; niema ani jednego białego na tych wyspach — a krajowców bardzo niewielu — którzyby o mnie nie słyszeli. Moje szczęście naprowadziło pana na mój okręt — a teraz, gdy pana trzymam, musi pan zostać. Musi pan!

To ostatnie „musi“ zabrzmiało głośno i ostro jak wystrzał z pistoletu. Carter odstąpił wtył.

— Czy mam przez to rozumieć, że panby zatrzymał mię siłą? — zapytał przestraszony.

— Siłą? — powtórzył Lingard. — To zależy od pana. Nie mogę dopuścić, aby pan się porozumiał z jakimkolwiek innym statkiem. Pański jacht osiadł na mieliźnie w miejscu jaknajbardziej — dla mnie — nieodpowiedniem; a pańskie łodzie, rozesłane tu i tam, mogłyby mi sprowadzić pierwszą lepszą parszywą kanonierkę na miejsce, które było tak spokojne i zapadłe, jak tylko można sobie było życzyć. Że utknęliście właśnie w tym punkcie wybrzeża, to był mój pech. Ale na to nie mogłem nic poradzić. Zaś to, że pan trafił na mnie, jest mojem szczęściem. I trzymam je!

Spuścił zamkniętą pięść, wielką i muskularną, na czarną serwetę oświetloną lampą — aż szklanki zabrzękały — pięść o silnych palcach zaciśniętych mocno na twardych mięśniach dłoni. Trzymał ją tak przez chwilę, jakby pokazując Carterowi to szczęście, które postanowił zatrzymać. I ciągnął dalej:

— Czy pan wie, w jakie gniazdo szerszeni dostali się pańscy głupi towarzysze? Jak pan myśli, ile też życie ich jest warte w tej chwili? Ani złamanego szeląga, jeśli bryza zawiedzie mnie jeszcze przez drugie dwadzieścia cztery godziny. Niech pan wytrzeszcza

oczy ile się panu podoba, ale tak jest! I może być zapóźno już nawet w chwili, gdy tu rozprawiamy.

Uderzył kostkami zgiętych palców w stół i obudzil znów szklanki, które zadźwiękły jak cienki, żallosny finał jego słów. Carter stał oparty o bufet. Zdumiał go nieoczekiwany zwrot rozmowy; szczeka opadła mu zlekka a oczy nie schodziły ani na chwilę z twarzy Lingarda. Milczenie w kajucie trwało tylko parę sekund, ale Carterowi, który czekał z zapartym oddechem, wydało się bardzo długiem. I nagle usłyszał w tej ciszy po raz pierwszy wyraźne tykanie zegara — pulsujące uderzenia, jakby małe metalowe serce za cyferblatem spłoszyło się czegoś i dostało palpacji.

— Kanonierka! — zawołał nagle Lingard, jak gdyby ujrzał dopiero w tej chwili, w świetle jaskrawej błyskawicy myśli, wszystkie trudności położenia. — Jeśli pan nie wróci razem ze mną, to wkrótce nie pozostanie już nic do czego by pan mógł wracać. Pańska kanonierka nie znajdzie ani jednego wręga z kadłuba, ani jednego trupa zostawionego na znak nawigacyjny. Nic nie znajdzie. Nie kapitana kanonierki wam trzeba. Mnie wam trzeba. Pan waszego szczęścia nie widzi, ale ja widzę swoje szczęście — i niech pan posłucha —

Dotknął palcem wskazującym piersi Cartera i rzekł z nagłą łagodnością w głosie:

— Jestem człowiekiem białym i z wyglądu i z duszy; nie pozwolę aby niewinnym ludziom — i to kobiecie w dodatku — stało się coś złego, jeżeli mogę temu zapobiec. A jeśli ja nie zapobiegnę, nikt tego nie potrafi. Rozumie pan — nikt! Niema czasu na namysły. Jestem jak każdy człowiek godny tej nazwy, nie wypuszczę z rąk żadnego przedsięwzięcia póki je mogę utrzymać — a tak jest właśnie —

Ton jego był perswadujący, prawie pieszczotliwy; trzymał teraz guzik od kurtki Cartera i pociągał go zlekka, mówiąc dalej poufnie:

— Tak jak rzeczy stoją obecnie, panie Carter, prędejbym — że się tak wyrażę — zastrzelił pana tu na tem miejscu, niżbym pana wypuścił po to, aby pan podniósł alarm na całe morze o ten wasz głupi jacht. Muszę mieć wzgląd na życie innych jeszcze ludzi — i na przyjaciół — i na pewne obietnice — i — i także na siebie. Zatrzymuję pana — zakończył ostro.

Carter odetchnął głęboko. Obaj mężczyźni mogli słyszeć nad sobą na pokładzie ciche kroki, krótkie szepty, niewyraźne słowa mówione blisko luki świetlnej. Głos Shawa zabrzmiał głośno i burkliwie:

— Zwinąć górne marsle, *tindalu!*

— To ci dopiero dziwaczna historia — mruknął Carter, patrząc w podłogę. — Dziwny z pana człowiek. Zdaje mi się że trzeba wierzyć temu co pan mówi — chyba, że pan i ten pański pomocnik jesteście dwaj warjaci, którzy w jakiś sposób zawładnęli tym brygiem. Przecież ten człowiek tam na górze chciał wszcząć ze mną sprzeczkę o to, że znalazłem się tutaj, a teraz pan mi grozi, że raczej mnie pan zastrzeli niż stąd wypuści! Nie wiele sobie z tego robię, bo prędzej czy później wisiałby pan za to, a nie wygląda mi pan na człowieka, który ma skończyć w ten sposób. Gdyby to, co pan mówi, było prawdziwe choćby tylko w połowie, powinienbym wracać do statku tak prędko jak tylko się da. Wydaje mi się jednak, że pański przyjazd będzie dla jachtu małą pociechą — i że moja obecność może się tam na coś przydać. — To ci dopiero... Czy mogę jechać w swojej łódce?

— Jak pan woli — rzekł Lingard. — Zbliża się szkwał.

— Jestem na służbie i zmknę razem z mymi chłopcami. Niech pan nam da porządną, długą linę, panie kapitanie.

— To już zrobione — rzekł Lingard. — Wygląda pan na rozsądnego marynarza i chyba pan rozumie, że nicby z tego nie wyszło, gdyby pan chciał drapnąć przede mną.

— Jak na człowieka, który o byle co gotów jest strzelać, wydaje się pan bardzo ufnym — wycedził Carter. — Jeśli przetnę linę podczas szkwału, mam niejakie dane, że więcej pana nie zobaczę.

— Spróbuj pan tylko — rzekł sucho Lingard. — Są oczy na tym brygu, które zobaczą pańską łódź, kiedy pan nie będzie mógł dojrzeć okrętu. Pan jest z gatunku, który lubię, ale jeśli pan będzie chciał mię nabrać, to pana znajdę — a gdy pana znajdę, pójdzie pan na dno jak mnie pan tu widzi.

Carter klasnął ręką w udo, a oczy mu się zaświeciły.

— Ej do diabła! — zawołał. — Gdyby nie ludzie, których mam z sobą, spróbowałbym to zrobić dla kawału. Taki pan jest pewien siebie, panie kapitanie. Panby i świętego sprowokował do otwartego buntu.

Był znowu w dobrym humorze; parsknął śmiechem, ale wnet spowaźniał.

— Niech się pan nic nie boi — rzekł — nie wymknę się panu. Jeśli ma być jakaś bitka — o czym pan zdaje się napomyka — obiecuję panu że nie założę rąk — i...

Wyciągnął ramiona, spojrzał na nie, potrząsnął nimi zlekka.

— I ta para ramion przyda się także — dodał, cedząc słowa niedbale po swojemu.

Ale władca brygu, siedząc z łokciami opartymi o stół i twarzą w dłoniach, popadł nagle w zadumę tak głęboką i skupioną, że zdawał się nie słyszeć, nie widzieć, nie oddychać. Widok tego człowieka, pochłoniętego myślami tak zupełnie, zdumiał Cartera może bardziej jeszcze niż wszystkie inne wydarzenia tej nocy. Gdyby dziwny jego gospodarz rozwiął mu się nagle w oczach, nie czułby się bardziej nieswojo i samotnie w tej kajucie, gdzie wytrwały zegar wystukiwał bezużyteczne minuty ciszy, tak jak później miał mierzyć tym samym spokojnym rytmem bezcelową gwałtowność sztormu.

III

Poczekawszy chwilę, Carter udał się na pokład. Niebo, morze, bryg nawet, wszystko znikło w ciemności, która stała się nieprzenikniona, dotykalna i dusząca. Olbrzymia chmura zbliżyła się, biegnąc po niebie, jakby szukała małego statku, a teraz wisiała nad nim nieruchomo. Na południe widać było sinawą, drżącą jasność, nikłą i posępną, niby zanikające wspomnienie zatartego blasku gwiazd. Ku północy, jakby na dowód, że wszystko jest możliwe, niewiarogodnie czarna plama wystąpiła na potężnej czarności nieba, ciemniejsza jeszcze od tła — jądro zbliżającego się szkwału. Błyski na wodzie zagasły — i niewidzialne morze leżało naokół nieme i ciche, jakby skonało nagle z przerażenia.

Carter nie mógł nic dojrzeć. Czuł że naokoło ruszają się ludzie; słyszał ich w ciemnościach szepczą-

cych pocichu, jak gdyby powierzali sobie sekrety ważne lub haniebne. Noc zatarła nawet słowa, a tajemnica jej pochłoneła wszystko, każdy dźwięk nawet — nie ogarniając tylko niewiadomego, które zdawało się krążyć wkoło człowieka, by wyciągnąć zmienacką rękę w dotknięciu nagle, poufałem i przerażającym. Nawet beztroski młody ex-oficer ze statku handlującego opium nie mógł pozostać nieczułym na złowieszczość tej chwili. Co to za okręt? Co to za ludzie? Co się stanie jutro? Z nim, Carterem? Z jachtem? Uczuł nagle, bez żadnej innej przyczyny prócz tej ciemności, że zabrął w przykrą historję — i on i jego ludzie. To niewyrozumowane przekonanie sprawiło, że zachwiał się przez sekundę na nogach i chwycił mocno za zasuwę tambuczy.

Głos Shawa, który zabrzmiał na prawo tuż koło jego ucha, sprawił mu ulgę i rozjaśnił jego zmęczone myśli.

— Ach! to pan. Przyszedł pan tu nareszcie — rzekł zwolna pierwszy oficer. — Okazuje się teraz, że mamy pana holować. To jest najlepsze z tych wszystkich dziwacznych historyj. Jakaś tam łódka zjawia się cichaczem Bóg wie skąd, no i okazuje się — że to dawno oczekiwany przyjaciel! Bo przecież pan jest jednym z tych przyjaciół, których szyper miał spotkać gdzieś w tych okolicach. Prawda? No, no! Ja wiem więcej niż się panu wydaje. Czy pojedziemy teraz do — — no niechże pan powie — do... no, jakże tam... przecież pan wie?

— Tak. Wiem. A pan nie wie? — wycedził niewinnie Carter.

Shaw stał przez chwilę bardzo cicho.

— Gdzie mój szyper? — zapytał wreszcie.

— Zostawiłem go na dole — był w jakimś transie. Gdzie moja łódka?

— Pańska łódka jest za rufą. A mojem zdaniem jest pan równie niegrzeczny jak i niegodzien zaufania — jota w jotę — co panu już wykazałem.

Carter ruszył chwiejnie ku tylnej burcie i za pierwszym krokiem natknął się na kogoś, kto się usunął. Wydało mu się, że taka noc obniża wogóle poziom człowieka. Pomyślał że mógłby dostać po głowie od każdego, ktoby potrafił dzwignąć lewar. Czuł się dziwnie podrażniony. Nagle rzekł głośno, zwracając się do Shawa, gdyż przypuszczał że pomocnik gdzieś jest w pobliżu:

— A mojem zdaniem — i na pana, i na pańskiego szypra przyjdzie prędki i marny koniec, zanim —

— Myślałem, że pan już jest w swojej łódce. Czy pan zmienił zamiar? — spytał Lingard głębokim swym głosem tuż obok Cartera.

Carter ruszył poomacku, trzymając się burty, póki jego ręka nie natrafiła na linę, która w tej zupełnej ciszy zdawała się własnym impetem biec prosto w ciemność. Zakrzyknął na łódkę i usłyszał natychmiast szum wody ocierającej się o jej boki, gdy holowano ją prędko pod wychył rufy. Potem Carter zamajaczył na poręczy bezkształtną plamą i w następnej chwili znikł, jakby zapadł się w przepaść. Lingard usłyszał go mówiącego:

— Złap mię za nogę, Janie. — Głuchy łoskot rozległ się w łodzi i jakiś głos burknął: „Już dobrze“.

— Trzymajcie się zdaleka od wychyłu rufy — rzekł Lingard w noc spokojnym, ostrzegawczym głosem. — Bryg może się cofnąć dobry kawał, jeśli szkwał go nie pchnie porządnie.

— Dobrze, dobrze. Będę uważał — doszła z wody burkliwa odpowiedź.

Lingard przeszedł na lewą stronę i przypatrywał się spokojnie zbliżającej się mglistej masie koloru sady. Po chwili rzekł krótko: „Panie Shaw, niech pan przebrasuje na lewy ciąg“ — i zamilkł z twarzą zwróconą ku morzu. Dźwięk smutny i przerażający — jak westchnienie jakiejś olbrzymiej istoty, wędrujące przez bezgwiezdny przestwór — przewiał nad pionowemi, wyniosłemi masztami nieruchomego brygu. Rozległ się głośniejszy, potem umilkł nagle na chwilę, a wyprężone żagle statku zawibrowały śpiewną nutą w odpowiedzi na ten groźny pomruk wichru. Długie i powolne zakolebanie wzniosło poziom wód, jakby morze odetchnęło głęboko wśród niespokojnego oczekiwania. W następnej chwili olbrzymia zawierucha wyskoczyła z ciemności na morze, rozniecając na niem siną jasność piany, i pierwsze uderzenie szkwału wpadło na bryg wśród kołącego deszczu i śmigających bryzgów fal. Jakby unieruchomiony nagłością dzikiego napadu, statek stał przez sekundę wyprostowany, wstrząsając się potężnie od szczytu masztów aż do kilu, zaś wysoko wśród nocy słychać było gwałtowny grzechot i łopotanie niewidzialnych płótnisk.

Nagle rozległ się szybki, podwójny huk, jak strzały z armat, oba marsle wzdeły się odrazu i bryg przewrócił się szybko na bok. Shaw został rzucony na oślep na lukę świetlną, a Lingard, który objął ramieniem poręcz nawietrzną, czuł że statek pod jego nogami porywa się i biegnie gładko naprzód, a pokład staje się mniej pochyły: szybkość brygu zmniejszyła się nieco i sfołzał przemożny napór wiatru na powierzchni napiętych żagli. Tylko piękno linii małego

okrętu i doskonały kształt jego kadłuba ocaliły żagle, a może i maszty, umożliwiając zwinnemu statkowi dzwignięcie się z tak błyskawiczną szybkością. Lingard odetchnął głęboko i krzyknął tryumfująco do Shawa, który walczył z wiatrem i deszczem u boku dowódcy:

— Wytrzyma. Zachować wszystkie żagle.

Shaw usiłował coś powiedzieć. Połykał mnóstwo letniej wody, którą wiatr wpędzał mu do gardła. Bryg zdawał się żeglować skroś rozkołysanych fal, co przepływały, sycząc, między masztami i pędziły po pomostach ze wściekłym pędem i hałasem wodospadu. Z każdej rei i każdej liny lały się poszarpane płachty wody, śmigając ku stronie podwierznej. Przemoczony potop zdawał się trwać już wieki; w pewnej chwili stał się nie do zniesienia — i nagle ustał. W parę minut ulewa przebiegła przez bryg całą swą długością i można ją było teraz widzieć jako prostą, szarą ścianę, odchodzącą w noc pod dzikiemi szeptami rozpraszających się chmur. Wiatr pofolgował. Na północy, nisko w ciemnościach, trzy gwiazdy ukazały się rzędem, zjawiając się i niknąc między grzbietami bałwanów, jak dalekie głowy pływaków wśród nadbrzeżnych fal; a cofająca się krawędź chmury, zupełnie prosta od zachodu aż po wschód, sunęła po kopule nieba niby olbrzymia, półkolista, żelazna kurtyna opadająca gładko, jakby wprawiona w ruch przez jakiś potężny mechanizm. Ożywcza i przenikliwa świeżość płynęła wraz ze skrzeniem światła przez wzmożoną wspaniałość niebios, wzniosłą, czystą i dziwnie zdumiewającą — jak gdyby jakiś nowy świat został stworzony podczas krótkiego przelotu burzliwej chmury. Był to powrót do życia, powrót do przestrzeni; zdawało się że ziemia

wychodzi z pod całunu, aby zająć swe miejsce w spętowanym, olbrzymiem roziskrzeniu wszechświata.

Bryg o lekko skróconych żaglach biegł swobodnie pod marslami, — kliwrem i sztakslem — roztrzając z pogardą burzliwą cizbę hałaśliwych i podnieconych fal. W miarę jak statek posuwał się szybko naprzód, rozwijał za sobą na tle niespokojnej ciemności morza szeroką wstęgę kipiącej piany, usianej nakształ błędnych ogników błyskami ciemnych kręgów wymykających się z pod steru. Daleko za rufą, u końca liny — nie grubszej od czarnej nitki — która nurzała niekiedy długą, wygiętą linję w rozpryskującej się pianie, można było dostrzec przedmiot podobny do zabawki, wydłużony i ciemny, pędzący za brygiem przez śnieżną białość jego szlaku.

Lingard poszedł na rutę i trzymając oburącz tylną poręcz, wypatrywał skwapliwie łódki Cartera. Uspokoił się na pierwszy rzut oka, widząc że gig jachtu sunie lekko u końca długiej liny, i odwrócił się aby spojrzeć spokojnym wzrokiem ku przodowi i stronie podwietrznej. Było wtedy punktualnie wpół do pierwszej i Shaw, zluzowany przez Wasuba, zszedł na dół. Przed odejściem rzekł do Lingarda: „Pójdę sobie, panie kapitanie, jeżeli pan nie zamierza podnieść więcej żagli“. „Jeszcze nie w tej chwili“, odrzekł Lingard, bardzo czemś zaprzątnięty, wobec czego Shaw oddalił się, zmartwiony tem że się marnuje okazja, pozwalająca wyzyskać pomyślną bryzę.

Na głównym pokładzie ciemnoskórzy ludzie, których odzienie przylegało do drżących członków, jakby skapali się w morzu, skończyli zwijać brasy i porządkować takelunek. *Kassab*, przymocowawszy do kołka fały marsrei, wkroczył na śródokręcie, kierując się ku

rzędowi ludzi, którzy stali beczynnianie oparci plecami o bok szalupy w połowie dłużni okrętowej. Przeszedł obok nich, patrząc zbliżka w tępe twarze. Posunęli się; zajął miejsce u końca szeregu.

— Deszcz był wielki a wiatr potężny, o ludzie — rzekł tonem wyroczni — ale żaden wiatr nie uszkodzi tego okrętu. Wiedziałem o tem, stojąc i pilnując żagla, który jest powierzony mej pieczy.

Głuchy, bezbarwny pomruk rozległ się wśród Malajów. Z nad nawietrznej poręczy olbrzymi bałwan rzucił im w oczy garść ciężkich kropel kłujących jak grad. Podniosły się ciche jęki pełne oburzenia. Jeden z ludzi westchnął. Inny zaśmiał się spazmatycznie przez szcękające zęby. Żaden nie odszedł. Mały *kassab* obtarł sobie twarz i ciągnął dalej bezdźwięcznym głosem przy akompaniamencie syczącego szumu fal, które pędziły miarowo ku rufie wzdłuż boków okrętu.

— Czyście słyszeli jak biały wołał na wiatr — głośniej od wiatru? Ja słyszałem, bo byłem blisko przodu. A i przedtem, w ciągu wielu lat, które przesłużyłem u niego, słyszałem często jak krzyczał czarodziejskie słowa oddalające niebezpieczeństwo. *Ya-wa!* To jest prawda. Spytajcie Wasuba, który jest hadżim tak jak i ja.

— Widywałem statki białych z połamanami mastszami — rozbite jak i nasze *prao* — zauważył smutnie wysmukły, chuderlawy Malaj, który trzął się obok *kassaba*, zwieszając głowę i usiłując objąć swoje łopatki.

— To prawda — przyznał *kassab*. — Oni wszyscy są dziećmi szatana, ale na niektórych spływa więcej łask. Dobrze jest słuchać takich ludzi na morzu lub w bitwie. Widziałem tego, który tu jest panem, jak walczył z dzikimi ludźmi co jedzą swych nieprzyja-

ciół — daleko na wschodzie — i u jego boku zadawałem ciosy bez trwogi; gdyż czary, które z pewnością posiada, osłaniają także służących mu ludzi. Jestem prawowiernym i Ukamienowany nie może dotknąć mego czoła. Jednak nagroda za zwycięstwo przychodzi i z rąk przeklętych. Przez sześć lat żeglowałem z tym białym; z początku jako majtek pilnujący steru, gdyż jestem człowiekiem morza, urodziłem się na okręcie i biegły jestem w tej robocie. A teraz, ponieważ znam tak dobrze życzenia białego, czuwam nad wszystkim na tym statku.

Kilka głosów wyszeptało: „Prawda. Prawda“. Stali apatycznie i cierpliwie w pędzie wiatru, smagani co chwila bryzgami fal. Pod lekkie chybotanie statku kołysali się sztywno wszyscy razem, oparci o wielką łódź. Poświst wiatru między pochyłymi masztami owijał ich ciemne i milczące postacie nieustannem swem echem.

Dziób brygu został tak nastawiony, aby skierować się nieco ku stronie nawietrznej obok małych wysepek tworzących grupę Carimaty. Dotychczas były ukryte w ciemnościach, ale teraz obaj majtkowie trzymający wartość donieśli w jednym długim okrzyku, że z przodu jest ląd. Lingard, stojący po stronie podwietrznej na jednej linii z kołem steru, śledził pierwszą z dostrzeżonych wysepek. Gdy znalazła się w kierunku poprzecznym do długości okrętu, wydał rozkazy i Wasub pobiegł na główny pokład. Ster został położony na burzę, reje wielkiego masztu powoli obróciły się na trawers, a mokre płótna wielkiego marsła przyłgnęły nagle do masztu po jednym jedynym, ciężkiem plaśnięciu. Znikła olśniewająca wstęga znacząca ślad okrętu. Bryg stracił pęd i zaczął się nurzać bokami w szybko

następujących po sobie rozpędzonych falach. A przy każdym powolnym zanurzeniu się statku śpiew wiatru wzrastał się między rozkołysanymi rejami, przybie-
rając ton dziki i żalony.

Właśnie w chwili gdy na brygu przygotowano łódkę do spuszczenia na morze, gig jachtu ciągniony przez swą linę ukazał się, miotając się i pluszcząc, po stronie nawietrznej ku tyłowi statku. Carter stał w rufie, przeginając się zrećnie w miarę bezładnych ruchów swej łupiny. Dwa razy okrzyknął bryg, aby się dowiedzieć co się dzieje, gdyż nie był w stanie dojrzeć z dołu i w ciemności co robi na rufie ta bezładna grupka ludzi. Nie dostał odpowiedzi, choć rozróżnił męską sylwetę stojącą samotnie na rufie i obserwującą go najwidoczniej. Chciał zawołać po raz trzeci, gdy usłyszał zgrzyt bloków, poczem rozległ się głośny plusk, wrzawa głosów, głucho hałas jakby gromolących się ludzi — i ciemna masa, odłączając się od boku żaglowca, przemknęła obok niego na grzebieniu pędzącej fali. Przez mniej niż sekundę widział na roziskrzonym nocnym niebie zarys łodzi, głowy ludzkie, pióra wiosła sterczące ku górze w chwili, gdy wyjmowano je śpiesznie z dna łódki. Potem wszystko to zapadło mu się przed oczami, ukazało się raz jeszcze w oddali zaledwie widzialne, wreszcie znikło na dobre.

— Jakto, przecież oni spuścili łódź! — wykrzyknął Carter, opadając na ławkę. Przypomniał sobie, że widział zaledwie przed paru godzinami trzy *prao* krajo-
wców, kryjące się właśnie wśród tych wysp. Mignęła mu myśl aby odrzucić linę, puścić się w pogoń za tą łódką i przekonać się... O czym się przekonać? Zaniechał tej myśli odrazu. Cóż mógł uczynić?

Przeświadczenie, że jacht i wszyscy ludzie na nim

są w jakimś nieokreślonym lecz bardzo realnym niebezpieczeństwie, oładnęło nim silnie na nowo, a pewność, że dowódca brygu idzie jachtowi na pomoc, nie łagodziła bynajmniej trwogi Cartera. Ten fakt skomplikował tylko jego niepokój, dodając doń poczucie jakiejś tajemnicy.

Ów biały, przemawiający jakby całe to morze do niego należało, albo jakby spokój jego domowego zacisza był naruszony przez ludzi, którzy pozwolili sobie ugrzęznąć na wybrzeżu, gdzie on i jego przyjaciele mieli jakieś dziwne interesa, — ów biały nie wydawał się Carterowi pożądanym sprzymierzeńcem. Że łódź została spuszczonej dla porozumienia się ze statkami krajowców, które Carter widział i z którymi uniknął spotkania, nie miał co do tego wątpliwości. Myśl ta błysnęła mu odrazu. To wyglądało mu podejrzanie. Właściwie jedyną rzeczą, jaka mu pozostawała do zrobienia, było: dać się holować, wrócić do jachtu i ostrzec ich... Ostrzec ich przed kim? Ten człowiek rozmawiał z Carterem najzupełniej otwarcie. Ostrzec ich przed czem? Przyszło mu na myśl, że nie miał najłżejszego pojęcia o tem co miało nastąpić, a nawet co nastąpić mogło. Sam dziwny wybawca oznajmił o niebezpieczeństwie. Oczywiście o niebezpieczeństwie grożącym ze strony krajowców. A jednak porozumiewał się z tymi krajowcami. To było widoczne. Ta łódka odjeżdżająca w noc... Carter zaklął siarczyście w duchu. Jego niepokój przemienił się w dotkliwy ból fizyczny, gdy tak siedział niewygodnie i bez ruchu, przemoknięty do nitki, trzymając jedną ręką rękojeść steru, podrzucany na wszystkie strony przez łódź rozhuśtaną gwałtownie. A wznoszący się wysoko przed jego oczami czarny kadłub brygu także się wznosił i opadał, zagłębiając

ster w morzu raz po raz z potężnym, rozpienionym pluskiem. Żaden odgłos ze statku nie dochodził ucha Cartera. Bryg byłby mógł się wydawać opuszczonym okrętem, gdyby nie zarys męskiej głowy i postaci, widzialny wciąż nad tylną poręczą w postawie pełnej czujności.

Carter kazał jednemu z majtków przyholować się bliżej i zawołał:

— Hej tam, na brygu! Czy coś jest w nieporządku?

Czekał, nasłuchując. Cień człowieka stał ciągle na straży. Po pewnym czasie krótkie: „Nie“ — nadeszło w odpowiedzi.

— Czy długo będziecie leżeli w dryfie? — krzyknął Carter.

— Nie wiem. Niedługo. Oddalcie się od okrętu. Oddalcie się. Uszkodzę gig, jeśli się nie oddalicie.

— Zwolnij linę, Janie! — rzekł Carter zrezygnowanym tonem do starszego majtka w przedzie łodzi. — Zwolnij, oddalmy się na całą długość liny. Zdaje mi się, że ci z pokładu niebardzo są rozmowni.

Podczas gdy to mówił, lina się wyciągnęła i miarowe kołysanie przebiegających fal odsunęło łódkę od brygu. Carter odwrócił się zlekka na ławce aby spojrzeć na ląd. Wznosił się ściśle po stronie podwietrznej niby wyniosły i nieregularny stożek, oddalony tylko o milę albo półtorej. Szum fal rozbijających się o jego podnóże słychać było na tle wiatru w miarowo powtarzającym się huku. Zmęczenie po wielu dniach spędzonych w łódce zapanowało nad niepokojem Cartera, który stracił stopniowo poczucie mijającego czasu, nie zatracając jednak całkowicie świadomości.

W przerwach tego odrętwienia raczej niż snu zda-

wał sobie sprawę, że przerywany hałas bałwanów uderzających o brzeg wzmógł się do nieustannego, potężnego huk, przechodzącego od czasu do czasu w głośny ryk; że wysoka wysepka wydawała się teraz większą i że było widać białą frendzlę piany u jej stóp. Mimo to jednak nie zauważył żadnego ruchu na pokładzie brygu. Spostrzegł, że wiatr łagodnieje a morze się uspokaja, poczem zdrzemnął się znów na minutę. Gdy porwał się nagle ze snu, zobaczył ze zdziwieniem, że nowa gwiazda wzniosła się cicho z za lądu, zajęła swe miejsce we wspaniałej konstelacji — i nagle zagasła. Po niej ukazały się jeszcze dwie, uleciały razem w górę i osiągnąwszy prawie tę samą wysokość, skonały jedna obok drugiej.

— Rakiety, czy co — proszę pana — rzekł jeden z ludzi stłumionym głosem.

— Aha, rakiety — burknął Carter. — Ciekawym co też teraz się stanie? — mruknął do siebie zło-wieszczo.

Otrzymał odpowiedź w dzikim, syczącym furkocie smukłego, ognistego promienia, który strzelił gwałtownie w górę z ciemnego kadłuba brygu i rozsypał się odrazu w ciemno czerwony deszcz spadających iskier. Tylko jedna z nich, biała i błyszcząca, zawisła samotnie wysoko w górze, świecąc jaskrawo przez sekundę, poczem wybuchnęła z lekkim hukiem. Prawie w tej samej chwili Carter dojrzał, że dziób statku wychodzi z wiatru, rozróżnił reje obracające się, aby napełnić główny marsel i usłyszał wyraźnie głucho uderzenie pierwszej fali, odrzuconej przez sunący przód okrętu. W następnej chwili lina holownicza wyprężyła się i łódka, szarpnięta nagle, ruszyła śpiesznie za brygiem.

Pochylony naprzód, czujny i uważny, Carter sterował. Ludzie jego siedzieli na ławkach jeden obok drugiego; drzemali ze skulonemi ramionami i zgiętym grzbietem, trwając cierpliwie w niewygodnych pozycjach. Uwaga — której wymagało sterowanie łodzią wśród szlaku kipiącej i wzburzonej wody, ciągnącej się za brygiem przy szybkim jego kursie — przeszkadzała Carterowi w rozmyślaniach o niepewnej przyszłości i o niezwykłym położeniu.

Teraz pragnął tylko niezmiernie znów jacht zobaczyć i z uczuciem bardzo głębokiego zadowolenia ujrzał, że wszystkie proste żagle podnoszą się na brygu. Przez pozostałe godziny nocy siedział, dzierżąc rękojeść steru, z oczami utkwionemi w niewyraźną i wysoką piramidę płótnisk, która sunęła spokojnie przed łodzią, kołysząc się leciutko z boku na bok.

IV

Było już południe, zanim Lingard przeprowadził swój bryg przez głębokie przesmyki między zewnętrznemi koralowemi rafami i okrążył na odległość pistoletowego strzału niską ławicę z piasku, znacząc koniec długiego szeregu kamienistych raf, które — zalane przez morze — ukazywały tylko gdzieniegdzie czarne grzbiety z pośród syczącej, brunatnej piany żółtego morza. Gdy bryg odpłynął od piaszczystej ławicy, ściśle po stronie nawietrznej ukazał się za labiryntem spienionej wody, piaszczystych rew i grupek skał czarny kadłub jachtu, pochylony, wysoki i nieruchomy nad wielką przestrzenią błyszczących płycizn. Jego długie, nagie maszty chyliły się zlekka, jak gdyby żeglował z pomyślnym wiatrem. Dla ludzi patrzących nań z brygu

jacht miał w swym wyglądzie coś smutnego i przykrego, gdy tak stał zupełnie nieruchomo w pozie, kojarzącej się w pojęciu marynarza z szybkim ruchem.

— Otóż i jacht! — rzekł Shaw, który nadszedł w niepokalanie białem ubraniu, wracając właśnie z przodu, gdzie był zajęty przy kotwicach. — Oho, siedzi tam mocno — prawda? Wygląda mi to stąd na błotnistą mieliznę.

— Tak. To błotnista mielizna — rzekł z wolna Lingard, podnosząc lunetę do oczu. — Niech pan ściągnie główny żagiel, panie Shaw — mówił, przypatrując się spokojnie jachtowi. — Będziemy musieli lawirować tutaj krótkimi ciągami.

Spuścił lunetę i odszedł od burty. W ciągu następnej godziny manewrował swym małym statkiem w pogmatwanym i wąskim przesmyku z pewnością i swobodą, jakby każdy kamień, każde ziarno piasku na zdradliwym dnie były dokładnie widzialne dla jego wzroku. Kierował brygiem przy dorywczej i zmiennej bryzie tak spokojnie i tak śmiało, że szczerą trwoga zapierała oddech Shawowi, stojącemu z przodu na swem stanowisku. Gdy bryg posuwał się ku wewnętrznej mieliźnie, nie skręcano nigdy póki szybkie, głośnie krzyki sondujących majtków nie oznajmiły, że nie więcej niż trzy stopy wody jest pod kilem; a gdy płynął ku stromemu, wewnętrznemu progowi długiej rafy, gdzie ołowianka przydać się nie mogła, kładziono ster na burtę dopiero gdy stewa przednia dotykała już nikłej linii nadbrzeżnej piany. Miłość Lingarda do brygu była miłością mężczyzny, i to tak wielką, że mógł ją nasycić jedynie wówczas, gdy wymógł na swym okręcie rozwinięcie wszystkich jego zalet i całej jego siły; gdy bryg odpowiadał na wymagającą miłość swego władcy od-

daniem, wystawionem na próbę do ostatnich granic wytrzymałości. Każdy trzepot żagli, spływający z góry po wyprężonych brzegach płótna, zapadał w serce Lingarda, budząc w nim uczucie żywej rozkoszy, a łagodny szmer wody wzdłuż boków, nieustanny i cichy, który świadczył, że we wszystkich swych zwrotach niezrównany statek nie przestał ani na chwilę posuwać się naprzód, był dla Lingarda droższym i bardziej porrywającym niż miękki szept czułych słów dla innego mężczyzny. W takich chwilach właśnie żył całą pełnią, porwany potężnem uczuciem, które sprawiało, że pragnął przycisnąć do piersi swój mały statek. Był to dla Lingarda idealny świat, pełen ufnej radości.

Ludzie na pokładzie jachtu, śledzący skwapliwie pierwszy żagiel dostrzeżony od czasu, gdy się znajdowali na tej opustoszałej części pobrzeża, przekonali się wkrótce z pewnem rozczarowaniem, że to mały bryg handlowy, posuwający się z ciągu na ciąg wzdłuż wewnętrznego krańca skał — prawdopodobnie z zamiarem porozumienia się z jachtem i ofiarowania mu pomocy. Wśród marynarzy przeważało zdanie, że nie można się spodziewać skutecznej pomocy od tego rodzaju okrętu. Tylko kapitan jachtu odezwał się do bosmena (który miał tę wyższość, że był jego bratem ciotecznym): „Ten człowiek zna dobrze okolice; widać to ze sposobu w jaki prowadzi swój bryg. Nie zawadzi nam mieć tu kogoś do pomocy. Nie mam pojęcia, mój Jerzy, kiedy wyleziemy z tego błota“.

Bryg posunął się bardzo długim ciągiem i to mu umożliwiło dotarcie do południowej granicy bezbarwnej wody, pokrywającej mieliznę, na którą jacht najechał. Na samym krańcu błotnistej rewy osadzono

bryg po raz ostatni. Z chwilą gdy zmieniono ciąg, żagle zostały zręcznie skrócone i statek zabrał się do ostatniej części drogi, która go miała doprowadzić do miejsca zarzucenia kotwicy pod rozwiniętymi marszlami, niższemi sztakslami i kliwrem. Było mniej niż ćwierć mili płytkiej wody między brygiem a jachtem; ale podczas gdy jacht osiadł był na mieliźnie z dziobem zwróconym ku wschodowi, bryg posuwał się z wolna w kierunku wschodnio-północnowschodnim i wskutek tego przejechał niejako wzdłuż całej długości jachtu. Lingard widział każdziutkiego z ludzi stojących na pokładzie szkunera i śledzących zbliżający się statek w milczeniu równie wielkiem i nienaruszonym jak to, które panowało na pokładzie jego własnego statku.

Mały człowieczek o czerwonej twarzy okolonej białym zarostem, stojący na śródokręciu, powiał nad burtą czapką ze złotym galonem. Lingard podniósł ramię w odpowiedzi. Dalej ku rufie, pod białym płóciennym dachem zobaczył dwóch mężczyzn i kobietę. Jeden z mężczyzn był w granatowem ubraniu a kobieta w granatowej sukni. Drugi mężczyzna, który wydawał się bardzo wysoki i stał, obejmując ramieniem jedną z podpórek płóciennego dachu, miał na sobie białe ubranie. Lingard widział ich wyraźnie; patrzyli na bryg przez lornetki, zwracali twarze ku sobie, poruszając wargami, i wyglądali na zdziwionych. Wielki pies postawił łapy na burcie i, podnosząc duży czarny łeb, zaszczekał trzy razy głośno i żałośnie, poczem znikł z widoku. Nagły ruch i widoczne podniecenie zapanowały na jachcie wśród marynarzy, gdy spostrzegli, że łódź holowana przez obcy statek jest ich własnym, drugim gigiem.

Wyciągano ręce i pokazywano gig palcami. Ktoś

wykrzyknął długie zdanie, z którego ani słowa nie można było zrozumieć; wreszcie bryg, dosięgnąwszy zachodniego krańca ławicy, zaczął oddalać się naukos, powiększając przestrzeń między sobą a jachtem lecz ukazując stopniowo swą rufę. Lingard zauważył, że ludzie na rufie jachtu ruszyli z miejsc i podeszli do tylnej burty aby go mieć dłużej na widoku.

Gdy bryg znalazł się mniej więcej o milę od rewy, prawie na jednej linii z rufą jachtu, marsle brygu zatrzepotały i reje zniżyły się zwolna; przednie i tylne płótna opadły; i przez chwilę statek płynął spokojnie ze zwiniętymi skrzydłami po przejrzystej tafli wody, w ciszy promiennego nieba. Potem kotwica opuściła się na dno z dudniącym hałasem, podobnym do odległego grzmotu. Po chwili dziób statku zwrócił się ku ostatnim powiewom północnej bryzy, a flaga na gaflu drgnęła, rozwinęła się powoli, opadła, rozpostarła się znów i wreszcie zwiśla spokojnie w prostych fałdach, jakby obciążona ołowiem.

— Martwa cisza, panie kapitanie — rzekł Shaw do Lingarda. — Znowu martwa cisza. Dojechaliśmy w samą porę do tego dziwnego miejsca, panie kapitanie.

Stali przez chwilę obok siebie, patrząc wkoło na brzeg i morze. Bryg zatrzymał się w samym środku szerokiego pasa przejrzystej wody. Ku północy skaliste rafy rysowały się białymi i czarnymi linjami nad lekkim rozfalowaniem, które tam brało początek. Mała wysepka sterczała ze skotłowanej wody jak czworokątna wieża jakiegoś zatopionego budynku — mniej więcej o dwie mile od brygu. Ku wschodowi wybrzeże się obniżało: rosły na niem zielone lasy, obramowane frendzlą ciemnych mangrowij. W ich mrocznej, po-

nurej zieleni widać było wyraźnie zarysowany otwór, jak gdyby ktoś wyciął ostrym nożem mały kawałek lasu. Woda w tym otworze jaśniała niby płyta poleowanego srebra. Lingard pokazał ją Shawowi.

— To jest droga do miejsca, dokąd jedziemy — rzekł.

Shaw wytrzeszczył na niego oczy.

— Myślałem, że pan przyjechał tu z powodu tego jachtu — wyjąkał zdumiony.

— Hm! Jacht! — rzekł zamyślony Lingard, utkwiszszy wzrok w wyłomie brzegu. — Jacht — tupnął nagle w pokład. Dałbym wszystko co mam i dorzuciłbym jeszcze kilka dni życia w dodatku, gdybym mógł się go pozbyć stąd przed wieczorem.

Uspokoił się i stał zapatrzony w ład. Nieco dalej w głębi, z za ściany lasu niewidzialny ogień buchał spokojnie czarnemi, ciężkiemi kłębami gęstego dymu, który wznosił się wysoko jak pokręcony i drżący słup na tle jasnego błękitu.

— Musimy przerwać tę zabawę — rzekł raptem Lingard.

— Dobrze, panie kapitanie. — Ale jaką zabawę? — zapytał Shaw, rozglądając się ze zdumieniem.

— Ten dym — rzekł niecierpliwie Lingard — to jest sygnał.

— Oczywiście, panie kapitanie — tylko nie rozumiem, jakbyśmy to mogli zrobić. To zdaje się daleko w głębi ład. A co to za sygnał, panie kapitanie?

— Nie dla nas jest przeznaczony — rzekł Lingard z nagłą gwałtownością. — No! panie Shaw, każ pan założyć pusty nabój do tej armatki na baku. Powiedz pan, żeby ubili mocno pakuły i wysmarowali otwór tłuszczem. Chcemy narobić porządnego hałasu. Jeśli

stary Jörgenson nas usłyszy, to ogień zgaśnie nim pan zdąży dwa razy się obrócić... Zaraz, panie Carter.

W chwili gdy bryg się zatrzymał, łódka zrównała się z nim i Carter czekał aby zabrać Lingarda na pokład jachtu. Skierowali się teraz obaj ku zejściu. Shaw szedł za swym zwierzchnikiem i stanął obok niego, chcąc wysłuchać ostatnich rozkazów.

— Proszę spuścić wszystkie łódki na wodę, panie Shaw — mówił Lingard z nogą na poręczu, gotów opuścić swój statek — i załadować czterofuntowe sprzęgło do przodu wielkiej łodzi. Zdejmie pan postronki z armatek, ale nie wysunie pan ich jeszcze. Marsle niech będą zluźwane a kliwer gotów do napięcia, możliwe, że będę potrzebował żagli w pośpiechu. A teraz jestem gotów, panie Carter.

— Odbić, chłopcy — rzekł Carter z chwilą gdy znaleźli się w łódce — odbić, zbierzcie siły na ten ostatni kawałek drogi; czeka was długi wypoczynek.

Majtkowie u wiosel przechylili się w tył, pomrukując. Rysy ich były wyciągnięte, a twarze szare i porysowane pręgami zaschłej soli. Mieli udręczony wyraz ludzi, których wytrzymałość została poddana ciężkiej próbie. Carter siedział otępiały z opadającymi powiekami, sterując ku drabinie jachtu. Lingard spytał, gdy mijali przód brygu:

— Przypuszczam, że macie dość wody wzdłuż boków statku?

— Tak. Osiem do dwunastu stóp — odrzekł Carter ochrypłym głosem. — No, panie kapitanie, gdzie ci pańscy łotrzykowie? Przecież to morze jest puste jak stodoła.

Przerwał mu głuchy odgłos strzału osiemnastofuntowej armatki, który rozległ się prawie nad jego głową.

Okrągły kłęb białego dymu rozpląwał się leniwie, czepiając się zwiewnymi skrawkami przedniej rei. Lingard, odwróciwszy się bokiem na tylnej ławce, obserwował dym na wybrzeżu. Carter milczał, wpatrując się w jacht, do którego się zbliżali. Lingard śledził dym z takim natężeniem, że zapomniał prawie gdzie się znajduje, dopiero głos Cartera, wymawiający ostro słowo „dość“, przywołał go do przytomności.

Znaleźli się w cieniu padającym od jachtu i wchodzili już po drabince. Władca brygu spojrział w górę na twarz mężczyzny z długimi bokobrodami i wygolonym podbródkiem, patrzącego nań przez monokl z nad burty. Gdy Lingard stawiał nogę na najniższym szczeblu, widział że dym nadbrzeżny wciąż bucha, gęsty i nieprzerwany; ale właśnie w chwili gdy patrzył, podstawa czarnej kolumny wzniosła się ponad zygzakowatą linię wierzchołków drzew. Cały słup oderwał się od ziemi, skotłował się w nieregularny kłęb i popłynął w stronę morza, wędrując zwolna po błękitnym niebie jak chmura groźna i samotna.

CZĘŚĆ II
WYBRZEŻE ZBIEGÓW

Conrad: Ocalenie 5

<http://rcin.org.pl>

I

Wybrzeże, przy którem mały bryg stał prosto na kotwicy i zdawał się strzec wysokiego kadłuba jachtu, nie ma żadnych cech wybitnych. To ląd bez wyraźnego kształtu. Ciągnie się bez przyładek i urwistych brzegów, długi i niski — nieokreślony; a gdy ciężkie podrywy północno-wschodniego mussonu pędzą gęsty deszcz ukośnie na morze, pod szarem niebem majaczy czarny brzeg o zatartych konturach, jak wyciągnięty w linię prostą skraj rozpływającego się lądu. Podczas długiego okresu bezchmurnych dni widać go tylko jako wąski pas ziemi; wygląda to na rozległej płaszczyźnie wód, jakby ląd został zmiażdżony przez ciężar nieba, którego olbrzymia kopuła spoczywa na nim, zakreślając linię równie piękną i czystą jak linja morskiego horyzontu.

Mimo bliskiego sąsiedztwa z centrami europejskiej władzy, brzeg ten od wieków był znany zbrojnym wędrowcom tych mórz jako „Wybrzeże Zbiegów“. Nie jest oznaczony żadną specjalną nazwą na mapach i podręczniki geografji nie wspominają o nim wcale, ale rozbitkowie — ofiary różnych porażek — znajdują zawsze drogę do jego zatok. Dostęp do nich niezmiernie jest trudny dla obcych. Gdy się patrzy na ten brzeg od strony morza, niezliczone wysepki otaczające to, co ze względu na obszar można nazwać głównym lądem, stapiają się z tłem, na którem niema żadnego punktu pozwalającego wytknąć drogę przez powikłane cieśninki. Można powiedzieć, że w pasie szerokości

dwudziestu mil koło tego niskiego wybrzeża znacznie jest więcej raf koralowych, błota, piasku i kamieni niż morskiej wody. Wśród zewnętrznych mielizn tego pasa utknął jacht i tam rozegrały się właśnie wypływające stąd wypadki.

Niewyraźne światło krótkiego świtu ukazało na wschodzie otwarte morze, uśpione, gładkie i szare pod pobladłem niebem. Prosty brzeg rzucał pas głębokiego mroku wzdłuż mielizn, które wśród spokoju konającej nocy nie znaczyły się najlżejszą zmarszczką. W nikłym świetle brzasku niskie kępy krzaków na piaszczystych ławicach robiły wrażenie olbrzymich.

Dwie postacie, bezszelestne jak dwa cienie, posuwały się zwolna wybrzeżem skalistej wysepki i stanęły obok siebie na samym skraju wody. Za nimi dymił się spokojnie niewielki stos czarnych węgli między matami, z których się podniosły. Postacie stały prosto i bez ruchu, tylko głowy ich obracały się zlekka z prawej strony ku lewej i z powrotem, w miarę jak ich wzrok przebiegał szarą pustkę morza, gdzie — oddalony mniej więcej o dwie mile — widniał kadłub jachtu, czarny i bezkształtny na tle bladego nieba.

Obie postacie patrzyły w dal, nie zamieniając z sobą nawet szeptu. Wyższa z nich oparła o ziemię kolbę strzelby z długą lufą, trzymając ją na odległość ramienia; włosy drugiej postaci spadały do pasa; a liście ljan, spływających w pobliżu ze szczytu stromej skały, były równie nieruchome jak gład pod niemi. Nikłe światło, odsłaniające gdzieniegdzie połysk białych, piaszczystych ławic i niewyraźne kopce wysepek, rozrzuconych wśród mroku wybrzeża, głęboka cisza, zupełny spokój wokoło — wszystko uwydatniało osamotnienie dwóch ludzkich istot, które, pobudzone nadzieją, spę-

dzającą sen z powiek, wstały o świcie by spojrzeć w dal na zasłonięte oblicze morza.

— Nic! — rzekł mężczyzna z westchnieniem, jakby budząc się z długiej zadumy.

Miał na sobie kurtkę z grubego niebieskiego perkalu — w rodzaju tych, jakie noszą biedni rybacy — otwartą na muskularnej piersi o barwie i gładkości brązu. Z fałd wytartego saronga, obwiniętego ciasno koło bioder, wystawał po lewej stronie nóż z rękojeścią z kości słoniowej, zdobną pięciu złotymi obrączkami — broń, którejby się nie powstydział udzielny władca. Srebro połyskiwało naokoło kurka i na kolbie z twardego drzewa. Głowę Malaja obwijała czerwono-złota chusta z kosztownej materji, tkanej zwykle przez szlachetnie urodzone Malajki z otoczenia wodzów, lecz złote nitki były przyćmione a jedwab przetarty na zgięciach. Mężczyzna przechylił głowę wtył; spuszczone powieki zwięzały połysk jego oczu. Miał twarz bez zarostu, krótki nos o ruchomych nozdrzach; beztroski i pogodny jego uśmiech wyglądał jak wryty nazawsze delikatnem narzędziem w lekkich zagłębieniach u kątów dość wydatnych warg. Prosta jego postać odznaczała się niedbałym wykwintem, lecz w beztroskiej twarzy i swobodnych ruchach było coś czujnego i powściągliwego.

Objął morze ostatniem, badawczem spojrzeniem i odwróciwszy się ku wschodzącemu słońcu, szedł boso po elastycznym piasku. Za nim wlokła się kolba, zło-biąc głęboką brózdę. Węgle przestały się dymić. Przez chwilę patrzył na nie w zamyśleniu, poczem zawołał przez ramię do dziewczyny, która została w tyle, obserwując wciąż morze:

— Immado, ogień wygaś.

Na dźwięk głosu dziewczyna zwróciła się w stronę

mat. Czarne jej włosy zwisały jak płaszcz. Miała na sobie narodowy sarong malajski w szarą i czerwoną kratę — podobny do spódniczek szkockich górali — noszony zarówno przez mężczyzn jak przez kobiety, lecz w stroju jej brakowało pasa, szarf, luźnej chusty i nakrycia głowy, które zwykle uzupełniają ubiór Malajki. Czarna, jedwabna kurtka, jak u mężczyzn z wysokich rodów, zapięta była na piersi i obcisła smukłą kibić. Brzeg stojącego kołnierza, sztywny od złotego haftu, ocierał się o policzek. Na rękach jej i nogach nie było bransolet i — choć ubrana właściwie po męsku — nie miała przy sobie żadnej broni. Ręce jej zwisały w bardzo obcisłych rękawach, rozciętych trochę nad dłoń, ozdobionych złotą plecionką i rzędem małych, złotych guziczków. Zbliżała się drobnym krokiem, brązowa i czujna, z oczami pełnymi życia w nieruchomej twarzy, z łukiem ust stanowczo zaciśniętym; a cała jej postać, pełna surowego wdzięku, tchnęła żarliwą powagą młodości, która wstępuje w życie przejęta wiarą i nadzieją.

Tego samego dnia Lingard dotarł do wybrzeża, lecz — jak wiadomo — bryg, powstrzymywany przez ciszę, zjawił się w pobliżu mielizn dopiero późnym rankiem. Mężczyzna i kobieta stracili nadzieję, że ujrzą oczekiwany żagiel w pierwszych promieniach wschodzącego słońca i spoczęli na posłaniu z mat, nie próbując rozniecić ognia na nowo. U ich stóp leżało zwykłe czółno, wyciągnięte z wody i przymocowane dla większej pewności powrozem z traw do drzewca długiej włóczni, whitej mocno w biały brzeg; zaczynający się przyływ pluskał monotonnie o rufę.

Dziewczyna zwijała czarne włosy, spinając je cienkimi drewnianymi szpilkami. Mężczyzna wyciągnął

się na matach, zostawiwszy obok siebie miejsce dla strzelby — jak dla przyjaciela — i wsparty na łokciu spoglądał ku jachtowi oczami zasnutemi zadumą, niby przejrzystą zasłoną nie ukrywającą ponurych myśli, od których spojrzenie jego stopniowo się pogłębiało i chmurzyło.

— Widzieliśmy już trzy razy wschód słońca na tej wysepce, a nasz przyjaciel nie przybył od strony morza — rzekł mężczyzna, nie zmieniając pozy, zwrócony plecami ku dziewczynie, która siedziała po drugiej stronie wystygłego ogniska.

— Tak, a miesiąca ubywa — odrzekła cichym głosem. — Miesiąca wciąż ubywa. A jednak obiecał przyjechać, gdy noce są jasne i woda kryje ławice piasku aż po krzaki.

— Podróżnik zna czas swego odjazdu, lecz nie wie nigdy kiedy powróci — zauważył spokojnie mężczyzna.

Dziewczyna westchnęła.

— Noce oczekiwania są długie — wyszeptala.

— I czasem czuwa się napróżno — rzekł mężczyzna z tym samym spokojem. — Może on nigdy nie wróci.

— Dlaczego? — wykrzyknęła dziewczyna.

— Droga jest długa i serce może wyiębnać — brzmiała spokojna odpowiedź. — Jeżeli nie wraca, to dlatego że zapomniał.

— O Hassimie, jeśli nie wraca, to chyba umarł! — krzyknęła dziewczyna z oburzeniem.

Mężczyzna, patrząc nieruchomo ku morzu, uśmiechnął się na jej słowa pełne zapału.

Byli rodzeństwem, i choć podobieństwo między nimi występowało bardzo wyraźnie, ginęło jednak w bardziej zasadniczych rysach wspólnych całej rasie.

Pochodzili z Wajo, a wśród Malajów popularnem jest twierdzenie, że, aby być szczęśliwym podróżnikiem i kupcem, trzeba mieć w żyłach choć trochę krwi z plemienia Wajo. Handel zaś, jednoznaczny u tego ludu z dalekimi podróżami, jest zajęciem romantycznym i zaszczytnem. Żądza przygód i bystry rozum muszą charakteryzować kupca, który winien posiadać męstwo młodego wieku i dojrzałą mądrość starości; powinien być dyplomata i śmiałością zarazem, aby zapewnić sobie łaskę potężnych i wzbudzić strach w złoczyńcach.

Nie należy oczywiście spodziewać się tych zalet po kramarzu lub chińskim wędrownym kupczyku; są one niezbędne tylko dla szlachetnie urodzonego człowieka, który — będąc nieraz krewniakiem władcy swego kraju — wędruje przez morza na własnym statku, otoczony licznym orszakiem; który rozwozi od wyspy do wyspy zarówno towary jak i ważne wieści; któremu można powierzyć cenne przesyłki i tajne zlecenia; musi to być mąż równie skory do intryg i walk, jak do sprzedaży i kupna. Oto ideał kupca z plemienia Wajo.

Tak zrozumiany handel był zajęciem ambitnych ludzi, odgrywających tajną lecz ważną rolę we wszystkich narodowych powstaniach, zamieszkach religijnych, a także w zorganizowanych na wielką skalę korsarskich rozruchach, które w pierwszej połowie tego wieku wpłynęły na losy niejednej malajskiej dynastji i — przynajmniej przez kilka lat — zagrażały poważnie holenderskiemu władztwu na wschodzie. Gdy za cenę obficie przelanej krwi i złota narzucono wyspom względny spokój, zawód kupiecki, choć pozbawiony już wspaniałych perspektyw, przyciągał jednak w dal-

szym ciągu najbujniejsze indywidualności tej niespokojnej rasy. Młodzi synowie i krewniacy niejednego władcy przemierzali morza archipelagu, odwiedzając niezliczone i mało znane wysepki, i prawie zupełnie wówczas niezbadane wybrzeża Nowej Gwinei — wszystkie zakątki dokąd europejski handel jeszcze nie był dotarł, od Aru do Atjeh, od Sumbawy do Palawanu.

II

W najbardziej może nieznanym ze wszystkich tych zakątków, w małej zatoczce na wybrzeżu Nowej Gwinei, młody Pata Hassim, bratanek jednego z największych wodzów plemienia Wajo, spotkał się po raz pierwszy z Lingardem.

Hassim był kupcem na wzór tych z plemienia Wajo, i na porządnie zbudowanym morskiem *prao* — zaopatrzonym w dwie armatki i obsługiwanym przez młodzieńców, związanych z jego rodziną przez krew lub zależność — przybył tu aby kupić nieco skór rajskich ptaków dla starego sułtana z Ternate; było to przedsięwzięcie ryzykowne, a podjął się go nie dla zysku, lecz dla wyświadczenia grzeczności staremu sułtanowi, który gościł go wspaniale przez miesiąc lub dłużej w Ternate, w swym ponurym pałacu z cegły.

Hassim zatrzymał się opodal nadbrzeżnej wsi i miał się wielce na ostrożności, czekając na skóry i targując się z chytrymi dzikimi z pobrzeża — którzy są pośrednikami w tym handlu — gdy pewnego ranka zobaczył bryg Lingarda, zarzucający kotwicę w zatoce. Wkrótce potem zauważył, że biały człowiek wysokiego wzrostu, o brodzie jaśniejącej jak złoto, wysiada z łódki i bez broni spaceruje powoli po brzegu, kie-

rując się ku wsi krajowców, a za nim idą czterej Malaje z załogi łodzi.

Haßima ogarnął podziw i zdumienie nad tak spokojnem lekceważeniem niebezpieczeństwa; omówił ze swymi ludźmi mniej więcej w ciągu godziny — iście po malajsku — nagłość danego wypadku i wylądował również, lecz uzbrojony i w otoczeniu licznej świty, aby śledzić dalszy bieg rzeczy.

Cała ta historia była właściwie bardzo zwyczajna; „taka rzecz“ — opowiadał potem Lingard — „mogła się każdemu wydarzyć“. Wysiadł na brzeg aby znaleźć jaki strumień, gdzieby mógł wygodnie napełnić wodą beczki, ponieważ w tym celu jedynie zawiął do zatoki.

Gdy otoczony swymi ludźmi i tłumem czarnych krajowców o wiechciowatych czubach, pokazywał kilka perkalowych chustek i usiłował wytłumaczyć znakami cel swego wylądowania, włócznia ciśnięta z tyłu zadrasnęła go w szyję. Papuas, który ją rzucił, chciał przypuszczalnie upewnić się tylko, czy podobny stwór może być zabity lub ranny, i najprawdopodobniej wierzył niezłomnie że to jest niemożliwe; lecz jeden z marynarzy Lingarda odwzajemnił się natychmiast, uderzając eksperymentującego dzikusa *parangiem* — wzięli bowiem trzy takie tasaki aby w razie potrzeby torować sobie drogę w gęstwinie — a była to jedyna broń, którą rozporządzali.

Wściekły zgiełk wybuchł tak nagle, że Lingard, odwróciwszy się prędko, zobaczył jak jego obrońca, przeбитý już włócznią trzykrotnie, wali mu się twarzą do nóg. Wasub, który był przy tem i opowiadał później tę historję przeciętnie raz na tydzień, przejmował zgrozą słuchaczy, pokazując jak ów człowiek mrugał szybko

oczami, zanim upadł. Sam Lingard był bezbronny. Aż do końca życia pozostał niepoprawnie lekkomyślnym pod tym względem; tłumaczył, że jest „o wiele za porywczy aby nosić przy sobie broń palną na wypadek jakiej bójki. Jeśli przyjdzie co do czego” — przekonywał — „zawsze mogę sobie jakoś poradzić i zabić człowieka samą pięścią; wtedy, widzi pan, zdaję sobie sprawę z tego co robię, i nie tak łatwo mi coś przeskrobać — jakby to mogło się zdarzyć w gniewie albo i strachu — nieprawdaż?”

W powyższym wypadku usiłował zabić jednego dzikusa uderzeniem z góry, drugiego zaś złapał wpół i rzucił go w nagiego, dzikiego tłum. „Ciskał ludźmi jak wiatr złamanymi gałęziami. Utorował nam szeroką drogę wśród wrogów“, opowiadał Wasub swym urywanym głosem. Ale bardziej jest prawdopodobnem, że raczej szybkie ruchy Lingarda i zdumiewający wygląd takiej dziwnej istoty znagliły dzikich do cofnięcia się przed jego natarciem.

Wykorzystując natychmiast zdumienie i strach wroga, Lingard i jego ludzie przebiegli po czemś, co wyglądało na zrujnowany pomost, prowadzący do wsi zbudowanej jak zwykle nad wodą. Wpadli do jednej z nędznych szop, skleconych ze zbutwiałych mat i szczątków spróchniałych czołen, i w tem schronieniu — którego wszystkie ściany przeświecały — zaczerpnęli tchu i zdali sobie sprawę, że sytuacja nie o wiele się poprawiła.

Kobiety i dzieci znikły z wrzaskiem w zaroślach, a u lądowego końca pomostu wojownicy podskakiwali i wrzeszczeli, przygotowując się do tłumnego ataku. Lingard zauważył z przykrością, że majtek pozostawiony w łodzi stracił prawdopodobnie głowę, gdyż

zamiast popłynąć do statku i zaalarmować go, co mógł zrobić z łatwością, skierował się ku niewielkiej skale oddalonej o sto jardów i z zapamiętałością usiłował wdrapać się na nią od strony prostopadłej. Przyплыw się jeszcze nie zaczął i skok w ohydne błoto pod chatami równał się prawie śmierci. Nędzna szopa nie byłaby mogła wytrzymać nawet energicznego kopnięcia, a cóż dopiero oblężenia — nie pozostawało zatem nic innego, jak tylko rzucić się z powrotem do brzegu i zawładnąć łodzią. Lingard szybko się na to zdecydował i uzbroiwszy się w zagięty kij, który znalazł pod ręką, ruszył na czele swych trzech ludzi. Gdy sadił wzdłuż pomostu, wyprzedziwszy ich dobry kawał i miał czas uprzytomnić sobie rozpaczliwą ostateczność tego kroku, usłyszał z prawej strony dwa strzały. Zwarty blok czarnych ciał i skędzierzawionych łbów wprost niego zachwiał się i rozpadł. Nie uciekli jednak.

Lingard biegł wciąż, ale teraz już niósł go poryw radości, który budzi się w optymizmie wobec słabej nawet nadziei powodzenia. Usłyszał w oddali krzyk wielu głosów, potem jeszcze jeden wystrzał, i muszkietowa kula z dalekiego strzału wzbiła drobny wytrysk piasku między nim a jego dzikimi wrogami. Następny skok byłby rzucił Lingarda w sam ich środek, gdyby na niego czekali, ale podniesione jego ramię nie miało już w co uderzyć. Czarne grzbiety umykały, skacząc wysoko, albo sunęły poziomo przez trawę ku skrajowi zarośli.

Cisnął kijem w najbliższe czarne plecy i zatrzymał się. Wysokie trawy chwiały się coraz wolniej i stanęły, chór wrzasków i świdrujących pisków zamarł w ponurem wyciu i wydało się naraz, że na

zarośnięte lasem wybrzeże i błękitną zatokę padł czar świetlistej ciszy. Zmiana była tak uderzająca jak obudzenie się ze snu. Ta raptowna cisza zdumiała Lingarda.

Zmącił ją, podnosząc głos w potężnym okrzyku, który zatrzymał jego ludzi. Powrócili niechętnie, oglądając się z gniewem na ścianę dzungli, gdzie nie drgnął ani jeden listek. Nieznajomi, których pojawienie się w odpowiedniej chwili rozstrzygnęło o wyniku tej przygody, nie rzucili się do wspólnego pościgu, lecz stanęli zwartą gromadą na miejscu zajmowanem uprzednio przez dzikich.

Lingard i młody dowódca kupców z Wajo spotkali się we wspaniałym blasku południa, wśród czujnego milczenia swych ludzi, na tem samem miejscu, gdzie malajski majtek postradał życie. Lingard podszedł wielkimi krokami, wyciągając otwartą dłoń; Hassim odwzajemnił natychmiast ten szczery odruch i zamienili pierwszy uścisk dłoni nad wyciągniętem ciałem, jak gdyby los pobrał już okup śmierci za najbardziej ważki ze swych darów — dar przyjaźni, który zawiera niekiedy całe dobro lub całe zło życia.

— Nigdy tego dnia nie zapomnę — zawołał serdecznie Lingard, a Hassim uśmiechnął się spokojnie.

Zapadło krótkie milczenie.

— Czy spalisz wieś przez zemstę, tuanie? — spytał Hassim, spojrzawszy przelotnie wdół na zabitego Malaja, co, leżąc na twarzy z wyciągniętymi ramionami, zdawał się czepiać rozpaczliwie tej ziemi, którą znał tak krótko.

Lingard zawahał się.

— Nie — odrzekł w końcu. — Nikomuby to się na nic nie zdało.

— To prawda — rzekł łagodnie Hassim — ale czy ten człowiek był ci co dłużny — czy był twym niewolnikiem?

— Niewolnikiem? — zawołał Lingard. — To jest bryg angielski. Niewolnikiem? Nie! Był to człowiek wolny jak i ja.

— *Hai*. Wolnym jest teraz zaiste — mruknął Malaj, spoglądając wdół po raz drugi. — Ale kto zapłaci osieroconej rodzinie za jego życie?

— Jeśli zostawił gdzie kobietę lub dziecko — mój *serang* będzie wiedział o tem — to wynajdę je! — zawołał Lingard ze skrucą.

— Przemawiasz jak wódz — rzekł Hassim — tylko że nasi wodzowie nie idą walczyć z gołemi rękami. O biali ludzie! O waleczności białych ludzi!

— To było szaleństwo, czyste szaleństwo — zaprzeczył Lingard — a ten biedak za nie zapłacił.

— Nie mógł uniknąć swego losu — szepnął Malaj. — Zdaje mi się że mój handel na tem wybrzeżu już się skończył — dodał wesoło.

Lingard wyraził mu swoje ubolewanie.

— To nic nie szkodzi, nic nie szkodzi — zapewnił dwornie Malaj, a gdy się rozstawali, Lingard zaprosił serdecznie Hassima i dwóch jego towarzyszy wysokiego rodu, aby zechcieli bryg odwiedzić.

Wieczór był spokojny, gdy malajski statek opuścił swe stanowisko tuż przy brzegu i zbliżył się, wiosłując zwolna po zatoce, aż do miejsca gdzie bryg był zakotwiczony. Koniec grubej liny zarzucono na pokład i nocy tej bryg białego i *prao* ciemnego człowieka kołysały się razem u tej samej kotwicy.

Słońce zachodzące ku morzu słało między przyładki ostatnie swe promienie, gdy ciało zabitego Ma-

laja, zawinięte jak przystało w białe prześcieradło, zgodnie z mahometańskim zwyczajem, spuszczano powoli w ciche wody zatoki, na którą ciekawy wzrok jego padł po raz pierwszy ledwie przed kilku godzinami. W chwili gdy zmarły, uwolniony od lin, znikł bez pluśnięcia z oczu swych towarzyszy, zajaśniał błysk wystrzału i rozległ się głośny huk przedniej armatki na brygu, wywołując echowy pomruk brzegów wokoło zatoki i głośne krzyki morskiego ptactwa, które kręciło się całemi chmarami, zdając się śłać odchodzącemu marynarzowi dzikie i wieczyste pożegnanie. Za władcą brygu, idącym ku rufie ze zwieszoną głową, podniosły się ciche szepty uznania; zachowanie Lingarda było miłą niespodzianką zarówno dla jego załogi jak i dla obcych, stłoczonych na głównym pokładzie. W podobnych postępkach, pełnych prostoty i wypływających z głębi przekonania, ujawniało się to, co można było nazwać romantyczną stroną tego człowieka: czujny oddźwięk na tajemne wezwania życia i śmierci — oddźwięk, który jest podstawą rycerskiego charakteru.

Lingard rozmawiał długo w noc ze swymi trzema gośćmi. Ludzie na *prao* dostali barana z zapasów okrętowych, a w kajucie Hassim i jego dwaj przyjaciele siedzieli rzędem na tylnej ławce, zdobni w kosztowne metale i drogie kamienie ze skazami; wyglądali wspaniale. Rozmowa prowadzona ze strony Lingarda z serdecznym wylaniem, a ze strony Malajów z wytwornością i dworną rozważą, która jest wrodzona wyższym warstwom tego ludu, dotykała wielu tematów i zesłała wreszcie na politykę.

— Myślę, tuanie, że jesteś potężnym mężem w swej ojczyźnie — rzekł Hassim, obrzucając wzrokiem kajutę.

— Moja ojczyzna leży wśród dalekiego morza, gdzie lekkie bryzy są równie silne jak tutaj wiatry w porze deszczów — rzekł Lingard. Rozległy się ciche okrzyki podziwu. — Wyjechałem stamtąd, będąc bardzo młodym i nie wiem nic o swej potędze w kraju, gdzie wielcy ludzie równie są liczni jak biedacy na wszystkich waszych wyspach, tuanie Hassimie. — Ale tutaj — ciągnął dalej — tutaj, gdzie także jest moja ojczyzna — ponieważ to jest statek angielski i w dodatku godny tej nazwy — czuję się wcale potężnym. Prawdziwie, jestem tu radzą. Ten kawałek mojej ojczyzny należy do mnie.

Na gościach zrobiły te słowa wielkie wrażenie; patrzyli na siebie znacząco, kiwali głowami.

— Pięknie, pięknie, tuanie — rzekł wreszcie Hassim z uśmiechem. — Wozisz ze sobą po morzu swoją ojczyznę i swoją potęgę. Jesteś radzą na morzu. To pięknie!

Lingard wybuchnął grzmiącym śmiechem, a goście jego wyglądali na rozbawionych.

— Twój kraj jest bardzo potężny, wiemy o tem — zaczął znów Hassim po krótkiej przerwie — ale czy jest silniejszy od kraju Holendrów, którzy kradną nam ziemię?

— Silniejszy? — krzyknął Lingard. Otworzył szeroką dłoń. — Silniejszy? Moglibyśmy wziąć ich do ręki — o tak — i zamknął dłoń tryumfalnie.

— A czy każecie im płacić haracz za ziemię? — dopytywał skwapliwie Hassim.

— Nie — odrzekł Lingard bardziej umiarkowanym tonem; — widzisz, tuanie Hassimie, to nie jest w zwyczaju u ludzi białych. Moglibyśmy to zrobić, naturalnie, ale to nie jest w zwyczaju.

— Ach tak? — zapytał tamten, uśmiechając się sceptycznie. — A oni są silniejsi niż my i żądają od nas haraczu. I otrzymują go niekiedy — nawet z Wajo, gdzie każdy człowiek jest wolny i nosi kriss.

Zapadła głucha cisza; Lingard zamyślił się, Malaje patrzyli kamiennym wzrokiem w przestrzeń.

— A my spalamy nasz proch, walcząc ze sobą — ciągnął łagodnie Hassim — i stępujemy naszą broń jedni na drugich.

Westchnął, urwał na chwilę, poczem przeszedł do swobodnego tonu i zaczął nalegać aby Lingard odwiedził Wajo — „dla handlu i dla zobaczenia się z przyjaciółmi“ — rzekł, kładąc rękę na piersiach i pochylając się zlekka.

— Aha. Dla handlu z przyjaciółmi — zawołał Lingard ze śmiechem — bo też taki okręt — powiódł ręką dokoła — bo też taki okręt to gospodarstwo, gdzie za kotarą kryje się wielu domowników. Kosztowny jest jak żona i dzieci.

Goście powstali i zaczęli się żegnać.

— Strzelałeś dla mnie trzy razy, Panglimo Hassimie — rzekł poważnie Lingard — a ja kazałem złożyć na pokładzie twego *prao* trzy baryłki prochu; jedną za każdy strzał. Ale rachunek między nami jeszcze nie wyrównany.

Oczy Malaja zabłyśły radością.

— To zaiste dar przyjaciela. Odwiedź mię w moim kraju!

— Obiecuję — rzekł Lingard — odwiedzić cię — kiedyś.

Spokojna powierzchnia zatoki odbijała wspaniałe nocne niebo, a bryg i *prao* za rufą okrętu wyglądały jak zawieszony między gwiazdami, wśród spokoju,

który był prawie niezmiernym w swej nieskazitelnej doskonałości. Na pokładzie zamieniono ostatecznie uściski rąk i Malaje udali się na swój statek. Następnego ranka, gdy wkrótce po wschodzie słońca powiał wiatr, bryg i *prao* opuściły razem zatokę. Na pełnym morzu Lingard rozpiął wszystkie żagle i zбочzył z drogi, przepływając wzdłuż *prao* aby się pożegnać przed rozstaniem — gdyż oczywiście bryg posuwał się o trzy stopy w tym samym czasie co *prao* — o jedną. Hasim stał na wysokim tylnym pomoście.

— Szczęśliwej drogi! — okrzyknął się Lingard.

— Pamiętaj o przyrzeczeniu! — odpowiedział tamten. — I przyjeźdź prędko! — wołał, podnosząc głos w miarę tego jak bryg ich mijał. — Przyjeźdź prędko, aby nie stało się to, co może jest sądzone!

Bryg pędził naprzód.

— Co? — krzyknął Lingard zdumionym głosem — co jest sądzone?

Nadśluchiwał odpowiedzi. A po wodzie przyplęły nęły niki słowa:

— Tego nikt nie wie!

III

— Słowo daję, nie mogłem tego chłopca nie polubić! — wykrzykiwał Lingard, opowiadając tę historję; i gdy spoglądał wokoło po oczach błyszczących skroś dymu z cygar — on, dawny chłopiec okrętowy na trolerze w Brixham, potem młodzieniec na żaglowcach przewożących węgiel, dojrzały mężczyzna ze statków głębokowodnych, kopacz złota, właściciel i komendant „najpiękniejszego ze wszystkich brygów“ — wiedział, że jego słuchacze — marynarze, kupcy, go-

niący jak i on za przygodami — przyjmują te słowa nie jako wyraz uczuć, lecz jako hołd najwyższego uznania dla malajskiego przyjaciela.

— Jak mi Bóg miły, pojedę do Wajo! — zawołał; półkole głów skłoniło się z aprobatą pełną powagi, a zlekka ironiczny głos rzekł zwolna: „No, Tomie, karjera twoja będzie gotowa, gdy zasiądziesz po prawicy tego twojego radzy“.

— Jedź z Bogiem, a pilnuj się dobrze! — zawołał inny głos ze śmiechem.

Trochę zawodowej zazdrości musiało dać sobie upust, ponieważ Wajo ze względu na stan chronicznych zamieszek było zamknięte dla białych kupców; ale z żartów tych ludzi nie przebijała prawdziwa zawiść. Zaczęli wstawać z miejsc, ściskając dłoń Lingarda i rozproszyli się jeden po drugim. A on udał się wprost na pokład swego okrętu i aż do rana spacerował po rufie miarowym krokiem. Wokoło niego na statkach migotały światła kotwiczne, na wybrzeżu światelka migotały rzędami, nad jego głową gwiazdy migotały wśród czarnego nieba, i odbite w czarnej wodzie portu migotały głęboko pod nogami. A wszystkie te niezliczone jaśniejące punkciki gubiły się ze szczeniem w olbrzymiej ciemności. Raz posłyszał w odali dudnienie łańcucha; to jakiś okręt zarzucał kotwicę gdzieś daleko, poza urzędowymi granicami portu. „Obcy okręt“ — pomyślał Lingard — „każdy z nas byłby wjechał do środka. Może to okręt z kraju?“ I uczył się dziwnie wzruszony myślą, że ten okręt, strudzony miesiącami wędrówki, nie śmie się zbliżyć do miejsca wypoczynku. O świcie, gdy wielki statek z zachodu — o bokach porysowanych pręgami rdzy i szarych od morskiej soli — wjeżdżał powoli do portu

aby umieścić się blisko brzegu, Lingard opuścił port, kierując się ku wschodowi.

Groźna burza szalała w zatoce, gdy po długiej przeprawie — pod koniec parnego, cichego dnia, zmarnowanego na bezradnem tkwieniu naprzeciw celu podróży — Lingard wykorzystał dorywcze podmuchy wiatru i zbliżył się do brzegów Wajo. Z właściwą sobie śmiałością posuwał się naprzód, dobijając do nieznanego wybrzeża, i to wśród nocy, która byłaby przejęła zgrozą innego człowieka; a za każdą oślepiającą błyskawicą rodzinny kraj Hassima zdawał się przyskakiwać bliżej — poczem zniknął natychmiast, jakby się czał gdzieś nisko, gotując się do następnego skoku z nieprzeniknionych ciemności. Podczas długiego dnia ciszy Lingard utworzył sobie tak dokładny obraz wybrzeży, obserwując je z pokładu i zgóry; rozpatrzył tak starannie zarys lądu i wszystkie miejsca niebezpieczne, że choć w chwili, gdy dawał wreszcie rozkaz spuszczenia kotwicy, już od dłuższego czasu nie był w stanie dojrzeć nic absolutnie, jakby mu omotano głowę wełnianą kołdrą, jednak najbliższa migotliwa, sina błyskawica ukazała mu bryg zakotwiczony prawie ściśle tam gdzie zamierzał — naprzeciw wąskiego białego brzegu, blisko ujścia rzeki.

Ujrzał na wybrzeżu wysoką grupę bambusowych chat na palach, niewielki gaj wyniosłych palm, które gięły się wszystkie razem pod wichurą jak źdźbła trawy, tuż nad brzegiem coś nakształt palisady z zaostrzonych kołów, a w oddali ciemne tło podobne do olbrzymiej ściany — wzgórze lasem pokryte. W następnej chwili wszystko to znikło z przed jego oczu najkompletniej, jak unicestwione i zanim się zdążył odwrócić, ukazało się znów z nagłym hukiem, nie-

tknięte i nieruchome pod krzywemi grotami płomieni, jakby jakaś bajeczna kraina nieśmiertelnych, przeciwstawiająca się gniewowi i ogniom niebios.

Lingard niepewny był dna, w którem tkwiła kotwica; obawiał się, że w straszliwych napadach lądowego wiatru grunt może puścić i zostać na pokładzie, czuwając nad bezpieczeństwem statku. Trzymał rękę na lince sondy, aby go ostrzegła natychmiast, w razie gdyby bryg pociągnął za sobą kotwicę; stał przy burcie prawie ciągle ogłuszony i oślepiiony, ale oczarowany zarazem powtarzającą się błyskawiczną wizją nieznanego wybrzeża — widokiem tak porywającym zarówno z powodu przeczuwanych niebezpieczeństw jak i przez nadzieję powodzenia, którą nieznaną brzeg budzi zawsze w sercu prawdziwego miłośnika przygód. A niezmienny wygląd tego wybrzeża, jego głęboki, niemy spokój pod strumieniami ognia i wśród gwałtownego huków, czynił je niewymownie tajemniczem i zdumiewającym.

Wśród napadów gwałtownej ulewy zdarzały się krótkie chwile spokoju, podczas których cichły niekiedy nawet i grzmoty, jakby dla zacerpnięcia tchu. Podczas jednej z tych przerw Lingard, zmęczony i śpiący, zapadł w drzemkę, stojąc, i wydało mu się nagle, że gdzieś w dole morze przemówiło ludzkim głosem. Rzekło: „Niech będzie Bóg pochwalony“ — a głos dźwięczał słabo, wyraźnie i ufnie, jak głos dziecka w katedrze. Lingard drgnął i pomyślał: „Przyśniło mi się coś“ — gdy natychmiast morze odezwało się tuż pod nim: „Rzućcie mi linę“.

Grom warczał groźnie, a Lingard, krzyknawszy do ludzi na pokładzie, patrzył z natężeniem wdół, aż wreszcie rozpoznał unoszącą się na wodzie zadartą twarz

człowieka z szeroko otwartymi oczami, które błyszcząły wpatrzone w niego, a potem zaczęły mrugać w świetle błyskawicy. Cała załoga rzuciła się gorączkowo na pomoc i wiele lin przerzucono przez burzę. Wówczas w porywie wichru przeleciał nad poręczą człowiek jakby niesiony burzą i zwałił się na pokład. Zanim ktokolwiek zdążył go podnieść, skoczył na nogi, tak że ludzie stłoczeni wkoło niego zachnęli się w tył. Po nury, siny blask ukazał osłupiałe twarze majtków skamieniałych ze zdumienia i doszczętnie przez grom ogłuszonych. Po chwili doszedł ich uszu — jak gdyby byli pogrążeni w otchłani wiecznej ciszy — nieznany, słaby, daleki głos, który mówił:

— Szukam białego człowieka.

— Jestem — zawołał Lingard. Potem, gdy nieznajomy stanął pod lampą w kajucie, ociekający wodą i nagi, z mokrą przepaską na biodrach, Lingard rzekł: — Nie znam ciebie.

— Nazywam się Dżaffir i przybywam od Paty Hassima, który jest moim wodzem i twoim przyjacielem. Czy to znasz?

Pokazał ciężki, złoty pierścień z dość pięknym szmaragdem.

— Widziałem to dawniej na palcu radzy — rzekł Lingard, poważniejąc.

— To jest świadectwo prawdy moich słów — posłanie od Hassima brzmi: — Odejdź i zapomnij!

— Ja nie zapominam! — rzekł zwolna Lingard. — Nie taki człowiek ze mnie. Cóż to znów za wybryk?

Nie potrzebujemy powtarzać w całej rozciągłości opowiadania Dżaffira. Okazało się iż Hassim, wróciwszy do kraju po spotkaniu z Lingardem, zastał swego krewniaka umierającego i dowiedział się, że powstało

silne stronnictwo aby przeciwstawić się prawowitemu następcy. Stary radża Tulla umarł późno w noc i — wedle słów Dżaffira — jeszcze przed wschodem słońca rozpoczęła się bójka na podwórku *dalama* władcy. Była to przedwstępna walka, po której nastąpiła wojna domowa poparta przez obce intrygi; wojna prowadzona i wśród dżungli, i na rzece, a polegająca na obleganiu ostrokołów i na leśnych zasadzkach. W tej walce obie strony — jak twierdził Dżaffir — wykazały wielką odwagę, a jedna z nich — nieugięte poświęcenie dla sprawy, którą od początku można było uważać za przegraną. Przed upływem miesiąca Hassim był zbiegiem, choć stał wciąż jeszcze na czele zbrojnego oddziału. Nie porzucił jednak walki, mając niejasne przeczucie, że przyjazd Lingarda kartę odwróci.

— Żyjemy już od tygodni dzikim ryżem; walczyliśmy całymi dniami, nie mając w brzuchach nic prócz wody — przemawiał Dżaffir tonem prawdziwego zjadacza ognia.

I opowiadał dalej jak Hassim, party nieustannie ku morzu wraz z niewielkim oddziałem swych stronników, bronił się już od wielu dni, zamknięty w ostrokołe nad wodą.

— Ale co noc znikają po kilku ludzi — zwierzał się Dżaffir. — Byli znużeni i głodni, i uciekali aby się najęść u swych nieprzyjaciół. Jest nas teraz już tylko dziesięciu — dziesięciu mężczyzn i jedna kobieta o sercu męża, którzy już dzisiaj umieramy z głodu — a jutro zginiemy prędką śmiercią. Widzieliśmy twój okręt w oddali przez cały dzień; ale przybyłeś zapóźno. Więc radża, lękając się podejscia i bojąc się, aby coś złego nie spotkało ciebie — jego przyjaciela — dał mi ten pierścień, a ja popełziłem na brzuchu przez piasek,

i popłynąłem w noc — i oto ja, Dżaffir, najlepszy pływak z Wajo i niewolnik Hassima powiadam ci jego zlecenie: — Odejdź i zapomnij — a to jest jego dar — bierz!

Pochwycił nagle rękę Lingarda, wetknął w nią szorstko pierścień, a potem rozejrzał się pierwszy raz po kajucie zdumionemi lecz nieulekłemi oczami. Wzrok jego przylgnął do półkola bagnetów i zatrzymał się z upodobaniem na stojaku z muszkietami. Dżaffir wydał pomruk pełen zachwytu.

— *Ya, wa*, oto jest siła! — szepnął jakby do siebie. — Ale przyszła do nas zapóźno.

— Może jeszcze nie jest zapóźno — zawołał Lingard.

— Zapóźno — powtórzył Dżaffir. — Jest nas tylko dziesięciu, a o świcie wypadniemy by umrzeć. — Podszedł do drzwi kajuty i stanął zakłopotany, gdyż nie był przyzwyczajony do zamków i klamek.

— Co teraz zrobisz? — zapytał Lingard.

— Popłynę z powrotem — odparł Dżaffir. — Zlecenie jest wypełnione, a noc nie może trwać wiecznie.

— Mógłbyś zostać ze mną — rzekł Lingard, patrząc badawczo na Malaja.

— Hassim czeka — brzmiała krótka odpowiedź.

— Czy rozkazał ci wrócić? — spytał Lingard.

— Nie! I poco? — rzekł tamten zdziwionym tonem.

Lingard chwycił go porywczo za rękę.

— Gdybym miał dziesięciu ludzi takich jak ty! — wykrzyknął.

— Nas jest dziesięciu, ale tamtych wypada dwudziestu na każdego z naszych — rzekł Dżaffir z prostotą.

— Czy nie pragniesz czegoś, co jest w ludzkiej mocy? — spytał Lingard.

Malaj zawahał się chwilę, a Lingard zauważył zapadłe oczy, wystające zebra i znudzony wygląd tego człowieka.

— Mów — naglił go z uśmiechem; — posłaniec niosący dar musi otrzymać nagrodę.

— Daj mi łyk wody i garść ryżu, abym miał siłę dotrzeć do brzegu — rzekł śmiało Dżaffir. — Albowiem tam — wskazał głową — nie mieliśmy dziś nic do jedzenia.

— Dostaniesz jeść — dostaniesz z moich własnych rąk — zamruczał Lingard.

Usłużył sam Dżaffirowi, obniżając się przez to na jakiś czas w jego oczach. Podczas gdy posłaniec, przykucnąwszy na piętach, jadł bez pośpiechu lecz z wielkiem przejęciem, Lingard obmyślał plan działania. Ponieważ nie był świadom prawdziwego stanu rzeczy w tym kraju, rozsądek nie pozwalał mu nic przedsięwziąć poza ratowaniem Hassima z grożącego mu niebezpieczeństwa. W tym celu postanowił spuścić szalupę i posłać ją do brzegu po Hassima i jego ludzi. Znał dość dobrze Malajów i był przekonany, że w taką noc oblegający — którzy byli pewni zwycięstwa i, jak mówił Dżaffir, o władnęli wszystkimi czołnami — nie będą się zbytnio mieli na ostrożności, szczególnie od strony morza. Dowodził tego zresztą sam fakt, że Dżaffir mógł niepostrzeżenie popłynąć. Gdy błyskawice staną się mniej gęste, łódź będzie mogła zbliżyć się cichaczem do brzegu, a pokonany oddział — czy to wymykając się po jednemu, czy robiąc wspólny wypad — wsiądzie do łodzi i dostanie się na pokład brygu.

Wyłuszczył swój plan Dżaffirowi, który słuchał go bez najlżejszej oznaki zainteresowania, śnać zbyt za-

przątnięty jedzeniem. Gdy znikło ostatnie ziarno ryżu, powstał z miejsca, pociągnął długi łyk wody z butelki, mruknął: „Rozumiem. Dobrze. Powiem Hassimowi“ — i zaciskając szmatę wkoło bioder, zabierał się do odejścia. „Daj mi czas dopłynąć do brzegu, tuanie“, rzekł, „a gdy łódź wyruszy, zapal drugie światło obok tego, które świeci teraz jak gwiazda nad twym okrętem. Zobaczymy je i zrozumiemy. A nie wysyłaj łodzi, póki błyskawice nie zrzędną; łódź większa jest niż człowiek na wodzie. Nakaż wiosłarzom, aby kierowali się ku gajowi z palm i aby się zatrzymali, gdy wiosło zanurzone w wodę silnem ramieniem dotknie dna. Usłyszają wkrótce nasz okrzyk; ale jeśli się nikt nie pokaże, muszą odjechać przed świtem. Wódz może przełożyć śmierć nad życie, a ci, co z nami zostali, dzielnego są serca. Czy rozumiesz, o wielki mężu?“

— Ten chwyt ma dobrze w głowie — mruknął do siebie Lingard i rzekł, gdy stali już obok siebie na pokładzie: — Ale na brzegu mogą być wrogowie, o Dżaffirze, i mogliby również krzyknąć aby oszukać mych ludzi. Więc niech wasz okrzyk brzmi: *Błyskawica!* Będziesz pamiętał?

Przez chwilę Dżaffir zdawał się krztusić.

— Bły-wica! Czy dobrze? Pytam się czy dobrze mówię, o silny mężu! — Po chwili cień jego stał już na burcie.

— Tak. Dobrze. Idź już — rzekł Lingard, a Dżaffir skoczył, stając się niewidzialnym długo nim o wodę uderzył. Rozległ się plusk; po chwili słaby głos zawołał szybko i niewyraźnie: „Bły-wica. Ah, ha!“ — i nagle szkwał z grzmotami runął z nową siłą na wybrzeże. W gromowych błyskach Lingard oglądał raz po raz wizję białego brzegu, gaj pochylonych palm,

ostrokół tuż nad morzem, daleki las: rozległy krajobraz cichy i tajemniczy — ojczyznę Hassima, pogrążoną w niewzruszonym śnie pod gniewem i płomieniami niebios.

IV

Aż po dziś dzień podróżnik zwiedzający Wajo, jeśli zasługuje na zaufanie prostego ludu, może usłyszeć tradycyjną opowieść o ostatniej wojnie domowej, wraz z legendą o wodzu i jego siostrze, których matka była potężną księżną podejrzaną o czary i na łożu śmierci powierzyła swym dzieciom tajemnicę sztuki czarnoksięskiej. Szczególniej siostra wodza, „o wyglądzie dziecka i nieulekłym męstwie wielkiego wojownika“, nabyła wprawy w rzucaniu uroków. Oboje zostali zwyciężeni przez swego ciotecznego brata, ponieważ — brzmi proste wyjaśnienie opowiadającego — „odwaga nasza, ludzi z plemienia Wajo, jest tak wielka, że czary nic przeciw niej nie mogą. Walczyłem w tej wojnie. Przyparliśmy ich grzbietami do morza“. I opowiadający ciągnie dalej załęcznionym głosem, że pewnej nocy, „gdy szalała burza o jakiej nie słyszano nigdy przedtem ani potem“ — okręt podobny do okrętów białych ludzi zjawił się blisko brzegu, „jak gdyby przyżegłował z chmur. Posuwał się z żaglami wzdętymi przez wiatr; rozmiarami dorównywał wyspie; błyskawica igrała wśród masztów, wyniosłych jak szczyty gór; nisko nad nim paliła się gwiazda, przeświecająca przez chmury. Poznaliśmy odrazu że to gwiazda, bo żaden płomień zapalony przez człowieka nie byłby wytrzymał wichru i ulewy tej nocy. Była to taka noc że my, cośmy stali na straży, ledwie śmie-

liśmy spoglądać na morze. Ulewny deszcz zaciskał nam powieki. Zaś gdy uczynił się dzień, nie było już nigdzie okrętu, a za ostrokołem, gdzie poprzedniego dnia znajdowało się stu ludzi albo więcej, zdanych na naszą łaskę i niełaskę, nie został ani jeden. Wódz Has-sim uciekł, a z nim jego siostra, która była księżniczką w tym kraju — i nikt nie wie, co stało się z nimi od tamtej chwili aż do dnia dzisiejszego. Czasem kupcy z naszych okolic powiadają, że słyszeli o nich tu, i słyszeli o nich ówdzie, ale są to tylko kłamstwa ludzi wędrujących w dal za zarobkiem. My, którzy mieszkamy w tym kraju, wierzymy że okręt pożeglował z powrotem w chmury, skąd został sprowadzony przez zaklęcia księżniczki. Czyż nie widzieliśmy tego okrętu na własne oczy? A co się tyczy radzy Has-sima i jego siostry, Mas Immady, jedni mówią tak, drudzy inaczej, ale Bóg jeden zna prawdę“.

Oto tradycyjna opowieść o wycieczce Lingarda na wybrzeże Boni. I prawdą jest, że przybył i odjechał tej samej nocy, bo gdy świt błysnął na chmurnem niebie, bryg pod skróconem ożagleniem, sieczony bryzgami, pędził na południe, opuszczając zatokę. Lingard czuwał nad rączym biegiem statku i patrząc naprzód niespokojnemi oczyma, raz po raz pytał się siebie ze zdziwieniem, dlaczego właściwie gna tak swój okręt, rozwiniawszy wszystkie żagle? Włosy Lingarda rozwiewał wiatr, duszę miał pełną troski, kłębiło się w nim wiele nowych myśli o niejasnych zarysach, a pod jego nogami posłuszny statek pędził naoslep od fali do fali.

Właściciel i komendant brygu nie wiedział, dokąd dąży. Ten miłośnik przygód miał tylko niewyraźne poczucie, że stoi u progu nowej wielkiej przygody. Należało czegoś dokonać i czuł, że ten mus spada na

niego. Spodziewano się tego po nim. Spodziewało się morze, spodziewał się ład. A także i ludzie! Historia tej wojny i cierpień przez nią zadanych; niezłomna wierność Dzaffira; widok Hassima i jego siostry, noc, burza, wybrzeże pod strumieniami ognia — wszystko to składało się na porywający objaw życia, który wzywał wyraźnie jego pośrednictwa. Ale najgłębiej przemawiała do niego milcząca, zupełna, bezwzględna i pozornie obojętna ufność tych ludzi. Z objęć śmierci niejako padli wprost w jego ramiona i pozostali w nich biernie, jakby nie istniały wogóle takie uczucia jak nadzieja lub pragnienie. Ta zdumiewająca obojętność zdawała się go przygniatać ciężarem wielkiej odpowiedzialności.

Mówił sobie, że gdyby ci zwyciężeni ludzie nie spodziewali się po nim wszystkiego, nie odnosiliby się tak obojętnie do jego zamierzeń. Niemy ich spokój wzruszał go bardziej niż najzarliwsze błagania. Ani słowa, ani szeptu, ani nawet pytającego spojrzenia! Nie pytali o nic! Pochlebiało mu to. I cieszyło go do pewnego stopnia, bo choć w nieświadomej swej głębi był absolutnie pewien że czegoś dokona, nie miał jednak pojęcia, co począć z gromadką tych skołatanych i pognębionych istot, które swawolny los wydał mu w ręce.

Powitał zbiegów, pomógł niektórym z nich dostać się przez burtę; w ciemnościach pociętych błyskawicami odgadł, że ani jeden nie uszedł cało i stojąc wśród ślaniających się postaci, zastanawiał się, jakim sposobem zdołali się dostać do łodzi, która ich przywiozła. Chwycił bez ceremonji w ramiona najmniejszą z postaci i zaniósł ją do kajuty, a potem, nie rzucawszy nawet okiem na swój lekki ciężar, pobiegł

znów na pokład by zarządzić odjazd. Gdy wykrzykiwał rozkazy, zdał sobie niejasno sprawę, że ktoś snuje się u jego boku. Był to Hassim.

— Nie mogę prowadzić teraz wojny — wyjaśnił szybko z za ramienia Lingarda — a jutro może nie będzie wiatru.

Potem na pewien czas Lingard zapomniał o wszystkich i o wszystkim, prowadząc bryg przez niebezpieczne miejsca za zatoką. Ale po upływie pół godziny, płynąc w pół wiatru, odsadził się od brzegu i odechnął. I wówczas dopiero podszedł do dwojga ludzi stojących na rufie, gdzie w trudnych chwilach obcował zwykle sam na sam z okrętem. Immada i Hassim — który wywołał siostrę z kajuty — stali tam oboje; od czasu do czasu Lingard widział ich z niesłychaną wyrazistością jedno obok drugiego, jak spleceni ramionami patrzyli ku tajemniczej krainie, która za każdą błyskawicą zdawała się odszukiwać dalej od brygu — nietknięta i coraz mniej wyraźna.

W myślach Lingarda górowało pytanie: „Cóż ja u Pana Boga z nimi pocznę“? A nikt nie zdawał się dbać o to, co on zamierza. Dżaffir z ośmiu innymi Malajami, umieszczonymi na głównej luce, opatrywali sobie nawzajem rany i gawędzili pocichu bez końca, weseli i spokojni jak dobrze wychowane dzieci. Każdy z nich ocalił swój kriss, ale Lingard musiał obdzielić ich perkalem z towarów przeznaczonych na sprzedaż. Ilekroć koło nich przechodził, patrzyli za nim wszyscy z powagą. Hassim i Immada mieszkali w kajucie. Siostra wodza wychodziła na pokład tylko wieczorem i słychać było wówczas dwoje rodzeństwa, jak szeptali niewidzialni w cieniach tylnego pokładu. Wszyscy Malaje, pełni szacunku, trzymali się od nich zdaleka.

Lingard, chodząc po tylnym pomoście, przysłuchiwał się cichym głosem, wznoszącym się i opadającym melancholijnym rytmem; niekiedy wyrywał się kobiecie okrzyk — jak gdyby gniewu lub bólu. Wówczas Lingard przystawał. Głębokie westchnienie płynęło ku niemu w górę wśród nocnego spokoju. Czujne gwiazdy otaczały wędrowny okręt i ze wszech stron światło ich padało skroś rozległej ciszy na bezszmerne morze. Lingard zaczynał znów chodzić po pokładzie, mruczając pod nosem:

— Belarab jest do tego jedyny. Tylko do niego mogę się zwrócić o pomoc, ale nie wiem czy potrafię go odnaleźć. Gdybym tak miał tu starego Jörgensona — choćby tylko na dziesięć minut.

Ten Jörgenson wiedział o rzeczach, które działy się na długo przedtem i przebywał wśród ludzi obrotnych w codziennem życiu, ale nie dbających o jutro i nie mających czasu na pamięć o dniu wczorajszym — a ściśle mówiąc, nawet wśród nich nie przebywał. Pojawiał się tylko między nimi od czasu do czasu. Mieszkał z malajską kobietą w dzielnicy krajowców, w domku malajskim, stojącym na gruncie ogrodzonym i zarosłym babką; jedynem umeblowaniem tego domku były maty, naczynia kuchenne, dziwaczna sieć rybacka rozwieszona na dwóch tykach i niewielka skrzynka mahoniowa z zamkiem i srebrną płytką, na której widniały słowa: „Kapitan H. C. Jörgenson. Barka *Dzika Róża*“.

Wyglądało to jak napis na grobie. *Dzika Róża* już nie istniała, podobnie jak i kapitan H. C. Jörgenson, a skrzynka z sekstanssem była wszystkim, co po nich zostało. Stary Jörgenson, wychudzony i niemy, zjawiał się nieraz podczas jedzenia na którymś z okrę-

tów, prowadzących handel w cieśninach, i każdy steward — czy to Chińczyk czy mulat — dodawał niechętnie jeszcze jedno nakrycie, nie czekając na rozkazy. Gdy kupcy żeglarze gromadzili się hałaśliwie wokół połyskujących butelek i szklanek na oświetlonej werandzie, stary Jörgenson wyłaniał się nad schodami jakby z głębi ciemnego morza i, podchodząc z niepewną siebie fantazją, brał pierwszą z brzegu szklankę.

— Piję za zdrowie was wszystkich. Nie — nie trzeba mi krzesła.

Stał niemy nad rozprawiającą gromadką. Milczenie jego było równie wymowne, jak wypowiedane raz po raz przestrogi niewolnika przy uczcie. Ciało Jörgensona zmarniało, co jest zwykłym udziałem ciała, umysł pograżył się w zamęcie przeżytych lat, lecz kościsty zrąb jego olbrzymiej budowy przetrwał, jakby był z żelaza. Ręce mu się trzęsły, ale oczy były spokojne. Przypuszczano że wiedział dokładnie, jaki był koniec wielu tajemniczych ludzi i tajemniczych przedsięwzięć. Był sam jaskrawym przykładem przegranej, lecz wiercono że zna sekrety, które mogłyby niejednemu przynieść majątek; jednocześnie zaś panowało przekonanie, iż wiedza jego nie należy do tych, któreby mogły się przydać przeciętnie ostrożnemu człowiekowi.

Potężny ten szkielet, odziany w spłowiałą niebieską dymkę i pozbawiony zupełnie bielizny, wegetował jakimś sposobem. Czasami, gdy mu zaproponowano, przeprowadzał jakiś wracający do kraju okręt przez cieśninę Rhio, jednak przedtem zapewniał kapitana:

— Pan nie potrzebuje pilota; tamtędy można przejechać z zamkniętymi oczami. Ale jeśli pan chce, stawię się. Dziesięć dolarów.

Potem, gdy powierzony mu okręt znalazł się za ostatnią wyspą, jechał z powrotem trzydzieści mil czółnem z dwoma starymi Malajami, którzy wyglądali w pewnej mierze na jego adherentów. Trzydziestomilowa podróż morską pod równikiem słońcem w wywrotnem czółniku, w którym nie można się poruszyć, gdy się raz zasiądzie, jest czynem wymagającym wytrzymałości fakira i cech właściwych salamandrze. Dziesięć dolarów to było tanio, i naogół udawano się często do Jörgensona. Gdy przyszły ciężkie czasy, pożyczal pięć dolarów od któregośkolwiek z awanturnicznych żeglarzy, przyczem oświadczał:

— Nie będę mógł panu prędko oddać, ale moja dziewczyna musi jeść; a jeśli się pan chce czegokolwiek dowiedzieć, to służę panu.

Ciekawa rzecz, że nikt się nigdy nie uśmiechał, słysząc to: „czegokolwiek“. Odpowiadano mu zwykle:

— Dziękuję, stary; jak będę potrzebował jakich informacji, zwrócę się do pana napewno.

Jörgenson kiwał wówczas głową i mówił: „Ale pamiętaj pan — jeżeli wy, młodziaki, nie jesteście tacy jak my, którzyśmy przebiegali te morza przed laty — to moje wskazówki mogą się stać dla was czemś gorszem od trucizny“.

Jörgenson miał ulubieńców, z którymi mniej był milczący; od niego to właśnie usłyszał Lingard o Darat-es-Salam — „Wybrzeżu Zbiegów“. Jörgenson znał ongi — jak się wyraził — „wnętrze tego kraju, bezpośrednio po owych pradawnych czasach, gdy biało odziani Padrysowie wygłaszali kazania i walczyli po całej Sumatrze, tak że Holendrzy mieli porządnego pietra“. Jörgenson wyraził się coprawda trochę inaczej, ale powyższa parafraza oddaje dość dobrze treść

jego pogardliwych słów. Lingard usiłował teraz przypomnieć sobie i zestawić pożyteczne dla siebie ustępy ze zdumiewających opowiadań starego Jörgensona; ale pozostało mu tylko w pamięci niejasne wyobrażenie o tej miejscowości i silne lecz niewyraźne poczucie niebezpieczeństw grożących przy dojeździe do wybrzeża. Namyslał się wciąż, a bryg — stosując się w ruchach do stanu duszy swego pana — ociągał się i zdawał się również namyslać, kołyszając się tam i sam w dni ciszy.

Właśnie z powodu tego wahania wielki okręt z New Yorku, naładowany skrzyniami z oliwą dla Japonji, przejeżdżając przez przesmyk Biliton, ujrzał pewnego ranka bardzo szykowny bryg, leżący w dryfie na właściwej drodze, trochę na wschód od Carimaty. Chudy szyper w surducie i tęgi pomocnik o gęstych wąsach uważali, że bryg jest prawie za piękny jak na statek angielski i zastanawiali się, dlaczego jego komendant spuszcza marsel bez żadnego widocznego powodu. Żagle wielkiego okrętu wiodły go naprzód, trzepocząc w lekkim powiewie, a gdy ujrzano bryg po raz ostatni daleko za rufą, główna reja była wciąż skantowana, jakby bryg kogoś oczekiwał. Lecz kiedy nazajutrz londyński kliper z ładunkiem herbaty przejeżdżał tą samą drogą, nie zobaczył już pięknego żaglowca, który dzień przedtem wahał się u rozstajnych dróg, biały i nieruchomy. Przez całą tę noc ostatnią Lingard rozmawiał z Hassimem, a nad ich głowami płynęły gwiazdy ze wschodu za zachód jak olbrzymia rzeka iskier. Immada przysłuchiwała się, to wydając ciche okrzyki, to wstrzymując oddech. Raz klasnęła w dłonie. Nikły brzask się pojawił.

— Będiesz traktowany jak ojciec mój w moim

kraju — mówił Hassim. Gęsta rosa kapiała z olinowania a pociemniałe żagle odcinały się czarno na bladym lazurze nieba. — Będziesz mi ojcem, który ku dobremu prowadzi.

— Będę wiernym przyjacielem i chcę być traktowany jak przyjaciel i nic więcej — rzekł Lingard. — Weź swój pierścień z powrotem.

— Czemu gardzisz mym darem — zapytał Hassim ze smutnym i ironicznym uśmiechem.

— Weź go — rzekł Lingard. — On pozostanie moim. Jakże mogę zapomnieć, że patrząc w oczy śmierci, troszczyłeś się o moje ocalenie? Przed nami jest jeszcze wiele niebezpieczeństw. Będziemy często rozdzieleni — aby pracować lepiej, dążąc do tego samego celu. Jeśli kiedy ty lub Immada zapragniecie natychmiastowej pomocy, gdy będę w pobliżu, pošlij mi gońca z tym pierścieniem, a nie zawiodę was, jeśli żyw będę. — Spojrzał wokoło po bladym świetle. — Pomówię wprost z Belarabem, jak jest w zwyczaju u nas białych. Nigdy go nie widziałem, lecz jestem człowiekiem silnym. Belarab musi nam pomóc w odzyskaniu twego kraju, a gdy nasz cel będzie osiągnięty, nie pozwolę aby cię wyzyskał.

Hassim wziął pierścień i skłonił głowę.

— Czas nam wyruszyć — rzekł Lingard. Uczuł lekkie pociągnięcie za rękaw. Spojrzał za siebie i zobaczył, że Immada przyciska czoło do szarej flaneli. — Nie rób tego, dziecko! — rzekł łagodnie.

Słońce weszło nad nikłą, błękitną linią Wybrzeża Zbiegów.

Czas wahania przeminął. Człowiek i okręt, pracując w ścisłym zespole, znaleźli drogę ku nikłej linii błękitnej. Nim słońce uszło pół drogi do miejsca

swego spoczynku, statek został zakotwiczony na odległość strzału od błotnistych mangrowij, w miejscu gdzie przez sto lat lub więcej żaden okręt białego człowieka nie był chwytowi dna powierzony. Poszukiwacze przygód z przed dwóch wieków znali to miejsce z pewnością, gdyż byli nieuczni i niezrównanie śmiali. Jeśli prawdą jest, co mówią niektórzy, że duchy zmarłych nawiedzają miejsca, gdzie trudzili się za życia i grzeszyli, to duchy te mogły teraz ujrzeć białą, wielką łódź o ośmiu wiosłach; u steru siedział spalony przez słońce brodaty mężczyzna w kapeluszu z włókien palmowych, z pistoletami za pasem. Łódź płynęła wzdłuż czarnego błota pełnego skręconych korzeni, szukając dogodnego wjazdu.

Mijali zatokę za zatoką; łódź pełzła zwolna naprzód jak potworny pająk wodny o wielkim odwłoku i ośmiu smukłych nogach... Czy śledziliście bezcielesnemi oczyma poszukiwania tych nieznanych, wczorajszych zdobywców, o wy, duchy zdobywców zapomnianych, którzyście w skórzanych kurtach — złani potem pod stalowemi hełmami — atakowali palisady dziwnych pogan, dzierżąc długie rapiery, albo strzegli z muszkietem na ramieniu i lontem na panewce blokhausów z drzewa nad brzegami rzek, które panują nad korzystnym handlem? Wy, co znużeni znojem walki, spaliście, zawinięci w opończe fryzyjskie, na piasku spokojnych wybrzeży, marząc o bajecznych dżamentach i o dalekiej ojczyźnie.

— Tu jest otwór — rzekł Lingard do Hassima, który siedział u jego boku; słońce staczało się właśnie po lewej stronie za widnokrag. — Oto otwór dość duży, statek może się tędy przedostać. Myślę, że to jest właśnie wejście, którego szukamy. Będziemy wio-

słować całą noc wgóreż zatoki, o ile zajdzie potrzeba, i niech mię djabli porwą, jeśli nie dotrzemy do legowiska Belaraba jeszcze przed świtem.

Położył ster na burtę a łódź skręciła pod ostrym kątem, znikając z wybrzeża.

I kto wie — może w owej chwili cienie dawnych zdobywców pokiwały mądrze cieniami głów i zamieniły między sobą cień tęsknego uśmiechu.

V

— Co się stało w ostatnich czasach królowi Tomowi? — zapytywał któryś z kupców żeglarzy, gdy rozparci na krzesłach odpoczywali po zawziętej partji, rzuciwszy karty na stół.

— Tom nauczył się trzymać język za zębami, pewno knuje jakiś wściekle dobry interes — zawyrokował ktoś inny, zaś mężczyźna o zakrzywionym nosie i niemieckiem pochodzeniu, rzekomo agent holenderskiej firmy handlującej porcelaną — sławnej marki „Sfinks“ — wtrącił mściwie:

— Tajcie mu bokój, banofie — on jest żalony, żalony jak marcowy Häse. Brzed drzema miesiądzami otwieciłem go na bogładzie jeko ogrędu żeby bomófić o inderesach. A on otsywa się do mnie tak: — Fynoś się ban. — Tlaczeko? — mófię. — Fynoś się ban, bo inaczej fyszucę cię za purtę. — Talibóg! Czy dak się mófi o inderesach? Ja mu chcę sprzetac na handel małą zgrzynkę borcelany bierwszorzędnej margi, a on —

— Ha, ha, ha! Ja się tam Tomowi nie dziwie — przerwał właściciel poławiającego perły szkunera, który zawinął do Roads po zapasy. — Jakże, Mojżeszku, przecież na całej Nowej Gwinei niema ani jednego parszy-

wego ludożercy, którego byś pan nie zaopatrzył w filiżankę i spodek. Przesyciłeś pan rynek, rozumiano?

Jörgenson zatrzymał się obok rozmawiających — wyglądał przy stole do gry jak szkielet.

— To dlatego, że z pana jest szpieg holenderski — rzekł raptem groźnym tonem.

Agent marki „Sfinks“ zerwał się w nagłej pasji.

— Co? Co? Banofie, fy wszyscy mnie znacie! — Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzach obecnych. — Znacie mnie — bełkotał mokremi wargami. — Jakto, fünf lat — to skonałe mię znacie — borcelana — Verfluchte tarmozjady. Ich! Szpieg! Tłaczko ja mam być szpiegiem? Brzekłęte angielskie kupczyki!

Trzasnęły drzwi. — Więc to taka sprawa? — spytał głos o amerykańskim akcencie. — Dlaczego nie zrobicie z nim końca?

— Ach, przecież tutaj tego zrobić nie możemy — mruknął jeden z graczy. — Twoja kolej, Trench, jedźmy dalej.

— Nie możecie? — wycedził głos o amerykańskim akcencie. Taka to z was banda synów Beliala — lojalna, przykładowa, trzymająca się prawa? — nie możecie? No a teraz popatrzcie na te pistolety Colta, które sprzedają. — Wziął na bok poławiacza pereł i słychać było, jak w kącie rozповідаł mu coś z powagą. — Widzisz pan — tak się nabija — i — widzisz pan? — Rozległy się szybkie trzaski. — Czy to nie proste? A w razie jakiej awantury — powiedzmy z pańskimi nurkami — trzask, trzask, trzask — na wylot — jak sito — gwarantuję panu, że to wyleczy najgorszego rodzaju przekorę w każdym murzynie. Tak, dobrodzieju! Skrzynka na dwadzieścia cztery sztuki czy też pojedynczo — jak pan woli. Nie? A może armatki, Strzelby? Nie

chce pan? Oho, widzę że nie będę miał z pana pożytku, ale z tym Tomem dałoby się coś porządnego wykombinować — jak to on się nazywa? Gdzie go można przydybać? Co, wszędzie? Eee, to znaczy nigdzie. Ale już ja go którego dnia przyłapię — tak, dobrodzieju.

Jørgenson, doszczętnie zapomniany, patrzył sennie na padające karty. „Szpieg — ja wam to mówię“ — mruknął do siebie. „Jeśli się chcecie czego dowiedzieć, mnie się pytajcie“.

Gdy Lingard powrócił z Wajo po niezwykle długiej nieobecności, wszyscy zauważyli w nim wielką zmianę. Był mniej rozmowny i hałaśliwy, zawsze gościnny, ale gościnność jego stała się mniej wylaną — i człowiek ten, który się czuł najszcześliwszym gdy mógł rozprawiać o fantastycznych, szalonych planach w towarzystwie pół tuzina ludzi sobie podobnych, teraz unikał często spotkania z najlepszymi przyjaciółmi. Jednym słowem, po powrocie okazał się znacznie mniej dobrym kolegą niż przedtem. Odwiedzał kolonje równie często jak dawniej, lecz na krótko; a gdy się zjawiał, śpieszno mu było zawsze odjechać.

W ciągu dwóch lat bryg miał na swój sposób równie ciężkie życie jak i jego właściciel. Zwinny i piękny, przewijał się szybko między wyspami mało znanych grup. Z samotnych przyładek można go było dostrzec w oddali jako białą plamkę, wędrującą szybko po błękitnem morzu; apatyczni dozorczy nie liczących morskich latarni przy głównej drodze na wschód, nauczyli się rozpoznawać krój jego żagli. Widywali go płynącego to na wschód, to na zachód. Raz śmigał niewyraźnie wśród deszczowej mgły szkwału, pędząc z pochyłymi masztami; to znów wyprostowany

sunął spokojnie o drgających żaglach, dążąc pracowicie naprzód w ciągu długiego dnia niepewnej bryzy. Widziano jak walczył z ciężkim mussonem w zatoce Bengalskiej, jak tkwił nieruchomo wśród ciszy na Jawajskim morzu, albo wysuwał się nagle z za przyładka, wdzięczny i cichy w jasnym świetle miesięcznym. Ruchliwość jego była przedmiotem gorączkowych lecz cichych rozmów, które urywały się, gdy Lingard się zjawiał.

— O, idzie. Przyjechał wczoraj w nocy — szeptała plotkująca gromadka.

Lingard nie widział ukrytych spojrzeń, pełnych szacunku zaprawionego ironją; kiwał głową i przechodził.

— Hej, Tomie! Nie zajdziesz napić się czego? — wołał ktoś za nim.

Potrząsał głową, nie oglądając się, i był już daleko.

Widywano go w ciągu dnia lub dwóch, jak — potężny i ogorzały — wysiadał z zakurzonych *gharries*; szedł w słońcu wielkimi krokami od Zachodniego Banku do biura portowego i mijał Esplanadę, znikając w perspektywie uliczki z chińskimi sklepami, a tuż za nim kroczył stary Jörgenson, prawie równie jak on wysoki, chudy i wyblakły, uparty i lekceważony, jak upiorny duch przeszłości, pragnący wejść z powrotem w ludzkie życie.

Lingard nie zwracał uwagi na tę ruinę dawnego awanturnika, który lgnął do niego wierny jak cień, a tamten nie starał się ściągnąć na siebie uwagi. Czekał cierpliwie u drzwi urzędów, znikał podczas drugiego śniadania, zjawiał się znowu niezmiennie wieczorem, i tkwił w miejscu, póki Lingard nie poszedł spać na statek. Policjanci pełniący służbę patrzyli pogardliwie na widmo kapitana H. C. Jörgen-

sona, z barki *Dzika Róża* — gdy wędrowało po cichym bulwarze albo stało spokojnie całemi godzinami na skraju ciemnej przystani, usianej światłami kotwicznymi okrętów — jak awanturniczy duch, pragnący przebyć z powrotem wody zapomnienia.

Przewoźnicy *sampanów*, którzy wracali do domu, wiosłując leniwie wzdłuż czarnego kadłuba brygu stojącego na kotwicy, mogli słyszeć długo w noc głos o amerykańskim akcencie, wymykający się przez podniesione szyby luki świetlnej. Strzępy zdań mówionych przez nos unosily się w ciszy naokół cichego brygu.

— Tak, dobrodzieju! Meksykańskie strzelby wojenne — tak jak nowe — po sześć sztuk w skrzynce — moi klienci w Baltimore — otóż to właśnie. Sto dwadzieścia dolarów na stół za każdą sztukę. Przypuśćmy że to są muzyczne instrumenty, o tak, tą stroną stawia się do góry, starannie — jak to się panu podoba? Nie! gotówka na stół — moi klienci z Balt — Strzelać do rybitew, mówi pan? Hm, hm! To ryzykowny interes — posłuchaj pan — dziesięć procent opuszczę — z mojej własnej kieszeni — —

Ponieważ czas upływał a nic nowego nie zaszło — przynajmniej nic, o czemby ludzie wiedzieli — podniecenie minęło. Nowa postawa Lingarda została przyjęta poprostu jako jego „sposób bycia“. Nic w tem niema, mówili jedni. Inni zaprzeczali. Utrzymało się jednak duże zainteresowanie tą sprawą, i pogłoski o jakichś wielkich przygotowaniach krążyły koło Lingarda w każdym porcie, gdzie się zatrzymywał — od Rangoonu do Hongkongu.

Nigdzie nie czuł się tak bardzo u siebie jak na wprost Wybrzeża Zbiegów, gdy bryg stał na kotwicy

po wewnętrznej stronie wielkiego łańcucha mielizn. Centralny punkt jego życia przesunął się mniej więcej o czterysta mil — od cieśnin Malakki do Wybrzeża Zbiegów — a gdy się Lingard tam znalazł, był w kręgu innego istnienia — we władzy swych porywów, bliżej upragnionego celu. Hassim i Immada przychodzili na brzeg i oczekiwali go na wysepce. Opuszczał ich zawsze z żalem.

Przy końcu pierwszego etapu każdej wędrówki Jörgenson czekał na Lingarda u szczytu portowych schodów i szedł tuż za nim bez słowa. Rzadko kiedy zamieniali parę słów przez cały dzień; ale pewnego wieczoru, na jakie sześć miesięcy przed ostatnią wyprawą Lingarda, gdy przechodzili przez krótki most nad kanałem, gdzie tkwiły grupkami przycumowane statki krajowców, Jörgenson przyspieszył kroku i znalazł się na jednej linii z Lingardem. Była to noc księżycowa; na ziemi nic się nie poruszało prócz cieni wysokich chmur. Lingard zdjął kapelusz i odetchnął głęboko, wciągając ciepły powiew. Jörgenson przemówił nagle ściszym głosem:

— Nowy radża, Tulla, pali opium i często niebezpiecznie jest odezwać się do niego. Wśród możnych w Wajo panuje wielkie niezadowolenie.

— To dobrze! Dobrze! — szepnął z podnieceniem Lingard, tracąc nareszcie panowanie nad sobą. Potem zapytał: — Skądże pan wie o tem u licha?

Jörgenson wskazał palcem na mnóstwo *prao*, łodzi nadbrzeżnych i *sampanów*, które tkwiły na wodzie stłoczone w kanale, pokryte matami i zalane zimnym blaskiem księżyca; gdzieniegdzie widać było mętne światło latarni, palącej się wśród gmatwaniny wysokich ruf, rei, masztów i spuszczonej żagli.

— Stamtąd — rzekł Jørgenson. Szli dalej, a cienie ich w ubraniach i kapeluszach padały ciężko na statki dziwnego kształtu, które wożą po płytkiem morzu losy brunatnych ludzi. — Stamtąd! Umieję z nimi przesiadywać, umieję z nimi mówić, mogę przyjść i odejść, kiedy mi się podoba. Znają mnie już od trzydziestu pięciu lat — to kawał czasu. Niektórzy z nich dają białemu człowiekowi talerz ryżu i kawałek ryby. To wszystko co mi zostało — po trzydziestu pięciu latach życia, które im poświęciłem.

Milczał przez jakiś czas.

— Byłem jak pan — niegdyś — dodał, a potem położył rękę na rękawie Lingarda i szepnął:

— Czy pan daleko w to zabrnął?

— Do najostatniejszego centa — rzekł spokojnie Lingard, patrząc wprost przed siebie.

Połysek wody zagasł i maszty zakotwiczonych statków znikły w cieniu nadciągającej chmury.

— Niech pan to rzuci — szepnął Jørgenson.

— Pozaciągałem długi — rzekł zwolna Lingard i przystanął.

— Niech pan to rzuci!

— Nigdy w życiu nie rzuciłem niczego.

— Niech pan to rzuci!

— Na Boga, nie rzucę! — krzyknął Lingard i tupnął.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Byłem jak pan — niegdyś — powtórzył Jørgenson. — Trzydzieści i pięć lat — nie rzuciłem niczego. A to, czego pan może dokonać, jest tylko dziecinną zabawką w porównaniu do interesów, które miałem w ręku — słyszy pan — choć jesteś pan wielkim człowiekiem. Kapitan Lingard z *Błyskawicy*... Gdyby pan

był widział *Dziką Różę!* — Głos jego załamał się nagle.

Lingard oparł się o poręcz kamiennego występu. Jørgenson przysunął się bliżej.

— Podpaliłem ją własnymi rękami! — rzekł bardzo cicho drgającym głosem, jakby czyniąc jakieś potworne zwierzenie.

— Biedaczysko — mruknął Lingard, poruszony do głębi tragiczną okropnością tego czynu. — Widocznie nie było innego wyjścia?

— Nie chciałem dopuścić, aby zgniła i rozpadła się w kawałki w jakimś holenderskim porcie — rzekł Jørgenson ponuro. — Czy pan słyszał kiedy o Dawsonie?

— Coś nie coś — nie pamiętam już teraz — mruknął Lingard, czując że zimny dreszcz zbiega mu po grzbiecie na myśl o jego własnym statku, butwiejącym powoli w jakimś holenderskim porcie. — On już nie żyje — prawda? — zapytał z roztargnieniem, rozmyślając czy zdobyłby się na odwagę podpalenia brygu — gdyby zaszła taka konieczność.

— Poderznął sobie gardło na wybrzeżu pod fortem Rotterdamem — rzekł Jørgenson. Wychudła jego postać zachwiała się w niepewnym świetle księżyca, jak gdyby była z mgły. — Tak. Wykroczył przeciw jakimś przepisom handlowym — czy coś w tym rodzaju — i błagował przed porucznikiem z *Komety*, żądając sądu i procesu.

— „Ależ oczywiście“ — odparł ten pies. „To należy do sądu w Makassarze, zabiorę tam pański szkuner“. A potem, gdy się zbliżali do portu, nadział w pędzie statek Dawsona na skalistą rafę po stronie północnej — trach! Kiedy woda zalała już szkuner do

połowy, zdjął kapelusz i uklonił się nisko Dawsonowi: „Oto tam wybrzeże — mówi — idź pan teraz i prowadź sądowy proces — ty — — Angliku!“ — Jørgenson podniósł długie ramię i pogroził pięścią księżycowi, który schował się nagle za chmurę. — Wszystko było stracone. Biedny Dawson włóczył się miesiącami po ulicach, bosy i w łachmanach. Wreszcie pewnego dnia wyżebrał nóż od jakiejś miłosiernej duszy, zszedł na wybrzeże żeby spojrzeć ostatni raz na ruinę okrętu i —

— Ja wcale Holendrom w drogę nie wchodzę — przerwał niecierpliwie Lingard. — Chcę żeby Hassim odzyskał to, co ma się należy —

— A jeśli Holendrzy tego sobie nie życzą? — odparł Jørgenson. — Tak czy owak, bies siedzi w takiej robocie — niech pan to rzuci!

— Posłuchaj pan — rzekł Lingard. — Zabrałem tych ludzi w chwili, gdy nie było już dla nich ratunku. To przecież coś znaczy. Gdybym się nie był wtrącał, wszystko byłoby się skończyło w parę godzin. Musiałem mieć coś na myśli, kiedy wówczas się nimi zająłem — czy wiedziałem co się święci, czy nie. Otóż miałem coś wtedy na myśli — i nie wiedziałem o co chodzi. Bardzo pięknie. A teraz mam na myśli to samo — i wiem już wszystko. Kiedy się uratuje ludzi od śmierci, bierze się udział w ich życiu. Oto jak ja się na to zapatruję.

Jørgenson potrząsnął głową.

— Warjactwo! — zawołał, a potem spytał pocichu głosem drżącym z ciekawości: — Gdzie pan ich zostawił?

— U Belaraba — szepnął Lingard. — Znał go pan w dawnych czasach?

— Znałem i jego, i jego ojca — wybuchnął tamten podnieconym szeptem. — Kogo ja nie znałem? Znałem Sentota, gdy był królem południowego brzegu Jawy i gdy Holendrzy naznaczyli cenę na jego głowę — była to wielka suma, cały majątek. Nocował dwa razy na *Dzikiem Róży*, kiedy zaczęły się jego niepowodzenia. Znałem go, znałem wszystkich jego wodzów, kapłanów, wojowników, starego regenta, który stchórzył i przeszedł do Holendrów, znałem — — Zająknął się, jakby słowa nie mogły wydostać mu się z gardła, wreszcie zamilkł i westchnął. — Ojciec Belaraba uciekł ze mną — zaczął znów spokojnie — i połączył się z Padrysami na Sumatrze. Wyrósł na wielkiego przywódcę. Belarab był wtedy młodzikiem. Takie to były czasy. Włóczyłem się wzdłuż wybrzeży — i śmiałem się w nos krążownikom; widziałem każdą bitwę w kraju Battaków — i widziałem jak Holendrzy uciekali; byłem jak brali Singal — i uszedłem cało. To ja jestem tym białym, którego rad słuchali wodzowie plemienia Manangkabo. Pisano o mnie wtedy mnóstwo w gazetach holenderskich. Opowiadali, że jestem Francuzem, który przyjął mahometanizm — — Zaklął potężnie i zatoczył się na poręcz, dysząc ciężko i mruczając przekleństwa na dzienniki.

— Otóż właśnie Belarab trzyma całą rzecz w rękę — rzekł spokojnie Lingard. — On jest głównym przywódcą na Wybrzeżu Zbiegów. Naturalnie są i inni. Porozsyłał gońców na północ i na południe. Musimy zapewnić sobie ludzi.

— Wszystkie djably już rozpętane — rzekł Jørgenson. — Pan to zrobiłeś, a teraz strzeż się — strzeż się...

— Nic nie może zawieść, o ile mi się zdaje — dowodził Lingard. — Wszyscy wiedzą, co mają robić.

Trzymam ich w ręku. Pan nie myśli, że Belarab jest niepewny? Co?

— Piętnaście lat go nie widziałem — ale cała rzecz jest niepewna — warknął Jörgenson.

— Mówię panu, tak wszystko urządziłem, że nic zawieść nie może. Byłoby dobrze, gdybym miał białego do ogólnego nadzoru nad tem wszystkim. Jest tam dużo zapasów i broni — i nie ulega kwestji, że przydałoby się Belaraba dopilnować. Czy panu czego nie potrzeba? — dodał, kładąc rękę do kieszeni.

— Nie, dość jest w domu jedzenia — odrzekł krótko Jörgenson. — Rzuć pan to! — wybuchnął. — Byłoby lepiej dla pana skoczyć odrazu za burtę. Niech pan spojrz na mnie. Przyjechałem tu jako osiemnastoletni wyrostek. Umiem po angielsku, umiem po holendersku, umiem mówić każdym przekłębem narzeczem tych wysp — pamiętam rzeczy, od których włosy stanęłyby panu na głowie — ale zapomniałem języka własnego kraju. Handlowałem, walczyłem, nie zламаłem nigdy słowa ani białemu, ani krajowcowi. A spójrz pan na mnie! Gdyby nie moja dziewczyna, byłbym skończył w rowie dziesięć lat temu. Wszystko mnie opuściło — młodość, pieniądze, siła, nadzieja — nawet sen. Ale ona wytrzymała przy tej ruinie.

— To wiele mówi o niej, a trochę i o panu — rzekł wesoło Lingard.

Jörgenson potrząsnął głową.

— To najgorsze ze wszystkiego — rzekł powoli z naciskiem. — To już koniec. Przyjechałem do nich z tamtej strony ziemi, i zabrali mnie — i patrz pan, co ze mnie zrobili.

— Skąd pan pochodzi? — spytał Lingard.

— Z Trömso - - wyjęknął Jörgenson; — nigdy już śniegu nie zobaczę — załkał z twarzą w dłoniach.

Lingard patrzył na niego w milczeniu.

— Czy nie pojechałby pan ze mną? — rzekł. — Jak już panu mówiłem, potrzebuję — —

— Bodajes pan zczezł przedtem! — wybuchnął dziko tamten. — Jestem starym białym łazikiem, ale nie dam się wciągnąć w ich szatańskie sprawy. Oni mają swego diabła — —

— Ta rzecz nie może wprost zawieść. Obmyśliłem każde posunięcie. Obwarowałem się ze wszystkich stron. Nie jestem głupi.

— Owszem — jesteś pan. Dobranoc.

— No, dowidzenia — rzekł spokojnie Lingard.

Wsiadł do łodzi, a Jörgenson poszedł w górę bulwarem. Lingard, porządkując linki sterowe, usłyszał go wołającego z oddali:

— Rzuć pan to!

— Odpływam przed świtem — krzyknął w odpowiedzi i wrócił na statek.

Gdy po niespokojnej nocy wyszedł z kajuty, było jeszcze ciemno. Wychudła postać łąziła po pokładzie.

— Jestem — rzekł Jörgenson ochryłym głosem. — Czy umrę tu, czy tam — wszystko jedno. Ale jeśli tam umrę — niech pan pamięta, że moja dziewczyna musi jeść.

Lingard był jednym z niewielu, którzy widzieli dziewczynę Jörgensona. Miała pomarszczoną, brunatną twarz, gąszcz potarganych, siwych włosów, parę czarnych pieńków zamiast zębów — i niedawno została mu zaślubiona przez młodego, przedsiębiorczego misjonarza z Bukit Timah. Jakim mógł być jej wygląd ongi, gdy Jörgenson dał za nią trzysta dolarów i kilka mosięż-

nych strzelb — niepodobna było osądzić. Z młodości pozostały jej tylko oczy, nieprzyćmione i żałosne, które — gdy była sama — zdawały się patrzeć kamiennym wzrokiem w przeszłość dwojga ludzi. Kiedy Jörgenson był przy niej, oczy te śledziły jego ruchy z niespokojną uporczywością. A teraz, pod sarongiem zarzuconym na siwą głowę, płynęły z nich niewidzialne łzy; dziewczyna Jörgensona kiwała się naprzód i wtył, przykucnąwszy samotnie w kącie ciemnej chaty.

— Niech się pan o to nie troszczy — rzekł Lingard, chwytając dłoń Jörgensona. — Niczego jej nie zbraknie. A pana proszę tylko o to, aby pan czuwał trochę nad sprawowaniem Belaraba podczas mojej nieobecności. Muszę odbyć jeszcze jedną wycieczkę, a potem będziemy mogli zabrać się do roboty. Przewidziałem wszystko, każdy szczegół. Niech mi pan zaufa!

I tak się stało, że niespokojny cień kapitana H. C. Jörgensona przebył z powrotem wody zapomnienia i wszedł znów w ludzkie życie.

VI

Lingard rzucił się duszą i ciałem w wielkie przedsięwzięcie i żył przez dwa lata w długotrwałem upojeniu, przygotowując powoli korzystny wynik sprawy. Nigdy mu nie przyszła do głowy myśl o przegranej, i żadna cena nie wydawała mu się zbyt wysoką za tak wspaniałe dzieło. Zamierzał ni mniej ni więcej tylko wprowadzić tryumfalnie Hassima z powrotem do tego kraju, który ukazał mu się raz nocą pod niskimi chmurami, w nieustannym łoskocie gromów. Przy

końcu długiej rozmowy z Hassimem, który po raz dwudziesty może opowiedział historję swej krzywdy i swych walk, Lingard podniósł potężne ramię i potrząsając pięścią nad głową, krzyknął: „Wykurzimy ich stamtąd. Zbudzimy cały kraj!“ W tych słowach uczynił wyznanie — nie zdając sobie wcale z tego sprawy — całego swego idealizmu ukrytego pod siłą pełną prostoty. Zbudzić cały kraj! To podświadome uczucie stanowiło podstawę, z której wyrastała potrzeba czynu Lingarda, prymitywne pojęcie o tem, co jest istotą sprawiedliwości, wdzięczności, przyjaźni; czuła litość dla ciężkiej doli Immady — tego biednego dziecka — i dumne przeświadczenie, że ze wszystkich ludzi na świecie on jeden ma możność i odwagę porwać się na tak wielkie dzieło.

Trzeba było pieniędzy i trzeba było ludzi, a Lingard zdobył i jedno i drugie w przeciągu dwóch lat, począwszy od owego dnia, gdy z pistoletami za pasem, w kapeluszu z włókien palmowych na głowie, stanął nagle o świcie, w głuchem milczeniu, przed tajemniczym Belarabem, który w pierwszej chwili zanadto był zdumiony na widok białej twarzy, aby się do niego odezwać.

Słońce nie wysunęło się jeszcze z za lasów w głębi ładu; niebo, już przesyccone światłem, sklepiało się nad ciemną, podłużną laguną i nad rozległemi polami pełnemi cienia, który zwolna zdawał się przeistaczać w białość porannej mgły. Wśród pól stały chaty, płoty, ostrokoły; duże domy na wyniosłych palach górowały nad kępami drzew owocowych, jak zawieszzone w powietrzu.

Tak wyglądała osada Belaraba w chwili, gdy wzrok Lingarda pierwszy raz na niej spoczął. Na tem tle

zobaczył bardzo liczne twarze za szczupłą i otuloną w tkaniny postacią stojącą naprzeciw niego; świt rozjaśniał się szybko i wśród głuchoj ciszy słowo: *marhaba* (witaj), wyszeptane wreszcie przez wodza, doszło najwyraźniej do uszu każdego z dworzan. Żołnierze ze straży przybocznej w czarnych myckach, wsparci na długich lancach, stali nieporuszenie wokół władcy. Widać było ludzi biegnących przez otwartą przestrzeń ku brzegowi. Gromadka kobiet wpatrywała się w przybyszów; stały na niskim kopcu, a z nad nieruchomych łodyg kukurydzy widać było tylko ich głowy. Nagle wśród grupy pustych chat w pobliżu rozległ się głos niewidzialnej jędzy, która z krzykliwą pasją wymyślała jakiejś niewidzialnej dziewczynie:

— Cudzoziemcy! Chcesz widzieć cudzoziemców? Jesteś pozbawiona wstydu! Więc ja, kulawa i stara, mam sama ryż łuskać? Niechaj zły urok padnie na ciebie i na cudzoziemców. Niech nigdy nie zaznają łaski! Niech ich ścigają z mieczami! Stara jestem. Stara. Niema nic dobrego w cudzoziemcach. O dziewczyno! Oby zczeźli od ognia!

— Witaj — powtórzył z powagą Belarab, patrząc prosto w oczy Lingarda.

Lingard spędził wówczas sześć dni w osadzie Belaraba. Z tych trzy przeszły na obserwowaniu się wzajemnem, przyczem nie padło żadne zapytanie i najważszą aluzją nie dotknięto sprawy, o którą chodziło. Lingard wylegiwał się na pięknych matach, któremi wódz usłał mały domek bambusowy, stojący nazewnątrz warownego częstokołu, gdzie biała flaga z zielonemi brzegami powiewała na wysokiej i cienkiej żerdzi, niższej jednak od ścian długich budynków o wyniosłych dachach; budynki te wznosiły się na słupach

z twardego drzewa wysokości czterdziestu stóp lub więcej.

Dalekie lasy w głębi łądu, zabarwione połyskliwym błękitem, wyglądały jak we śnie widziane. Od strony morza pas wysokich pni i splątanego podszycia sięgał zachodniego brzegu owalnej laguny; a w przejrzystej świeżości powietrza grupy brunatnych domów — odbitych w wodzie lub wznoszących się nad falującą zielenią pól — kępy palm, ogrodzone plantacje, gaje drzew owocowych składały się na obraz wspaniałego dobrobytu.

Nad budynkami, nad ludźmi, nad nieruchomą powierzchnią wody i wielką równiną łąnów błyszczących od rosy rozciągał się wyniosły, cudowny spokój bezchmurnego nieba. Zdawało się, że niema wcale drogi do tego kraju wspaniałości i ciszy. Niepodobna było uwierzyć, że tak blisko leży niespokojne morze ze wszystkimi swemi darami i nieustanną swą groźbą. Nawet w okresie deszczów, gdy potężny huk wznosił się ze zbielelej przestrzeni płytkiego morza, do osady dochodził tylko rozległy szmer, to słabszy to silniejszy, który zawisał wysoko w powietrzu i unoszony wiatrem, zdawał się bujać tam i sam ponad ziemią; nikt nie byłby mógł odgadnąć skąd ów szmer pochodzi. Przypominał uroczystą pieśń wodospadu, to wznoszącą się, to znów zamierającą nad gajami i polami, nad dachami i głowami ludzi, nad spokojem tej ukrytej a kwitnącej osady, zamieszkaney przez zwyciężonych fanatyków, zbiegów i wygnańców.

Codzień popołudniu Belarab w otoczeniu eskorty, która zatrzymywała się przede drzwiami, wchodził do domu swego gościa. Pozdrowiał Lingarda, pytał o jego zdrowie, rozprawiał z nieprzeniknioną twarzą o rze-

czach małej wagi. Ale spokojny wzrok myślących jego oczu zdawał się doszukiwać wciąż prawdy na białem obliczu. Rozmawiali w chłodzie wieczornym pod zachód słońca, chodząc tam i napowrót wśród gładkich kolumn gaju, rosnącego niedaleko wrót w ostrokole. Świta, stojąca opodal w ukośnych promieniach zachodu, śledziła wzrokiem przechadzające się zwolna postacie, które ukazywały się i nikły za drzewami. Wypowiadali wiele słów, nic jednak nie mówiąc, coby mogło odsłonić ich myśli. Podawali sobie ostentacyjnie ręce przed rozstaniem, poczem rozlegało się ciężkie trzaśnięcie bramy i trzykrotny, głuchy stuk drewnianych zasów spuszcanych w żelazne klamry.

Trzeciej nocy zbudziły Lingarda z lekkiego snu szepty nazewnątrz chaty. Czarny cień przesłonił gwiazdy w otworze drzwi; człowiek jakiś wszedł nagle i stanął nad jego posłaniem, drugi zaś przykucnął na progu, gdzie wyglądał jak ciemna bryła.

— Nie bój się. To ja, Belarab — rzekł ostrożny głos.

— Nie bałem się wcale — odszepnął Lingard. — Niebezpieczeństwo grozi tylko temu, kto przychodzi w ciemności i znienucka.

— A czyż ty uprzedziłeś mię o swym przybyciu? Powiedziałem ci: witaj — ale równie dobrze mogłem powiedzieć: zabić go.

— Dzielili nas odległość ramienia. Bylibyśmy zginęli razem — odparł spokojnie Lingard.

Tamten cmoknął dwa razy; wydało się, że niewyraźna jego postać nawpół się zapada w podłogę.

— Nie było to zapisane przed naszym przyjściem na świat — rzekł stłumionym głosem Belarab, siedząc obok mat ze skrzyżowanymi nogami. — Dlatego jesteś

moim gościem. Niech mowa nasza będzie prosta jak drzewce włóczy i krótsza niż pozostała noc. Czego sobie życzysz?

— Przedewszystkiem twego najdłuższego życia — odrzekł Lingard, pochylając się naprzód ku błyszczącej parze oczu — a następnie — twojej pomocy.

VII

Nikły szept słów wypowiedzianych owej nocy trwał długo w uszach Lingarda, uporczywszy niż wspomnienie wrzawy. Belarab wysłuchał wszystkiego, co Lingard miał do powiedzenia i jakby urzeczony siłą i odwagą białego, otworzył mu serce bez zastrzeżeń; a Lingard słuchał, wpatrując się bez ruchu w gwiazdy palące się spokojnie w prostokątnym otworze drzwi. Belarab mówił o swej młodości spędzonej wśród rozszalałego fanatyzmu i wojny, o walkach toczonych na wzgórzach, o pochodach przez lasy, o nieugiętej wierności mężów, o ich niesytej nienawiści. Ani jedna wędrująca chmurka nie zaćmiła łagodnego blasku, którym jaśniał prostokąt gwiazdnego światła, obramiony w nieprzeniknioną czarność chaty. Belarab szeptał wciąż o szeregu niepowodzeń, o pierścieniu klęsk, zaciskającym się wkoło niknących ludzkich nadziei i nieugiętego męstwa. Szeptał o klęskach i ucieczkach, o dniach rozpacz, o bezsensnych nocach, o nie kończącym się pościgu, o ślepem przerażeniu i głuchej wściekłości, o kobietach i dzieciach, które oblężeni wojownicy pozabijali w ostrokole, zanim wypadli na pewną śmierć.

— Widziałem to wszystko, nim jeszcze dosięgnąłem męskich lat — wybuchnął szeptem,

Głos jego zadrzał. Nastąpiła chwila ciszy; usłyszeli lekkie westchnienie dworzanina, który spał z czołem wspartem o kolana, objąwszy nogi wyżej kostek.

— A był wtedy między nami — zaczął znów Belarab — jeden biały, który przetrwał do końca, który dochował nam wierności swą siłą, swem męstwem, swą mądrością. Człowiek potężny. Miał wielkie bogactwa, ale jeszcze większe serce.

Wspomnienie o Jørgensonie, wychudłym i siwym, usiłującym pożyczyć pięć dolarów aby kupić coś do jedzenia dla swej dziewczyny, przesunęło się nagle przed Lingardem na tle migocących spokojnie gwiazd.

— Podobny był do ciebie — ciągnął porywco Belarab. Uciekliśmy z nim i przybyliśmy tutaj na jego okręcie. Była tu pustka. Las sięgał prawie do samego brzegu, wybujała trawa chwiała się nad głowami wysokich mężów. Telal, mój ojciec, umarł z wycieńczenia; było nas tylko kilku i wszyscy omal nie umarliśmy ze zgryzoty i smutku — tutaj! Na tem miejscu! I nikt z nieprzyjaciół nie wiedział, gdzie jesteśmy. Na tem Wybrzeżu Zbiegów groziła nam śmierć — z głodu.

Mówił monotonnie w ciemności, a głos jego wznosił się i opadał. Opowiedział, jak zrozpaczeni jego towarzysze pragnęli wypaść na morze i umrzeć, rzucając się na okręty z zachodu, okręty o wysokich bokach i białem ożagleniu; jak — nieugięty i samotny — on ich zatrzymał, aby walczyli z ciernistym gąszczem, z bujną trawą, z wyniosłemi, olbrzymiemi drzewami. Lingard, wsparty na łokciu i zapatrzony wciąż w otwór drzwi, przywołał na pamięć obraz rozległych pól za chatą, które teraz spały wśród niezmiernego spokoju i blasku gwiazd. Ten cichy człowiek, w mroku pra-

wie niewidzialny, dokonał tego wszystkiego; to on był twórcą, budowniczym i kierownikiem osiedla. Myśl ta wzbudziła w Lingardzie wielki podziw, a ciemna, szepcząca postać nabrała w jego oczach olbrzymiego znaczenia, jakby wcielała jakąś żywiołową siłę — władczą i nieśmiertelną.

— A nawet i teraz życie moje jest niepewne — jak gdybym był ich wrogiem — rzekł Belarab ponuro.—Spojrzenie nie zabija, ani też gniewne słowa, a przekleństwa nie mają siły, bo inaczej Holendrzy nie porastaliby tłuszczem, wysysając nasz kraj, a ja nie byłbym żyw tej nocy. Czy mnie rozumiesz? Widywałeś ludzi, którzy przeżyli lata walki? Oni nie zapominają o wojennych czasach. Dałem im ogniska domowe, i spokojne serca, i pełne brzuchy. Ja sam. A oni przeklinają moje imię ukradkiem, szepcząc jeden drugiemu na ucho—bo nie mogą zapomnieć.

Ten człowiek, którego opowieść rozbrzmiewała wojną i gwałtem, zdradził się niespodzianie z namiętnem pragnieniem bezpieczeństwa i spokoju. I opowiadał dalej, że nikt go nie chce zrozumieć. Niektórzy z tych, co nie chcieli zrozumieć — umarli. Białe zęby Belaraba błysnęły okrutnie w ciemności. Ale pozostali inni, których zabić już nie mógł. Głupcy! On pragnie, by zapomniano do cna o jego kraiku i ludziach, jak gdyby połknęło ich morze. Ale tamci nie mają ani mądrości ani cierpliwości. Czyżby nie mogli zaczekać? Śpiewają pięć razy na dzień modlitwy, lecz wiary nie posiadają.

— Śmierć przyjdzie na każdego — a dla prawowiernych jest końcem utrapień. Lecz wy, biali ludzie, którzyście dla nas za silni, wy umieracie także. Umieracie. I istnieje raj, tak wielki jak cała ziemia i wszystkie niebiosa razem wzięte — ale nie dla was — nie dla was!

Zdumiony Lingard słuchał bez słowa. Śpiący Malaj zlekka pochrapywał. Belarab ciągnął dalej bardzo spokojnie po tym prawie mimowolnym wybuchu wiary niosącej ukojenie. Wyjaśnił, że pragnie znaleźć w kimś oparcie, w kimś silnym i godnym zaufania — w jakiejś zewnętrznej sile, któraby zastraszyła niesfornych, któraby przejęła lękiem ich głupotę i zabezpieczyła jego rządy. Chwycił poomacku ramię Lingarda wyżej łokcia i ścisnął je silnie — potem puścił. A Lingard zrozumiał, dlaczego śmiały jego krok został uwieńczony takim powodzeniem.

Wtedy to za otwarte poparcie Lingarda, za kilka strzelb i trochę pieniędzy, Belarab obiecał pomoc przy zdobywaniu Wajo. Nie było żadnej wątpliwości, że mógł znaleźć ludzi chętnych do walki. Mógł posłać gońców w dalsze strony do swych przyjaciół, a w jego własnym kraiku nie brakło niespokojnych duchów gotowych na wszystko. Mówił o tych ludziach z dziką pogardą i gniewną czułością, mieszając akcenty zazdrości i lekceważenia. Zmęczony był ich szaleństwem, ich zuchwalstwem, ich niecierpliwością — i zdawał się czuć za to urazę, jakby to były dary, których on sam został pozbawiony przez zgubną swą mądrość. Oni będą się bili. Gdy czas nadejdzie, Lingard zawiadomi Belaraba i na jego skinienie pójdą na marną śmierć — ci ludzie, którzy nie umieją czekać na odpowiednią chwilę na ziemi, lub na wieczystą zemstę niebios.

Skończył; postać jego zamajaczyła wysoko w mroku.

— Zbudź się! — zawołał cicho, pochylając się nad śpiącym człowiekiem.

Czarne ich postacie przesunęły się jedna za drugą, zasłaniając dwukrotnie migotanie gwiazd i Lingard,

który nie poruszył się wcale, pozostał sam. Wyciągnął się nawznak i rękę przerzucił przez oczy.

Gdy w trzy dni później opuszczał osadę Belaraba, był cichy poranek, bezchmurny i spokojny. Wszystkie łodzie brygu wpłynęły na lagunę, obsadzone zbrojnymi ludźmi, aby wbić głębiej w pamięć sojuszników uroczysty fakt zawarcia przymierza. Zapatrzony tłum śledził imponujący odjazd w głębokim milczeniu, z rosnącym wciąż podziwem nad tajemniczym pojawieniem się białego. Łodzie posuwały się gładko i wolno, przepływając rozległą lagunę. Lingard obejrzał się. Wielka cisza położyła dłoń na ziemię, niebo i ludzi, na nieruchomy tłum i krajobraz. U boku wodza widać było wyraźnie Hassima i Immadę, którzy podnieśli ramię na znak ostatniego pożegnania; a ten daleki gest wydał się smutnym, daremnym, zagubionym w przestrzeni, jak sygnał rozpaczy rozbitków, czekających w złudnej nadziei na niemożliwy ratunek.

Lingard odjechał, powrócił, znów odjechał, i za każdym razem te dwie postacie, stojące samotnie na którejś z mielizn płytkiego morza, witały go lub żegnały tym samym jakby daremnym znakiem. Każdy ruch ich ramion zdawał się mocniej zaciskać więzy opiekuńczego przywiązania wokół serca Lingarda. Pracował bardzo prozaicznie, zarabiając na opłacenie kosztów romantycznych potrzeb, które wtargnęły do jego życia. A pieniądze jak woda płynęły mu przez ręce. Człowiek mówiący amerykańskim akcentem przekazał znaczną ich część swym wspólnikom w Baltimore. Ale spora suma okroiła się także importowym towarzystwom w portach dalekiego wschodu. Była to cena zwinnego *prao*, które pod komendą Dżaffira żeglowało do nieuczęszczanych zatok i w górę nieznanych rzek,

wioząc tajne zlecenia, ważne wieści, bogate dary. Znaczna część pieniędzy Lingarda poszła na zakupienie *Emmy*.

Emma, był to pogruchotany i zgrzybiały stary szkuner, który na schyłku swego istnienia wycierpiał wiele od brzuchatego białego kupca o przebiegłym i żarłocznym wyglądzie. Ten człowiek chełpił się później bezczelnie wysoką ceną, którą dostał „za to moje stare, zgniłe pudło — pamięta pan“. *Emma* opuściła port tajemniczo w towarzystwie brygu i odtąd znikła z morza raz na zawsze. Lingard wholował ją do zatoczki i wpędził na brzeg laguny w punkcie położonym najdalej od osady Belaraba. Woda w lagunie była wówczas wezbrana; a opadłszy wkrótce, osadziła stary okręt głęboko w mule, z przodem wpartym wysoko między pnie dwóch wielkich drzew i zlekka pochylonym — jak gdyby po ciężkim życiu *Emma* osiadła znużona na wieczny spoczynek. Tam właśnie znalazł się Jørgenson w kilka miesięcy później, gdy — powołany z powrotem do ludzkiego życia — ukazał się wraz z Lingardem na Wybrzeżu Zbiegów.

— *Emma* lepsza jest niż fort na lądzie — rzekł Lingard, gdy stali obok siebie oparci o tylną poręcz, patrząc ponad laguną na domy i gaje palmowe osady. — Wszystek proch, który dotychczas zebrałem, wszystkie strzelby są tutaj. To była dobra myśl, prawda? — Może i przez kilka lat nie będzie równie wysokiej wody, a tak jak jest teraz, niepodobna podpłynąć z boku tylko wprost pod wychył rufy, i to tylko jedną łodzią. Myślę że pan tu jest najzupełniej bezpieczny; może pan stawić czoło całej flotylli, a las od strony dziobu lepszy jest od muru. Prawda?

Jørgenson potakiwał, pomrukując. Patrzył na spusto-

szone pomosty, na obdarte reje, na martwy kadłub ogołoczonego stateczku, który nie miał już nigdy zaznać życia na morzu. Mrok lasu spływał na niego, ponury jak całun. Krzewy rosnące na wybrzeżu uderzały lekko gałązkami o przód szkunera, a zwisająca kiść drobnych, brunatnych kwiateczków kołysała się tam i sam nad szczątkami windy kotwicznej.

Towarzysze Hassima stanęli załogą w starym kadłubie; Jörgenson, któremu powierzono dowództwo, kręcił się po pokładzie od baku do rufy, milczący, troskliwy i wierny powierzonemu sobie statkowi. W osadzie przyjęto go ze zdumieniem, szacunkiem — i strachem. Belarab często go odwiedzał. Niejeden z Malajów — których znał przed laty, gdy byli w pełni męskich sił, w czasie walk o wiarę i życie — przychodził do białego na pogawędkę. Głosy ich były jak echa wstrząsających wypadków przeżytych ongi — wśród zwodniczego blasku minionej młodości. Kiwali starami głowami. „Czy pamiętasz?“ mówili. Za dobrze wszystko pamiętał! Był jak człowiek, który powstał z martwych — i którego czarowną wiarę w potęgę życia skaziło czarne zwątpienie grobów.

Czasem niezwykła wiara w rzeczywistość istnienia wracała do Jörgensona, podstępna i porywająca. Wówczas wypręzał pierś, trzymał się prosto i chodził pewniejszym krokiem. Czuł w sobie żar i przyspieszone bicie serca. Obliczał w milczącym podnieceniu szanse Lingarda i żył przez pewien czas życiem tego drugiego człowieka, który nie wiedział nic o czarnym zwątpieniu grobów. A szanse były dobre, bardzo dobre.

— Chciałbym to przeprowadzić aż do końca — szeptał żartobliwie Jörgenson, a jego matowe oczy jaśniały blaskiem przez chwilę.

CZEŚĆ III

P O R W A N I E

I

— Są ludzie — rzekł Lingard — którzy chodzą po świecie z zamkniętymi oczami. Pan ma rację. Morze jest otwarte dla wszystkich. Jedni pracują na niem, a drudzy zbijają baki — i to nie moja rzecz. Tylko niech pan sobie zapamięta, że nie pozwolę aby czyjeś igraszki przeszkadzały mi w pracy. Pan mi daje do zrozumienia, że pan jest bardzo wybitnym człowiekiem — —

Pan Travers uśmiechnął się chłodno.

— O tak — ciągnął Lingard. — Rozumiem to dobrze. Ale niech pan nie zapomina, że pan jest bardzo daleko od swego kraju, a tymczasem ja jestem tutaj na swoim gruncie. Ja wrosłem w ten grunt. Jestem właśnie Tomem Lingardem, ni mniej, ni więcej, czy znajduję się tu czy tam i — może pan zapytać —

Szeroki ruch jego ręki wzdłuż zachodniego horyzontu powierzył z głęboką ufnością resztę zdanie niememu świadectwu morza.

Lingard był na pokładzie jachtu już przeszło godzinę, ale nic z tego nie wynikło, poczuł tylko że rodzi się w nim instynktowna nienawiść. Wobec nieświadomych żądań, które wyczuwał w samym fakcie obecności tych ludzi, w ich nieznajomości warunków, w ich twarzach, w ich głosach, w ich oczach — nie był w stanie zdobyć się na nic innego prócz urazy, która kryła w sobie zaród gwałtu nie liczącego się z niczem. Nie mógł im nic powiedzieć, bo nie było

na to sposobu. Pojawienie się jachtu w chwili, gdy przekroczył krąg zakreślony wokół każdego człowieka przez rasę, wspomnienia, wcześniej zawarte związki, przez wszystkie zasadnicze warunki środowiska — odebrało mu poniekąd mowę. Był zbity z tropu. Ta przygoda wyglądała jak spotkanie w pustyni z jakimiś zachłannymi widmami.

Skrzyżowawszy ramiona, wpatrywał się w szerokie morze, żując wściekłość. Już sam wygląd wyodrębniał go zupełnie z pomiędzy wszystkich na tym statku. Popielata koszula, błękitna szarfa, podwinięty rękaw odsłaniający posągowe ramię, niedbała władczość głosu i postawy przejmowały niesmakiem pana Traversa, który już się był zdecydował czekać na jakąś oficjalną pomoc i odnosił się podejrzliwie do najścia tego niepojętego osobnika. Od chwili zjawienia się Lingarda na pokładzie wszyscy obecni nie spuszczaali zeń oczu. Tylko Carter, stojący niedaleko z łokciem wspartym o burtę, wbił wzrok w pokład, jak opanowany przez senność lub zadumę.

Na rufie znajdowały się jeszcze trzy osoby, a między niemi pan Travers; trzymał ręce w kieszeniach kurtki i nie ukrywał wzrastającej odrazy.

Z drugiej strony pokładu spoczywała na leżaku kobieta, której bierne zachowanie wydało się wielce charakterystycznym stojącemu obok niej d'Alcacerowi; w ten sposób zwykła była przyjmować wszystko, czego się nie udało uniknąć. D'Alcacer mieszkał przed laty w Londynie jako attaché swego poselstwa i uważał zawsze panią Travers za interesującą panią domu. A teraz okazała się jeszcze bardziej zajmującą z chwilą przypadkowego ich spotkania, gdy Travers zaproponował d'Alcacerowi wspólną podróż do Batawji. D'Al-

cacer uzyskał przez to sposobność studjowania prze-
różnych odcieni pogardy, która — jak się domyślał —
była tajną przyczyną pogodzenia się pani Travers
z płytkością wydarzeń i monotonią światowego życia.

Niektórych rzeczy z początku nie był w stanie zro-
zumieć, naprzykład — dlaczego wyszła za Traversa.
Prawdopodobnie przez ambicję. D'Alcacer nie mógł się
oprzeć wrażeniu, że ten wygodny błąd tłumaczył naj-
zupełniej jej pogardę — a także tolerancję. Spotkanie
w Manilli spadło na d'Alcacera zupełnie nieoczekiwa-
nie; opowiadając o niem swemu wujowi, generalnemu
gubernatorowi kolonji, zwrócił jego uwagę na to, że
Anglicy, przegrywając w miłości lub polityce, puszczają
się często w daleką podróż, jakby przez ogarnięcie
wielkiego obszaru ziemskiej powierzchni spodziewali
się nabrać świeżych sił do ponownej walki. Co się
zaś tyczyło samego d'Alcacera, sądził — lecz tego już
wujowi nie powiedział — że osobista jego walka z lo-
sem była skończona, choć i on wiele podróżował. Po
stolicach Europy opowiadano sobie o nim pewną hi-
storję; cały jej skandal polegał na rozgłosie wybuja-
łego uczucia, a cały tragizm — na przedwczesnej
śmierci kobiety, której czarująca doskonałość równie
mało była znana wielkiemu światu jak dyskretne
i namiętne ubóstwienie, niewinnie przez nią wzbu-
dzone.

Zaproszenie do podróży na jachcie było kulmina-
cyjnym punktem wielu wymienionych uprzejmości
i zostało wywołane głównie przez to, że pan Travers
pragnął mieć towarzysza do rozmowy. D'Alcacer zgo-
dził się z niedbałą obojętnością człowieka, dla którego
równie dobrym jest każdy rodzaj ucieczki przed bez-
litosnym wrogiem. Nie spodziewał się wielkiej ulgi

w smutku wobec perspektywy wysłuchiwania długich monologów o handlu, administracji i polityce, gdyż niczego więcej nie mógł oczekiwać od pana Traversa, którego życie i myśli, obce ludzkim namiętnościom, starały się wyciągnąć możliwie największą osobistą korzyść z ludzkich urzędów. D'Alcacer przekonał się jednak, że znajduje pewne zapomnienie — rzecz wówczas dla niego najcenniejszą — w towarzystwie Edyty Travers. Obudziła jego ciekawość, gdy sądził że nikt i nic już na świecie dokonać tego nie zdoła.

Tych dwoje prowadziło rozmowy o rzeczach obojętnych i zajmujących, nie związanych wcale z życiem społecznym, a bardzo luźno z ludzkimi namiętnościami; mimo to jednak d'Alcacer nie mógł nie spostrzec w pani Travers ukrytej zdolności do współczucia, rozwijającej się w ludziach rozczarowanych przez życie lub śmierć. Jak dalece ona sama była rozczarowana — nie wiedział i nie usiłował odgadnąć. Tę wstrzemięźliwość narzucił mu rycerski szacunek, który d'Alcacer miał dla kobiecych tajemnic, oraz przekonanie, iż głębokie uczucie bywa często mętne i nieprzeniknione nawet dla tych, którymi owładnęło aby ich natchnąć lub zgubić. Był przeświadczony że i ona sama nigdy się o tem nie dowie; ale poważna jego ciekawość znalazła zaspokojenie w obserwacji jej duchowego stanu — i d'Alcacer nie gniewał się bynajmniej, iż przez ugrzęźnięcie jachtu przedłużała się sposobność do jego spostrzeżeń.

Czas mijał na tej błotnistej ławicy tak jak i gdziekolwiekindziej, a d'Alcacer nie szukał ulgi w różnorodności wydarzeń, tylko w samym upływie czasu. Wśród monotonji życia na płytkim morzu dni płynęły nieustannie, lecz i niepostrzeżenie; a ponieważ

każdy człowiek żywa się z tem co czuje — radością czy bólem — podobało się d'Alcacerowi, iż po niespokojnych wędrówkach mógł sobie wyobrazić, że cały wszechświat — czas nawet — zatrzymał się nagle, jakby nie chcąc odwozić go dalej od jego smutku, który bladł rzeczywiście, lecz wcale się nie zmniejszał — jak bledną przedmioty nie przez odległość, ale przez mgłę.

II

D'Alcacer był człowiekiem blisko czterdziestoletnim, szczupłym i bladym, o zapadniętych oczach i zwiśniętym, brunatnym wąsie. Spojrzenie miał przenikliwe i szczere, uśmiech częsty i przelotny. Obserwował Lingarda z wielkiem zajęciem. Pociągało go coś nieuchwytnego — jakaś linja czy zmarszczka — kształt oka lub sposób spuszczenia powieki, a może zagłębienie w policzku — ten nieznaczny rys, który nie powtarza się nigdy na dwóch ludzkich twarzach, który na każdej jest źródłem odrębnego wyrazu — jak gdyby pozostałe rysy były wynikiem dziedziczności, przypadku, lub jakichś tajemniczych przyczyn, a tylko ten jeden jedyny został świadomie przez duszę ukształtowany.

D'Alcacer pochylał się niekiedy nad czerwonym wachlarzem, powiewającym zwolna w zagłębieniu leżaka i mówił kilka słów do pani Travers, która odpowiadała, nie podnosząc oczu, bezbarwnym głosem i z twarzą nieruchomą, jakby mówiła przez zasłonej niezmiernej obojętności, zapuszczoną między nią a pozostałymi ludźmi, między jej sercem a istotą wypadków, między jej oczami a płytkiem morzem, które —

jak jej spojrzenie — wydawało się głębokiem, uciszonym nazawsze i rzekłbyś, gubiło się w niebie, za dalekim, bladym horyzontem, poza orbitą wzroku, gdzie ramię ni głos nie sięga.

Pan Travers odszedł na bok i zasypał Cartera wymówkami.

— Nie zrozumiał pan moich instrukcyj — szeptał szybko. — Po co pan sprowadził tutaj tego człowieka? Jestem zdziwiony —

— Napewno mniej niż ja zeszłej nocy — mruknął młody marynarz bez krzty uszanowania dla zwierzchnika, tonem bardzo wyzywającym.

— Widzę teraz, że pan był zupełnie nieodpowiedni do misji, którą panu powierzyłem — ciągnął właściciel jachtu.

— Byłem w mocy tego człowieka — rzekł Carter. — Pan słyszał go przecież także.

— To wszystko nie ma sensu — szepnął gniewnie pan Travers. — Czy pan się domyśla, jakie są właściwie jego zamiary?

— Jestem prawie pewien — odrzekł Carter — że miał stanowczy zamiar zastrzelić mię zeszłej nocy w swojej kajucie, gdybym był —

— Nie o to mi chodzi — przerwał pan Travers. — Czy pan zdaje sobie sprawę, w jakim celu tu przyjechał?

Carter podniósł zmęczone, krwią nabiegłe oczy, a szkarłatna i łuszcząca się jego twarz wyglądała jak polizana przez płomień.

— Nie więcej wiem od pana. Tamtej nocy, gdy trzymał mnie w swojej kabinie, powiedział, że zastrzelił mię raczej, niż pozwoli mi szukać jakiejś innej pomocy. Wygląda to, jakby postanowił bezwzględnie do-

stać grube pieniądze za akcję ratunkową od właścicieli jachtu osiadłego na mieliźnie.

Pan Travers odwrócił się i przez chwilę wyglądał jak zatopiony w głębokiej zadumie. To utknięcie naprzeciw pustego wybrzeża było przykre ze względu na stratę czasu. Pan Travers usiłował zbagatelizować sytuację, porządkując notatki zebrane w czasie całorocznej podróży po wschodzie. Wysłał ludzi na poszukiwanie pomocy; kapitan, bardzo upadły na duchu, ośmielił się powiedzieć, że jacht popłynie najprawdopodobniej z wiosennym przypływem. D'Alcacer, człowiek pochodzący napewno z dobrej rodziny, choć rządzący się niższymi zasadami, lepszym był kompanem od żadnego, przynajmniej pod tym względem, że umiał grać w pikietę.

Pan Travers postanowił więc czekać. I nagle ów nieokrzesany człowiek — jakby wyjęty żywcem z drzeworytu, z książki o korsarzach — zamącił jego rezygnację tajemniczymi aluzjami do niebezpieczeństw — które brzmiały bezsensownie lecz niepokojąco — i zaświadkami przestrogi, wyglądającymi na zamaskowane groźby.

Pan Travers miał ciężkie i dość długie szczęki, które stale golił. Jego oczy były niebieskie — naiwnie niebieskie i chłodne. Stał naprzeciw Lingarda, nie tknięty trudami podróży, bez śladu zmęczenia czy pobytu na świeżem powietrzu; zdawało się, że od urodzenia nic mu się nigdy nie stało i stać nie może. Miał nalaną, bladą twarz i cerę zupełnie bezbarwną lecz dziwnie świeżą, jakby był wyhodowany w cieniu.

Pan Travers pomyślał:

— Muszę położyć kres tym niesłychanym za-

czepkom. Nie dam się zastraszyć i nie myślę płacić za usługi, których nie potrzebuję.

Przejęty był odrazą do tego bezczelnego zamachu; i nagle poczuł dziwne, niepojęte uniesienie na myśl, że pokrzyżuje tajne zamysły tego człowieka — jak gdyby to była dla niego sprawa życiowej wagi, nito walka z rywalem lub przyjacielem.

Lingard, nieświadom wszystkiego i wszystkich, zapatrzył się w morze. Wyrósł na niem, zżył się z niem; ono go znęciło aby opuścił dom; na niem rozwinęły się jego myśli a ręce znalazły pracę. To morze natchnęło go pragnieniem czynu, uczyniło go właścicielem i dowódcą najpiękniejszego z brygów; wszczepiło mu wiarę w siebie samego, w swą siłę, w swoje szczęście — i nagle, sprzysiągłszy się z fatalnym wypadkiem, postawiło go oko w oko z trudnością, która wyglądała jak początek klęski.

Powiedział właścicielowi jachtu wszystko, co tylko mógł powiedzieć — i przekonał się, że mu nie wierzą. To go od lat nie spotkało. To nie spotkało go nigdy. Poczul się oszołomionym, jakby odkrył nagle, że przestał być sobą. Przyszedł do tych ludzi i powiedział: „Chcę wam dopomóc. Jestem Tom Lingard“ — — a oni mu nie uwierzyli! Był bezradny wobec tego sceptycyzmu, ponieważ nie wyobrażał sobie nigdy, aby to się stać mogło. Powiedział im: „Przeszkadzacie mi w wykonaniu mego dzieła. Przeszkadzacie mi w tem, czego za nic porzucić nie mogę; ale wyprowadzę was wszystkich z niebezpieczeństwa, jeśli mi tylko zaufacie — mnie, Tomowi Lingardowi“. A oni nie chcieli mu wierzyć! To było nie do zniesienia. Wyobraził sobie, że usuwa tych niedowiarków ze swej drogi. I dlaczegóżby nie? Nie znał ich, nie obchodzili go

wcale, nie potrzebował nawet podnieść na nich ręki! Należało tylko zamknąć oczy na dzień lub dwa, a potem mógł zapomnieć, że ich kiedykolwiek oglądał. Toby mu przyszło z łatwością. Niech zniknie ich niewiara, niech przepadnie ich głupota, niech zginą ich ciała... Miał do wyboru to — albo zgubę!

III

Wzrok Lingarda, oderwawszy się od niemego morza, wędrował zwolna po niemych postaciach skupionych na baku, po twarzach marynarzy, uważnych i zdumionych, po twarzach nigdy dawniej nie widzianych, lecz przywodzących mu na myśl dawne czasy — młodość — inne morza — dalekie wybrzeża złączone z wczesnymi wspomnieniami. Pan Travers ocknął się także i ręka jego, skubiąca zarost z lewej strony, powędrowała do kieszeni kurtki, jakby wyciągnęła z bokobrodów coś, co warto było przechować. Posunął się szybko o krok w stronę Lingarda.

— Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób mógłbym skorzystać z pańskich usług — rzekł z chłodną stanowczością.

Lingard trzymał się za brodę w zadumie i spoglądał na niego zgóry przez krótką chwilę.

— Może to i dobrze — rzekł bardzo wolno — ponieważ panu swych usług nie proponowałem. Proponowałem, że wezmę państwa na pokład na przeciąg kilku dni — ponieważ to jedyny sposób, aby zapewnić wam bezpieczeństwo. A pan pyta o moje pobudki. Moje pobudki! Jeśli pan ich nie widzi, to panu nic do tego.

I ci dwaj ludzie, którzy parę godzin przedtem nigdy

się nie widzieli, stali przez chwilę wrogo tuż obok siebie, jak odwieczni nieprzyjaciele; jeden krępy, ruchliwy, ze wzrokiem podniesionym, drugi wysoki, barczysty, patrzący nań z pogardą i gniewem.

D'Alcacer, nie spuszczać z nich oczu, pochylił się nisko nad leżakiem.

— Czy widziała pani kiedy człowieka rzucającego się na kamienny mur? — spytał poufnie.

— Nie — odrzekła pani Travers, patrząc wprost przed siebie z nad kołyszącego się wolno wachlarza. — Nie, nie wiem, czy to się kiedy stało; ludzie podkopują się pod mur, albo przemykają się spokojnie około, patrząc w przeciwną stronę.

— A, to jest określenie dyplomacji — mruknął d'Alcacer. — Nie zaszkodziłaby tutaj odrobina dyplomacji. Ale nasz malowniczy gość wcale jej nie posiada. Mam do niego wielką sympatję.

— Już! — szepnęła pani Travers z uśmiechem, który dotknął jej ust jasnem skrzydłem i uleciał prawie zanim stał się widzialnym.

— Istnieje sympatja od pierwszego wejrzenia — dowodził d'Alcacer — tak samo jak i miłość; to się nazywa *coup de foudre* — wie pani.

Podniosła wzrok na chwilę, a on ciągnął dalej z powagą:

— Myślę, że to jest najistotniejsze, najgłębsze z uczuć. Nie kocha się kogoś z powodu tego, co jest w nim. Kocha się z powodu czegoś, co jest w nas — czegoś żywego — w nas samych. — Uderzył się zlekką w piersi końcem palca. — Jest taka zdolność w człowieku. Ale nie w każdym; i nie każdy na to zasługuje, aby ogień z niebios zstąpił na niego.

— I spalił go — rzekła.

Poruszył się zlekka.

— Któż to wie? Mniejsza o to. Ale to zawsze jest przywilejem, nawet jeśli się musi żyć jeszcze jakiś czas — po spaleniu.

Skroś ciszy, która zapadła między nimi, doszedł wyraźnie głos pana Traversa, mówiący z irytacją:

— Powiedziałem już panu, że pana nie potrzebuję. Wysłałem gońca do gubernatora Straits. Niechże pan się nie narzuca.

Na to Lingard, stojący do nich tyłem, warknął coś, co musiało pana Traversa rozjątrzyć, bo podniósł głos jeszcze bardziej.

— Pan prowadzi niebezpieczną grę, ostrzegam pana. Tak się składa, że Sir John jest moim osobistym przyjacielem. Wyśle tu krążownik —.

Lingard przerwał głośno i niedbale:

— To mi jest obojętne, byle ten krążownik przez dziesięć dni tu się nie zjawił. W tej chwili mało jest krążowników w cieśninach; a jeśli zostawię was waszemu losowi, wisieć za to nie będę. Mogę zaryzykować i to, i jeszcze więcej. Słyszysz pan? Jeszcze więcej!

Tupnął ciężko w pokład. Pan Travers odstąpił wtył.

— Nic pan przez to nie wskóra, jeśli pan będzie się starał mnie zastraszyć — rzekł. — Nie wiem nawet kim pan jest.

Wszystkie oczy na jachcie były szeroko otwarte. Stłoczeni majtkowie gapili się idyotycznie jak stado baranów. Pan Travers wyciągnął chustkę i przesunął nią po czole. Twarz kapitana, który stał oparty o główny maszt — tak blisko jak tylko śmiał podejść do państwa — połyskiwała i czerwieniła się wśród białych bo-

kobrodów, jak rozżarzony węgiel między dwiema grudkami śniegu.

D'Alcacer szepnął:

— To już jest kłótnia; malowniczy człowiek gniewa się. Jest urażony.

Wachlarz pani Travers spoczął na jej kolanach; siedziała bez ruchu, jakby oczekując na to, co jeszcze usłyszysz.

— Czy pani nie uważa, że powinienem się starać o zawarcie pokoju? — spytał d'Alcacer.

Nic nie odpowiedziała; poczekawszy trochę, powtórzył z naciskiem:

— Jak pani myśli? Czy mam podjąć się pośrednictwa — jako strona neutralna — życzliwie neutralna? Lubię tego człowieka z brodą.

Wymiana gniewnych zdań 'podniesionym tonem trwała wciąż wśród ogólnej konsternacji.

— Puściłbym was w trąbę, tylko że myślę o tych tu nieborakach — warknął Lingard z wściekłością. — A zapytał pan ich o zdanie?

— Nie pytam się nikogo — wykrztusił pan Travers. — Ja sam tu wszystkiem rozporządzam.

— W takim razie żal mi ich bardzo — wypowiedział Lingard z nagłą rozwagą i pochylił się naprzód, skrzyżowawszy ramiona na piersiach.

Na to pan Travers dosłownie podskoczył i zapomniął się tak dalece, że krzyknął:

— Pan jest bezczelny! Nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

D'Alcacer mruknął do siebie: „Oho, zanosi się na coś poważnego“, poruszył się — i nie chciał wierzyć własnym uszom: oto pani Travers odezwała się szybko i jak gdyby żarliwie:

— Niech pan ich zostawi, proszę pana! niech pan się nie wtrąca. Ach! to coś prawdziwego — to gniew! nareszcie coś, co jest istotne.

D'Alcacer natychmiast oparł się znów o poręcz. Pan Travers wyciągnął rękę i powtórzył bardzo głośno:

— Powiedziałem już wszystko. Proszę natychmiast mój jacht opuścić!

I wnet czarny pies, wyciągnięty u stóp pani Travers z pyskiem złożonym na łapach, zaczął warczeć, błyskając złotymi ślepiami, niezadowolony z hałasu. Pani Travers roześmiała się nikłym, jasnym śmiechem, który zdawał się wymykać, wysuwać, wypadać z pomiędzy białych zębów. D'Alcacer, ukrywając zdumienie, patrzył na nią z góry z powagą; wreszcie zaczerpnęła powietrza i rzekła, parszając jeszcze zlekka śmiechem co parę słów:

— Doprawdy, to jest — taka — taka dla mnie nowość — slyszec — widziec — coś prawdziwego i ludzkiego. Ha, ha! Moznaby pomyslec, ze czekali cale zycie na te sposobnosc — ha, ha, ha! Cale zycie — na to — ha, ha, ha!

Uderzyło d'Alcacera, że te dziwne słowa są najzupełniej słuszne i rzucają nieoczekiwane światło. Ale, uśmiechnąwszy się, rzekł poważnie:

— Ta rzeczywistość mogłaby zajść za daleko. Człowiek, który wygląda tak malowniczo, zdolny jest do wszystkiego. Niech mi pani pozwoli —

Opuścił ją i skierował się w stronę Lingarda. D'Alcacer był chudy, członki jego były jakby luźno spojone, lecz całe jego zachowanie, chód, ruchy pełne swobodę cechowała dystynkcja i dworność.

Lingard odwrócił się z zaczepną miną, poczuwszy lekkie dotknięcie na ramieniu, lecz z chwilą gdy prze-

stał patrzeć na pana Traversa, gniew jego opadł — rzekłbyś osunął się bez szelestu do jego stóp, jak porzucone odzienie.

— Przepraszam pana — rzekł spokojnie d'Alcacer, przyczem lekki ruch jego ręki był ledwie zaznaczeniem, początkiem pojednawczego gestu. — Przepraszam pana, ale to jest sprawa wymagająca pełnego zaufania obu stron. Don Martin, którego pan tu widzi, jest ważną osobistością...

— Wypowiedziałem się otwarcie. Powiedziałem wszystko, co tylko odważyłem się powiedzieć. Daję na to słowo! — oświadczył Lingard dobrodusznie.

— Aha! — rzekł d'Alcacer z namysłem — więc pan przemilcza niektóre rzeczy z powodu danego słowa — słowa honoru?

Lingard zdawał się również namyślać przez chwilę.

— Moznaby to i tak określić. Ale nie mam żadnych obowiązków względem człowieka, który nie mógł dostrzec mojej ręki, gdy ją do niego wyciągnąłem, stanąwszy tu na pokładzie.

— Pan jest w położeniu o tyle lepszem od naszego — odparł d'Alcacer — że może pan sobie pozwolić na wspaniałomyślność i zapomnieć o tem niedopatrzeniu; a przytem trochę więcej zaufania...

— Kochany panie d'Alcacer, pan mówi zupełnie od rzeczy — wtrącił pan Travers głosem spokojnym, choć wargi jego pobieleały. — Nie zajechałem tak daleko, aby podawać rękę byle komu i wysłuchiwać zwierzeń pierwszego lepszego awanturnika!

D'Alcacer odstąpił wtył, skinąwszy głową prawie niedostrzegalnie w stronę Lingarda, który stał przez chwilę z drgającą twarzą.

— Jestem awanturnikiem — wybuchnął — a gdy-

bym nim nie był, byłbym musiał zginąć z głodu, albo zapracowywać się w kraju dla takich jak pan. Gdybym nie był awanturnikiem, leżałby pan z pewnością tu na pokładzie z poderżniętem gardłem, rozwalonem od ucha do ucha.

Pan Travers machnął ręką, jakby oganiał się od tych słów. Ale słyszeli Lingarda także i inni. Carter przysłuchiwał się bacznie, a małemu, grubemu kapitanowi zaświtało widać poczucie niebezpieczeństwa, gdyż podbiegł na swych krótkich nogach i, ciągnąc Cartera za rękaw, jął rozpaczliwie bełkotać:

— Co on mówi? Kto to jest? Co się dzieje? Czy krajowcy są wrogo dla nas usposobieni? W mojej książce stoi wyraźnie: „Krajowcy usposobieni życzliwie wzdłuż całego wybrzeża“. W mojej książce — —

Carter, który spoglądał na burtę, wyrwał mu rękę.

— Niech pan zejdzie do kredensu, panie szyper, gdzie jest właściwe miejsce dla pana, i niech pan znów sobie odczyta ten ustęp o krajowcach — rzekł gwałtownie i pogardliwie do swego zwierzchnika. — Bodajem przepadł, jeśli jaki dzikus nie skrada się już na pokład, żeby pana pożreć — razem z pańską książką. Niechże pan zejdzie z drogi i pozwoli tym panom wziąć się za czuby.

Poczem, zwróciwszy się do Lingarda, wycedził w zwykły swój sposób:

— Ten pomyłony pański pomocnik odesłał z powrotem waszą łódź, i to z parą gości w dodatku.

Lingard nie zdążył jeszcze zrozumieć dokładnie znaczenia tych słów, gdy ujrzał dwie głowy wznoszące się nad burtą — głowę Hassima i głowę Immady. Potem ciała ich ukazały się ponad poręczą, jak gdyby te dwie istoty wyłaniały się stopniowo z płytkiego

morza. Przez chwilę stali na burcie, spoglądając wdół na pokład niby przed wstąpieniem w nieznaną, wreszcie zeszli i skierowali się ku rufie, wkraczając w półcień pod zasłoną, rozpostartą nad wspaniałem otoczeniem i zawilemi uczuciami istnień dla nich niezrozumiałych.

Lingard wykrzyknął natychmiast:

— Co słyhać, o radzo?

Hassim obiegił oczami pokład szkunera. Zostawił był strzelbę w łodzi i zbliżał się z próżnymi rękoma, spokojny i pewny siebie, jakby nikły uśmiech na jego wargach oznaczał jakąś korzystną propozycję. Immada, nawpół przez niego zasłonięta, szła za nim lekkim krokiem z łokciami przyciśniętymi do boków. Gęste frendzle jej rzes były spuszczone jak zasłona. Wyglądała bardzo młodo; zdawało się, że jest pogrążona w zadumie; robiła wrażenie nieśmiałej a zdecydowanej.

Zatrzymali się przed białymi na odległość ramienia i przez pewien czas nikt nie odezwał się ani słowem. Wreszcie Hassim spojrział znacząco na Lingarda i rzekł szybko z lekkim ruchem głowy, który ogarnął niejako cały bryg:

— Nie widzę armat!

— N — nie! — odpowiedział Lingard i wydał się nagle bardzo zmieszany. Przyszło mu na myśl, że pierwszy raz w ciągu dwóch lat lub więcej zapomniał, zapomniał ze szczętem o istnieniu tych ludzi.

Immada stała, smukła i sztywna, ze spuszczonej oczami. Hassim obserwował swobodnie twarze obecnych, jakby szukał nieuchwytnych rysów podobieństwa, albo subtelnych odcieni odróżniających tych ludzi.

— Cóż to za nowe najście? — spytał gniewnie pan Travers.

— To są ci rybacy, proszę pana — wtrącił kapitan — których widzieliśmy przez ostatnie trzy dni snujących się po morzu; tacy są głupi, że nie odpowiadali wcale na nasze okrzyki — a przydałby się kawałek ryby na śniadanie — — Uśmiechnął się służalczo i naraz — bez żadnej do tego zachęty — zaczął ryczeć:

— Hej, Johnnie! Mieć ryba! Ryba! Jedna ładna ryba! Co? Rozumie? Ryba! Ryba — — Nagle urwał i rzekł tonem pełnym szacunku: — Nie można się dogadać z tymi dzikusami! — wreszcie wycofał się, jak po dokonaniu czegoś bardzo sprytnego.

Hassim spojrział na Lingarda.

— Dlaczego mały biały człowiek narobił tyle hałasu? — zapytał niespokojnie.

— Oni chcą jeść ryby — rzekł Lingard wścikłym tonem, i wobec wyrazu niezmiernego zdumienia, który pojawił się natychmiast na twarzy Malaja, nie mógł powstrzymać krótkiego, beznadziejnego śmiechu.

— Jeść ryby! — powtórzył Hassim, otwierając szeroko oczy. — O biali ludzie! O biali ludzie! Jeść ryby! Dobrze! Ale poco ten hałas? I dlaczego przysłałeś ich tutaj bez armat? — Tu spojrział znacząco wzdłuż pokładu, który był przechylony wskutek osadzenia jachtu na mieliźnie i dodał, kiwnąwszy głową w stronę Lingarda: — I bez umiejętności?

— Nie powinienes był tu przybyć, Hassimie — rzekł gniewnie Lingard. — Tu nikt nic nie rozumie. Biorą radzę za rybaka —

— *Ya-wa!* To wielki błąd, gdyż zaiste, wódz dziesięciu zbiegów bez ojczyzny o wiele mniej znaczy, niż główny rybak we wsi — zauważył spokojnie Hassim. Immada westchnęła. — Ale przynajmniej ty, tuanie, znasz całą prawdę — ciągnął ze spokojną ironją;

po chwili dodał: — Przybyliśmy tutaj, ponieważ zapomniałeś spojrzeć ku nam, którzyśmy czekali, śpiąc mało w nocy, a we dnie śledząc rozpalonemi oczami pustą wodę u stóp nieba.

Immada szepnęła, nie podnosząc głowy:

— Nie obejrzałeś się na nas wcale. Ani razu.

— Zawiele miałem trosk na głowie — tłumaczył Lingard z łagodną cierpliwością w głosie i twarzy. Za każdym razem gdy mówił do dziewczęcia, łagodność zdawała się emanować z całej jego postaci, tłumiąc jego gwałtowność i zmiękcżając wygląd, niby senna mgła, co wśród wczesnej promienności ranka osnuwa zasłoną delikatnego wdzięku urwistą skałę na oceanie. — Muszę spoglądać teraz na prawo i na lewo jak wśród grożących niebezpieczeństw — dodał po chwili — a Immada szepnęła z przerażeniem: „Dlaczego?“ — tak cicho, że ból zawarty w tem słowie uleciał wśród bacznego milczenia mężczyzn — bez oddźwięku, niedosłyszany, pominięty, jak ból nieuchwytnej myśli.

IV

D'Alcacer odstąpił wtył i spoglądał po wszystkich z głęboką i czujną uwagą. Zdawało się, że Lingard niezdolny jest oderwać się od jachtu; ociągał się — jakby go coś zatrzymało w chwili, gdy już odchodził — niby człowiek, co przystanął aby przemyśleć ostatnią rzecz, którą ma do powiedzenia; a ten bezwład ciała, zapomnianego przez pracującą duszę, przypomniał Carterowi ową chwilę w kajucie, kiedy patrzył sam jeden na tego człowieka mocującego się ze swemi myślami, nieruchomego — we władzy sumienia.

Pan Travers wymamrotał przez zęby:

— Jak długo jeszcze ma trwać ta komedia? Mówiłem już, żeby pan opuścił mój jacht.

— Niechże pan pomyśli o tych nieborakach — szepnął Lingard, rzuciwszy krótkie spojrzenie na załogę, zbitą w gromadkę blisko nich.

— Pan jest ostatnim człowiekiem, któremubym zaufał w każdej okoliczności — rzekł gryząco pan Travers bardzo zniżonym tonem, z niezrozumiałem lecz widocznym zadowoleniem. — Pan tutaj traci tylko swój czas.

Lingard zaczerwienił się gwałtownie aż po uszy.

— Pan — pan — — zająknął się i wpatrzył w Traversa. Żuł, pomrukując, jakąś zniewagę i wreszcie połknął ją z wysiłkiem. — Płacę swoim czasem za pańskie życie — rzekł w końcu.

Zauważył nagłe poruszenie i spostrzegł, że pani Travers wstała z fotela.

Tknięta nagłym impulsem, podeszła do grupy na rufie, kierując się wprost ku Immadzie. Hassim usunął się, a obojętny jego wzrok — jak przystało na szlachetnie urodzonego Malaja — przemknął po niej jak gdyby była niewidzialną.

Wysoka, giętka, poruszała się swobodnie. Cera jej była w cieniu tak olśniewająca, że zdawała się otaczać jej głowę aureolą. Na gładkie, szerokie czoło zsuwały się nisko obfite, blade blond włosy, cienkie jak jedwab, sfalowane jak morze, ciężkie jak hełm, bez połysku na zgięciach, jakby nietknięte nigdy przez promień światła; a szyja biała, gładka, tętniąca życiem, krągła szyja o delikatnym i silnym zarysie, podtrzymywała dumnie tę promienną twarz i blady gąszcz włosów nigdy przez słońce nie całowanych.

Pani Travers odezwała się żywo:

— Ależ to jest dziewczyna!

D'Alcacer składał pani Travers nową daninę ciekawości. Silny powiew zatrzepotał płóciennym dachem; uniósł jedną z zasłon, wpuszczając na rufę szemrzący połysk płytkiego morza i ukazując d'Alcacerowi świetlany obszar z linią dalekiego horyzontu — ciemną jak skraj otaczającej ich nocy — przeciągniętą na wysokości ramion Edyty... Gdzież on spotkał tę kobietę po raz ostatni — dawno już, z drugiej strony świata? Tam widział ją też wśród migotliwej wspaniałości, na tle jakby zalanego światłem przestworu. Okrążała ją także noc, która czeka na swą kolej, aby pochłonąć blaski, wspaniałość, mężczyzn, kobiety.

Nie mógł sobie tego na razie przypomnieć, ale odczuwał wyraźnie, że ze wszystkich kobiet, które znał, ona jedna jest stworzona do czynu. Każdy jej ruch miał pewność i swobodę, wagę żywego faktu, duchowe piękno nieulekłego wypowiedzenia się. Jej giętkiej postaci nie psuł żaden niepewny kontur pod zwyczajną suknią z granatowego materiału, obciskającą jej kształty ze śmiałą prostotą.

Tylko kilka kroków dzieliło ją od Immady, ale nim się przed nią zatrzymała, d'Alcacer przypomniał sobie, gdzie widział panią Travers po raz ostatni — daleko na zachodzie — nieprawdopodobnie różną, jak w innym świecie, jakby w fantasmagorji stworzonej przez rozgorączkowaną wyobraźnię. Ujrzał ją w jaśniejącej perspektywie wspaniałych salonów, wśród niespokojnego wiru i nurtu ludzkiego morza, u stóp ścian wysokich jak skały, pod wyniosłymi sklepieniami, które jak tropikalne niebo rzucały światło i żar na płytki połysk mundurów, gwiazd, brylantów — i oczu, błyszczących w zmęczonych lub obojętnych twarzach

tłumna na urzędowym przyjęciu. Wyszedłszy stamtąd, natknął się na nieuniknioną ciemność — zdającą się czekać cierpliwie — i na chmurne niebo, tamujące brzask londyńskiego poranka. Trudno w to było uwierzyć.

Lingard, który przed chwilą wyglądał dziko i niebezpiecznie, uderzył się po udzie i zdradził zaniepokojenie.

— Boże mój, zapomniałem zupełnie o pani! — wyrzekł z przestraczem.

Pani Travers utkwiała wzrok w Immadzie. Jasnowłosa i biała, stanęła przed dziewczęciem o oliwkowej twarzy i kruczych kędziorach — dojrzała w swej doskonałości — z wyższością kwiatu nad liściem, zdania zawierającego myśl nad okrzykiem, który może wyrazić tylko wzruszenie. Olbrzymie obszary i niezliczone wieki rozciągały się między nimi; spoglądała na Immadę, jak się spogląda w swoje własne serce — pochłonięta ciekawością, pełna cichego podziwu, przejęta niezmiernem współczuciem. Lingard mruknął ostrzegawczo.

— Niech pani jej nie dotyka.

Pani Travers spojrzała na niego.

— Pan myśli, że mogłabym ją skrzywdzić? — spytała cicho i tak ją przestraszyło ponure: „Kto wie“ — mruknięte przez Lingarda, że zawahała się chwilę, nim się uśmiechnęła.

— To prawie dziecko! I taka ładna! Co za delikatna twarzyczka! — mówiła, a w tejże chwili głębokie westchnienie morskiej bryzy podniosło znów i opuściło zasłony, tak że dźwięk, wiatr i połysk wbiegły jak gdyby jednocześnie i uniosły jej słowa w przestrzeń. — Nie miałam wyobrażenia o czemś tak czaru-

jącem i łagodnem — mówiła dalej głosem, który bezwiednie rozgrzewał, pieścił i miał czarodziejską władzę przenikania duszy rozkoszą. — Taka młodziutka! i mieszka tutaj — prawda? Na morzu, czy gdzie? Mieszka — — I jakby w trakcie mówienia odsunięto ją nagle na wielką odległość, rzekła cicho: — Jak też ona żyje?

Lingard nie widział prawie Edyty Travers do tej chwili. Nie widział właściwie nikogo prócz Traversa. Patrzył i słuchał w oszołomieniu, jakby doznawał czegoś zupełnie nowego.

Wreszcie zebrał myśli, zdobywając się na wyraźny wysiłek, i rzekł z resztą wściekłości:

— Co pani do niej? Ona wie, co to wojna. Czy pani ma pojęcie o wojnie? I głód zna, i pragnienie, i niedolę; rzeczy, o których pani tylko słyszała. Śmierć przeszła koło niej tak blisko, jak ja teraz stoję od pani — i co was to wszystko może obchodzić?

— To dziecko! — rzekła zwolna w zdumieniu.

Immada zwróciła na panią Travers oczy czarne jak węgiel, błyszczące i łagodne jak tropikalna noc; i spojrzenia tych dwu kobiet, spojrzenia różne a badawcze, spotkały się, zetknęły i jak gdyby się splotły, poutnie zespolone. Rozdzieliły się wreszcie.

— Poco oni tu przybyli? Dlaczego pokazałeś im drogę do tego miejsca? — spytała cicho Immada.

Lingard zaprzeczył poruszeniem głowy.

— Biedne dziewczątko — rzekła pani Travers. — Czy one wszystkie takie ładne?

— Jakto, wszystkie? — wymamrotał Lingard. — Nie znajdzie się drugiej takiej, choćby się przetrząsnęło wszystkie wyspy dokoła.

— Edyto! — wykrzyknął pan Travers napomina-

jącym, cierpkim głosem, tak że wszyscy spojrzeli na niego z niepewnością i zdumieniem.

A pani Travers zapytała:

— Kto ona jest?

Lingard, bardzo czerwony i poważny, oświadczył krótko:

— Księżniczka.

Rozejrzał się natychmiast podejrzliwie. Nikt się nie uśmiechnął. D'Alcacer, uprzejmy i obojętny, trzymał się tuż za Edytą.

— Jeżeli ona jest księżniczką, to ten człowiek jest rycerzem — mruknął z przekonaniem. — Jakem żyw, to rycerz! Potomek nieśmiertelnego hidalga, błędzący po morzu. Byłoby dla nas korzystnie zyskać w nim przyjaciela. Myślę zupełnie poważnie, że pani powin-naby —

Odeszli oboje na stronę, rozmawiając cicho z po-
śpiechem.

— Tak, powinna pani —

— Ale jak? — przerwała, chwytając znaczenie jego słów jak piłkę.

— Niech mu pani coś powie.

— Czy to jest doprawdy konieczne? — spytała z powątpiewaniem.

— Nie zaszkodziłoby — rzekł d'Alcacer z nagłą obojętnością w głosie — przyjaciel lepszy jest zawsze od wroga.

— Zawsze? — powtórzyła z naciskiem. — Ale cóż mu mogę powiedzieć?

— Kilka słów — odrzekł; — uważam, że jakiegol-wiek słowa, wypowiedziane pani głosem — —

— Panie d'Alcacer!

— Albo mogłaby pani spojrzeć parę razy na

niego — niekoniecznie jak na rozbójnika — ciągnął dalej.

— Czy pan się boi, panie d'Alcacer?

— Szalenie — odrzekł, schylając się po wachlarz leżący u jej stóp. — Dlatego właśnie zależy mi tak na zgodzie. I nie powinna pani zapominać, że jedna z waszych królowych stąpnęła niegdyś na płaszcz takiego może człowieka.

Oczy jej zabłyśły; spuściła nagle powieki.

— Nie jestem królową — rzekła zimno.

— Niestety, nie — przyznał; — ale tamta kobieta nie miała żadnego innego czaru — prócz korony. W tej chwili Lingard, do którego Hassim coś mówił poważnie, zaprzeczył głośno:

— Pierwszy raz widzę tych ludzi.

Immada chwyciła brata za ramię. Pan Travers rzekł szorstko:

— Zechce pan łaskawie zabrać tych krajowców.

— Pierwszy raz ich widzi — szepnęła Immada jakby w zachwycie.

D'Alcacer spojrzał na Edytę i posunął się o krok naprzód.

— Czyby nie dało się jakoś zażegnać tych trudności, panie kapitanie? — zapytał z wytworną uprzejmością. — Proszę wziąć pod uwagę, że nie tylko mężczyźni są tu na statku —

— Niech zginą! — zawołała tryumfująco Immada.

Chociaż jeden jedyny Lingard zrozumiał znaczenie tych słów, wszyscy na pokładzie odczuli ciężar niespokojnego milczenia, które zapadło po jej słowach.

— Ach! on już odchodzi. No więc, proszę pani — szepnął d'Alcacer.

— Mam nadzieję — rzekła pani Travers w nagłym

porywie i zatrzymała się, jakby zatrwożona dźwiękiem tych słów. Lingard przystanął.

— Mam nadzieję — zaczęła znowu — że to biedne dziewczątko doczeka się lepszych czasów — — Zawałała się.

Lingard czekał uważnie z powagą.

— Pod pańską opieką — dokończyła. — I wierzę, że pan miał względem nas życzliwe zamiary.

— Dziękuję pani — rzekł Lingard z godnością.

— I ty, i pan d'Alcacer — zauważył surowo pan Travers — zatrzymujecie niepotrzebnie tego — hm — człowieka i — hm — jego — hm — przyjaciół!

— Zapomniałem o pani — a teraz — co? Trzeba — trudno jest — trudno — — ciągnął Lingard bez związku. Spoglądał w fijołkowe oczy pani Travers i czuł się głęboko wzruszony i obezwładniony, jakby się wpatrywał w jakąś daleką przestrzeń. — Ja — pani nie wie — ja — pani — ja nie mogę... Ha! To wszystko jest winą tego człowieka! — wybuchnął.

Przez chwilę, jakby nie posiadając się z gniewu, mierzył wzrokiem pana Traversa, poczem wznosił ramię nagłym gestem i ruszył wielkimi krokami ku zejściu, gdzie Hassim i Immada, zaciekawieni, cierpliwie na niego czekali. Wymówił jedno jedyne słowo: „Chodźcie“ — i pierwszy zaczął schodzić do łodzi. Na pokładzie nie było słychać najłżejszego szmeru, gdy tych troje zniknęło jedno za drugim — jakby spuszczało się w morze.

V

Popołudnie wlokło się w milczeniu. Pani Travers siedziała zamysłona i beczynna z wachlarzem na ko-

lanach. D'Alcacer, który uważał, że należało traktować całe zajście w duchu pojednawczym, usiłował wyłożyć swój pogląd gospodarzowi, ale pan Travers, nie uznając rozmyślnie jego pobudek, zasypał go takim nawalem przeprosin i wyrazów żalu z powodu tej przykrej i zapewne niedogodnej dla niego zwłoki, „którą pan musi znieść, przyjąwszy w swej dobroci nasze zaproszenie“ — iż d'Alcacer musiał zaniechać tego tematu.

— Nawet wzgląd na kochanego pana nie mógłby mnie skłonić do ustąpienia przed tak bezczelnem naciąganiem — twierdził pan Travers tonem pełnym niezłomnej cnoty. — Ten człowiek chciał mi narzucić swoje usługi, aby potem zgłosić pretensje do wielkiej nagrody za ratunek. Na tem polega cała tajemnica — może mi pan wierzyć. Naturalnie że połapałem się w tem odrazu — monokl pana Traversa błysnął przenikliwie. — Nie docenił mojej inteligencji. A przytem cóż to za gwałtowna bestja! To skandal doprawdy, żeby w naszych czasach istnieli tacy ludzie.

D'Alcacer poszedł do swego pokoju i — pełen niejasnych złych przeczuć — godzinami usiłował bez skutku znaleźć przyjemność w czytaniu. Pan Travers chodził niespokojnie tam i z powrotem, starając się wmówić w siebie, że jego oburzenie wypływa ze źródeł ściśle moralnych. Rozjarzony dzień — jak wyciągnięta z ognia bryła rozpalonego do białości żelaza — tracił stopniowo żar i blask, nasiąkając głębszym, bogatszym tonem. O zwykłym czasie dwóch majtków weszło bez szelestu na rufę w jachtowem obuwiu i podniosło w milczeniu zasłony; a wybrzeże, płytkie morze, ciemne wysepki i śnieżne ławice piasku, odsłaniane w ten sposób dzień po dniu, ukazały się znów, pełne niemej czujności. Bryg, zwrócony rufą ku jachtowi, z nastawionemi po-

ziomo rejami, przecinającemi wyniosłe, symetryczne omasztowanie, podobny był do pełnej życia istoty, obdarzonej zdolnością porwania się do czynu, przyczyną pod spokojem pełnym lekkości i wdzięku.

Paru stewardów w białych kurtkach z mosiężnemi guzikami ukazało się na pokładzie i zaczęło się krzątać bezgłośnie, nakrywając do stołu na płaskim wierzchu luki świetlnej kajuty. Słońce płynęło ku innym krajom, ku innym morzom, ku innym ludziom; całe czerwone na bezchmurnem niebie ostrzeliwało jacht pożęgalną salwą szkarłatnych promieni, które rozsypywały się w ogniste iskry na kryształach i srebrze zastawy i nieciły krótkotrwałe płomienie w ostrzach nożów, powlekając różaną barwą białosc talerzy. Smuga purpury leżała na morzu, jak plama krwi na błękitnej tarczy.

Siadając do stołu, pan Travers napomknął podrażnionym tonem o konieczności żywienia się konserwami, ponieważ wyczerpano już wszystkie zapasy zabrane na przejazd do Batawji. Było to wybitnie nieprzyjemne.

— Ale nie podróżuję dla swej przyjemności — dodał — a przeświadczenie, że ofiara z mego czasu i moich wygod przyniesie korzyść całemu światu, byłoby pełnem zadośćuczynieniem za wszelkie braki.

Zdawało się, że pani Travers i d'Alcacer nie są w stanie przewyciężyć wybitnego wstrętu do rozmowy, która — jak zamierający powiew — konała raz po raz po każdym leniwym podmuchu. Bezbrzeżna cisza horyzontu, głęboki spokój wszystkiego co widzialne, spowijały ciała i dusze kojącym wpływem, uciszając zarówno myśl jak i głos. Przez długą chwilę nikt nie

przemówił. Wśród milczenia państwa służba uwijała się bez szmeru.

Nagle pan Travers, jakby kończąc swą myśl, mruknął głośno:

— Wyznaję z żalem, iż w pewnym stopniu straciłem panowanie nad sobą; ale przyznacie mi chyba, że istnienie takiego człowieka przynosi hańbę cywilizacji.

Nikt tej uwagi nie podjął i pan Travers pogrążył się z powrotem w rozpamiętywaniu swego oburzenia, na którego dnie — jak potwór wśród mgły — pełzało dziwaczne uczucie urazy. Odsunął podany sobie półmisek.

— To wybrzeże — zaczął znów — zostało oddane pod wyłączny protektorat Holandji przez traktat z 1820. Traktat z 1820 stwarza specjalne prawa i zobowiązania...

Dwoje słuchaczy odczuwało żywo pragnienie, aby raz przestał już mówić. D'Alcacer, któremu było niewygodnie na polowym krześle, siedział sztywno i wpatrywał się w szklany korek od karafki. Pani Travers odwróciła się nieco bokiem i oparłszy się na łokciu, ujęła głowę w dłoń, jakby rozmyślając o rzeczach wielkiej wagi. Pan Travers mówił, mówił nieubłaganie głosem szorstkim i bezbarwnym, jak gdyby czytał jakąś proklamację. Tamci dwoje, niby pograżeni w transie — choć niezupełnym — czuli jak urywki urzędowej gaudaniny obijają im się o uszy.

— Międzynarodowe porozumienie — obowiązek szerzenia cywilizacji — nie umiał przeprowadzić — ugoda — Canning — — D'Alcacer stał się uważnym na chwilę — — ale ten zamach, prawie zabawny przez swą bezczelność, nie wpływa wcale na moje zapatry-

wania. Nie chcę uznać, aby można było popełnić gwałt na ludziach naszej pozycji. Pragnę tylko napiętnować społeczne znaczenie podobnego wypadku.

Tu d'Alcacer pograżył się znowu w rozpamiętywaniu chwili, gdy Edyta i Immada patrzyły na siebie — początek i koniec, liść i kwiat, okrzyk i zdanie. Głos pana Traversa rozlegał się jeszcze długo, apodyktyczny i uporczywy. Zakończenie zostało wypowiedziane z pewną gwałtownością.

— A jeśli niższa rasa zaginie, będzie to czystym zyskiem, krokiem do udoskonalenia społeczności — które to udoskonalenie jest celem postępu.

Przestał mówić. Iskry zachodu gasły na srebrze i kryształach, a naokoło jachtu przestrzeń płytkiego morza i wybrzeże zdawały się czekać nieporuszenie na nadejście zupełnego mroku. Obiad był już dawno skończony i cierpliwi stewardzi czekali ze stomyzmem pod ulewą słów, jak wartownicy na deszczu.

Pani Travers podniosła się nerwowo i poszła na rufę, skąd zaczęła się wpatrywać w wybrzeże. Za nią słońce — które już było zaszło — zdawało się przedierać przez masę wód żarem niewygasłego ognia, a pod jej stopami, z obu stron jachtu, połyskliwe morze barwiło się ciemno-fioletowym odcieniem, jakby odbijając kolor jej oczu.

D'Alcacer podszedł spokojnym krokiem ku pani Travers i przez pewien czas stali obok siebie w milczeniu, oparci o poręcz. Wreszcie d'Alcacer rzekł: „Jak cicho!“ — a jej się wydało, że spokój tego wieczoru jest głębszy i bardziej znaczący niż kiedykolwiek przedtem. Prawie nie wiedząc o tem, wyszeptwała: „Zupełnie jak we śnie“. Nastąpiło długie milczenie: spokój wszechświata taką miał pełnię i wzniosłość, że dźwięki

zatrzymywały się na ustach, jakby w lęku przed profanacją. Niebo było przejrzyste jak djament, a pod ostatnimi blaskami słońca noc rozpościerała nad ziemią swoją zasłonę. Czuło się jakieś bezcenne ukojenie we wspañałym, pogodnym końcu gasnącego dnia, tego dnia pełnego życia, żaru i blasków, który teraz umierał w nieskończonym spokoju, bez ruchu, bez drgnienia, bez jęku — wiedząc, że zmartwychwstanie.

Potem zmierzch się nagle pogłębił i gwiazdy ukazały się tłumnie, siejąc deszcz białych iskier na czarność wody — brzeg zaś wyciągnął się w dole jak ciemny pas matowy. Bocianie gniazdo brygu majaczyło nad niem niewyraźnie i wysoko.

Pani Travers odezwała się pierwsza.

— Jaka nienaturalna cisza! To wszystko wygląda jak pustynia z lądu i wody — bez jednej jedynej żywej duszy.

— Ale ta pustynia jest zamieszkaana conajmniej przez jednego człowieka — rzekł lekko d'Alcacer — a jeśli mamy mu wierzyć, są tam i inni ludzie, żywiący złe zamiary.

— Czy pan myśli, że to jest prawda? — zapytała pani Travers.

D'Alcacer usiłował dojrzeć wyraz jej twarzy, z nim odpowiedział, ale ciemność była już zbyt głęboka.

— Jakże można dostrzec ciemną prawdę w taką ciemną noc? — rzekł wymijająco. — Ale uwierzyć w zło jest łatwo — czy tu czy gdzieindziej.

Zdawało mu się przez chwilę, że pogrążyła się w myślach.

— A co pan myśli o tym człowieku? — zapytała.

Minęła chwila, nim d'Alcacer zaczął mówić powoli.

— Nieokrzesany jest i niezwykle — stanowczo

niezwykły — w swoim rodzaju. Wcale nie taki, za jakiego go bierze don Martin. Zresztą — jest dla mnie tajemniczy. Przecież to właściwie rodak pani.

Wydała się zaskoczona tym nowym punktem widzenia.

— Tak — rzekła zwolna. — Ale widzi pan, ja nie mogę — jakby to powiedzieć? nie mogę go sobie wcale wyobrazić. On nie ma nic wspólnego z ludźmi, których znam. Niema się o co zaczepić. Jak taki człowiek żyje? Jakie są jego myśli? Jego czyny? Jego uczucia? Jego —

— Jego przyzwyczajenia — poddał d'Alcacer. — W tem mieści się wszystko.

Nagle ukazał się za nimi pan Travers z żarzącem się cygarem w ustach. Ujął je w dwa palce i oświadczył z nieustępliwą cierpkością, że żadne „łajdackie pogrożki“ nie wstrzymają go od zwykłego spaceru. Około trzystu jardów na południe od jachtu leżała piaszczysta rewa długości mniej więcej mili, połyskująca w mroku srebrzystą bielą; w środku tej rewy tkwił pióropusz z gęstych, suchych zarośli, które szeleściły bardzo głośno przy najlżejszym ruchu ciężkiego, nocnego powietrza. Nazajutrz po ugrzęźnięciu statku Traversowie i d'Alcacer wysiedli byli na tej rewie, aby „rozprostować trochę nogi“, jak to określił kapitan, i odtąd każdego wieczoru — niby korzystając z przywileju lub spełniając obowiązek, wszyscy troje spacerowali po ławicy godzinę tam i napowrót — zagubieni w mrocznym ogromie — snując się brzegiem wody wzdłuż pasa wilgotnego piasku, który był gładki, równy, elastyczny w dotknięciu jak żywe ciało, i pocił się zlekka pod ciężarem nóg.

Tym razem tylko d'Alcacer towarzyszył Traver-

sowi. Edyta słyszała, jak wsiadali do najmniejszej łódki, a nocny wartownik przewiózł ich, wiosłując dwoma wiosłami, do najbliższego cypla. Potem wrócił i wszedł po trapie na pokład. Pani Travers słyszała jak mówił do kogoś:

— Mam wrócić za godzinę.

Kroki jego zamarły na baku i senny spokój bez najlżejszego powiewu zawładnął jachtem osiadłym na mieliźnie.

VI

Po niejakim czasie bezwzględna cisza, którą czuło się zewsząd prawie że dotykalnie, przyprawiła panią Travers o halucynację. Ujrzała się stojącą samotnie na krawędzi czasu, u kresu dni. Wszystko trwało w bezruchu, jakby świt nie miał nigdy już nadejść, gwiazdy nigdy nie zblednąć, słońce nie wzejść już nigdy; wszystko było nieme, ciche, martwe; zdawało się, że cień zewnętrznego mroku ogarnął panią Travers — cień nieprzerwanej, wieczystej nocy, która wypełnia wszechświat, cień nocy tak głębokiej i rozległej, że palające słońca gubią się w niej jak iskry, jak drobiuchne ogniste punkciki; zdawało się, że ów cień niespokojny — co niby przecucie złej prawdy omracza wszystko na ziemi, kiedy przez nią przechodzi — ogarnął panią Travers i stanął, by z nią pozostać na zawsze.

A w tem złudzeniu była taka skończoność, taka harmonja z kierunkiem jej myśli, że gdy szepnęła cicho w ciemność: „Niechaj tak będzie“ — wypowiedziała jakby jedno z tych zdań, które są streszczeniem i zamknięciem życia.

Jako młoda dziewczyna, strofowana często za romantyczne poglądy, marzyła o szczerzej, wielkiej miłości, która wydawała jej się idealnem wypełnieniem i jedyną prawdą życia. Wchodząc w świat, odkryła że ideału tego osiągnąć nie może, ponieważ świat zbyt jest ostrożny, aby być szczerym. Potem znów miała nadzieję, że znajdzie prawdę życia w ambicji, którą rozumiała jako poświęcenie się całkowite jakiemuś altruistycznemu celowi. Nazwisko Traversa było na ludzkich ustach; uważała go za zdolnego do zapału i poświęcenia; podzielała na jej wyobraźnię, gdyż wydał się jej nieprzeniknionym. Wysłała za niego, odkryła że oddany jest z zapałem pielęgnowaniu swej własnej kariery — i nie miała już żadnej nadziei.

Ze mąż jej był zdumiony dziwnem nieporozumieniem, jakie zaszło między nimi, że bolał wciąż nad jej nielojalnością w stosunku do szacownych swych ideałów — to było zupełnie naturalne. Dogadzała mu jednak niezmiernie piękność żony, jej świetność i pożyteczne stosunki. Podziwiano ją, zazdrozczono jej; była otoczona przepychem i hołdami; dni mijały szybko — świetne i jednostajne — bez źdźbła szcerości czy prawdziwego uczucia, bez żadnego istotnego wzruszenia — nawet bez wielkich trosk. Szybko i chyłkiem prowadził ją czas coraz dalej — aż do tego wieczoru, do tego wybrzeża, do tego morza, do tej chwili i do tego miejsca na ziemskiej powierzchni, gdzie — jak to czuła niezbitcie — sunący cień głuchoj nocy stanął, by z nią pozostać nazawsze.

— Niechaj tak będzie! — szepnęła, zrezygnowana i nieufna, do niemej, jednolitej ciemności, która wisiała przed jej oczami niby czarna zasłona bez fałd; i jakby w odpowiedzi na ten szept, wciągnięto latar-

nię na koniec przedniej rei na brygu. Pani Travers widziała wznoszące się światło, które kołysało się przez krótką chwilę, a potem zawisło nieruchomo w powietrzu, przebijając gęstą noc między dwoma statkami płomiennem spojrzeniem, co zdawało się padać zdaleka tylko na nią, mocne i spokojne.

Jej myśli — jak ćma — frunęły ku temu światłu — temu człowiekowi — temu dziewczęciu, które znało wojnę, niebezpieczeństwa, widziało zbliżoną śmierć, i zyskało najwidoczniej oddanie tego człowieka. Wypadki popołudnia były dziwne już same przez się, lecz do zmysłu artystycznego pani Travers przemówiła szczególnie siła ich wyrazu. Uwypukliły się w jej pamięci z jasnością i prostotą, jak nieśmiertelna legenda. Wyglądały tajemniczo, ale czuła niezbicie, że są nawskroś prawdziwe. Były przejawem uczuć prostych i potężnych, jakie zapewne targały ludzkością w młodzieńszych, naiwnych jej dniach. Pani Travers pozazdrościła na chwilę losu tej siostrze skromnej i nieznannej. Nic nie stało między tą dziewczyną a prawdą jej uczuć. Mogła być z całą szczerością odważną, i tkliwą, i namiętną — i nawet okrutną. Dlaczegożby nie okrutną? Mogła przeniknąć całą prawdę zgrozy — i miłości — do dna, bez sztucznych pęt, nie narzucając sobie dokliwego przymusu.

Rozmyślając nad tem, czem mogłoby być takie życie, pani Travers poczuła, że ogarnia ją niepojęte uniesienie, które budzi się tak często w ludziach intelektu, gdy sobie uświadomią swe fizyczne zdolności. Rozgorzała nagle poczuciem, że i ona mogłaby sprostać wymaganiom podobnej egzystencji; serce jej rozszerzyło się na chwilę tęsknotą za nagą prawdą rzeczy;

nagą prawdą życia i namiętności, przywaloną ciężarem stuleci.

Nagły wstrząs przywrócił jej przytomność; wydało jej się, że spada z gwiazd. Szmer wody dał się słyszeć i bezkształtna masa wysunęła się z ciemnej próżni naprzeciw pani Travers. Głos u jej stóp powiedział:

— Rozpoznałem pani postać — na tle nieba.

Okrzyk zdumienia zamarł na jej ustach; wyteńczyła tylko oczy, spoglądając wdół. Lingard siedział w joli sam jeden; uderzeniem wiosła skierował lekkie czółenko prawie aż pod sam wychył rufy, złożył wiosła i powstał z ławki. Głowa jego i ramiona zamajaczyły obok jachtu; wyglądał jakby stał na morzu. Pani Travers cofnęła się mimowoli.

— Niech pani nie odchodzi — rzekł z niepokojem — i niech pani głośno nie mówi. Nikt nie powinien wiedzieć. Ciekaw jestem, co sobie państwo właściwie wyobrażacie? Myślicie pewnie że jesteście w porcie — w kraju? A pani — —

— Mego męża niema na statku — przerwała mu śpiesznie.

— Wiem o tem.

Pochyliła się trochę niżej nad burta.

— Więc pan kazał nas śledzić. Dlaczego?

— Ktoś musi przecież czuwać. Wasi ludzie stoją tak pilnie na straży — nieprawdaż? Tak. Od chwili zmierzchu jedna z moich łodzi snuła się tu wciąż od tyłu — po głębokiej wodzie. Poprzysiągłem sobie, że nigdy już nikogo z was nie zobaczę, że do nikogo z was nie przemówię, że będę niemy, ślepy, głuchy. I — oto jestem!

Przestach i nieufność pani Travers ustąpiły niezmiernej ciekawości, palącej lecz spokojnej, jak wobec

nieuniknionego zrządzenia losu. Spojrzała wdół na Lingarda. Stał z gołą głową, oparłszy rękę o bok statku, i wydawał się głębokozamyślonym.

— Dlatego, że pan ma jeszcze coś nam powiedzieć — poddała łagodnie.

— Tak — rzekł pocichu, nie poruszając się wcale.

— Może pan wejdzie na pokład i zaczeka? — zapytała.

— Jakto! Ja? — Podniósł głowę tak szybko, że się przełękała. — Nie mam mu nic do powiedzenia, i noga moja nie postanie nigdy na pokładzie tego statku. Powiedziano mi, abym poszedł precz. To dosyć.

— Mój mąż jest przyzwyczajony do tego, że wszyscy go traktują z szacunkiem — rzekła po krótkiej chwili — a pan —

— Kim on jest? — spytał Lingard poprostu.

Wydało jej się, że te trzy słowa rozwiały jej przeszłość w powietrzu — jak dym. Obdarły całą ludzką masę z wszelakiego znaczenia. Uczuła, że zdumieniem z tego wieczoru, na tem miejscu nie mogła znaleźć właściwej odpowiedzi na to badawcze i naiwne pytanie.

— Nie żądałem od was wiele — zaczął znów Lingard. — Prawda? Tylko żebyście wszyscy przenieśli się na mój bryg — na pięć dni. To wszystko... Czy wyglądam jak kłamca? Są rzeczy, których nie mogłem powiedzieć! Nie mogłem wyjaśnić — nie mogłem — ani jemu — ani nikomu innemu — żadnemu człowiekowi na świecie —

Głos jego opadł.

— Nawet samemu sobie — zakończył jak we śnie.

— Tak długo nikt nas tu nie niepokoił — zaczęła pani Travers trochę niepewnie — że teraz bardzo trudno uwierzyć w niebezpieczeństwo. Przez cały czas

nie widzieliśmy nikogo oprócz tych dwojga ludzi, którzy po pana przyszli. Jeśli pan nie może wytłumaczyć —

— Naturalnie, przecież niepodobna widzieć przez ścianę — przerwał Lingard. — To wybrzeże jest jak ściana; ale ja wiem, co się dzieje po drugiej stronie... Jacht tutaj — na tem miejscu! Kiedy go zobaczyłem, mogłem pomyśleć, że przed jaką godziną odbił od brzegów Anglii. Już sam wygląd jego masztów przywodzi mi na myśl dawne czasy. A przytem twarze tych chłopców na pokładzie. Doznałem wrażenia, że znam ich wszystkich. Jak gdyby rodzinny kraj do mnie przyszedł, w chwili gdy wcale o nim nie myślałem. I znieawidziłem sam wasz widok.

— Jeśli jesteście narażeni na niebezpieczeństwo — rzekła po chwili milczenia, podczas której starała się przeniknąć tajemnicę namiętności ukrytej za słowami tego człowieka — to pan się nie potrzebuje tem przejmować. Nasza druga łódź wyruszyła do Straits i skuteczna pomoc nadejdzie wnet z pewnością.

— Nie przejmować się!... Czy ten wasz szacowny wartownik kieruje się tu — w stronę rufy? Nie chcę, aby ktokolwiek wiedział, że byłem tu znów i że prosiłem — choćby nawet i panią. Czy on tu idzie?... Niech pani słucha! Zatrzymałem waszą drugą łódź!

Głowa jego i ramiona znikły, jak gdyby był nurknął w bardziej zwarty pokład mroku unoszącego się nad wodą. Wartownik, który miał zamiar wyciągnąć się na jednym z leżaków, dostrzegłszy żonę właściciela, podszedł wprost do lampy wiszącej pod środkowym prętem płóciennego dachu, pogmerał przy niej czas jakiś i skierował się opieszalym krokiem ku przodowi.

— Pan się ośmielił! — szepnęła dobitnie wdół pani Travers; i natychmiast głowa Lingarda z podniesioną twarzą znów wynurzyła się pod nią.

— Musiałem na to się ważyć — albo się wyrzec wszystkiego. Pomoc ze Straits byłaby nadeszła w każdym razie zapóźno, gdybym nie miał siły zapewnić wam bezpieczeństwa; a jeśli mam tę siłę, mogłem dopomóc wam — sam. Spodziewałem się, że znajdę tu rozsądnego człowieka, z którym będę się mógł dogadać. Powinienem był przewidzieć, co się stanie. Przybywacie z tak dalekich stron, że nie rozumiecie tych rzeczy. Tak — ośmieliłem się to zrobić; posłałem za waszą łodzią człowieka, który — gdy czuje mnie za sobą — gotów zatrzymać samego gubernatora ze Straits. On to robi. Może już zrobił. Niczego nie możecie się spodziewać. Ale ja tu jestem. Pani powiedziała, że pani wierzy w moje dobre zamiary —

— Tak — szepnęła.

— Dlatego właśnie pomyślałem, że powiem pani wszystko. Musiałem zacząć od tej historii z łodzią. A co też pani teraz o mnie myśli? Odciąłem was od reszty ziemi. Przepadlibyście jak kamień w wodę. Wyruszyliście z jednego obcego portu do drugiego. Ktoby się zatroszczył o to, co się z wami stało? Ktoby się o tem dowiedział? Ktoby mógł odgadnąć? Upłynęłyby miesiące, zanimby powstał alarm.

— Rozumiem — rzekła spokojnie — jesteśmy bezradni.

— I sami — dodał.

Po chwili rzekła rozważnym, powściągliwym tonem:

— Co nam grozi? Rabunek, niewola?

— Groziłaby śmierć, gdybym ja nie był tutaj.

— Więc pan ma dosyć siły aby —

— A co pani myśli, dlaczego wy jeszcze żyjecie? — wykrzyknął. — Jörgenson porał się z nimi tam na wybrzeżu — ciągnął spokojniej, zakreślając ręką łuk w stronę, gdzie noc wydawała się najmroczniejszą. — Czy pani myśli, że byłby ich powstrzymał, gdyby się mnie codzień nie spodziewali? Jego słowa byłyby niczem bez mojej pięści.

Usłyszała tępe uderzenie w bok jachtu, ukryte w tym samym mroku, który spowijał obojętność ziemi i morza, wściekłość i ból serc — i uśmiechnęła się nad głową Lingarda, oczarowana prostotą jego obrazów i wyrażań.

Lingard zachwiał się nagle, gdyż ruchliwe członko chybnęło się pod jego nogami, a ona zaczęła mówić wolno i z roztargnieniem, jakby jej myśl się gubiła w nieokreślonych uczuciach.

— A ten — ten — Jörgenson, pan mówi? kto to jest?

— Człowiek — odpowiedział — człowiek taki jak ja.

— Jak pan?

— Zupełnie taki sam — rzekł z dziwną niechęcią jak gdyby potwierdzał przykrą prawdę. — Może ma więcej rozsądku, ale za to mniej szczęścia. Choć odkąd wasz jacht tu się zjawił, zaczynam myśleć, że nie mam co się przechwalać swoim szczęściem.

— Czy nasza obecność tutaj taka jest zgubna?

— Dla niektórych może oznaczać śmierć. Dla mnie może być gorszą od śmierci. A to zależy poniekąd od pani. Niech pani nad tem pomyśli! Nigdy mi się nie zdarzy taka sposobność. Ale to jeszcze nic. Człowiek — który kiedyś ocalił mi życie i któremu dałem słowo — pomyślałby, że go opuściłem. Ale i to jeszcze nic! Niechże pani posłucha! Jak tu stoję w tej

łódce i mówię do pani, wiem — że dziewczyna umarłaby ze zgryzoty.

— Pan ją kocha — rzekła miękko.

— Jak własną córkę — zawołał szeptem.

— Ach! — wyrwało się cichutko pani Travers. Przez chwilę panowało milczenie, potem Lingard znów zaczął mówić:

— Niech pani posłucha. Kiedy byłem chłopcem na trolerze i przypatrywałem się wam, ludziom z jachtów, w portach kanału Angielskiego, byliście mi tak obcy, jak ci Malaje tutaj obcyimi są dla was. Opuściłem kraj przed szesnastu laty i wywalczyłem sobie drogę naokoło całej ziemi. Miałem czas zapomnieć, skąd wyszedłem. Czem jesteście dla mnie wobec tych dwojga? Gdybym umarł tu na miejscu, czy toby was obeszło? Nikt w kraju nie dbałby o to. Nikt na całym świecie — oprócz tych dwojga.

— A co ja mogę zrobić? — rzekła pani Travers i czekała, wychyliwszy się za poręcz.

Zdawał się namyślać, wreszcie podniósł głowę i powiedział łagodnie:

— Czy pani rozumie niebezpieczeństwo, w którym się znajdujecie? Czy pani się boi?

— Rozumiem naturalnie słowa, których pan użył. A czy rozumiem niebezpieczeństwo? — ciągnęła. — Nie — stanowczo nie. I — mówiąc uczciwie — nie boję się wcale.

— Więc tak? — rzekł z rozczarowaniem. — Może mi pani nie ufa? A jednak ja uwierzyłem, kiedy pani mówiła, że jest przekonana o moich dobrych intencjach. Uwierzyłem na tyle, że przybyłem tu prosić panią o pomoc — powiedzieć pani to, o czem nikt nie wie.

— Pan mnie nie rozumie — rzekła porywczo z powagą. — To wszystko jest takie wyjątkowe, niezwyczajne — niespodziane — przekracza tak dalece moje doświadczenie —

— Oczywiście! — mruknął — cóż pani może wiedzieć o niebezpieczeństwie i troskach? Pani! Ale może gdy pani się nad tem zastanowi —

— Pan chce, abym doprowadziła się do strachu! — Pani Travers roześmiała się zlekka — i wśród mrocznych myśli Lingarda ta błyskawica radosnego dźwięku zabrzmiała niestosownie i prawie strasznie. W chwilę potem noc wydała mu się jasną jak dzień, ciepłą jak blask słońca; ale kiedy śmiech ustał, powracająca ciemność zadała mu ból, jakby ugodziła go ciężko w piersi. — Zdaje mi się, że nie potrafię — zakończyła poważnie pani Travers:

— Nie potrafi pani? — Wahał się niezdecydowany. — Rzeczy stoją tak źle, że nie potrzebowałyby pani tego się wstydzić. Mówię pani — rzekł nagle — a wcale bojaźliwy nie jestem — że nie będę w stanie wiele dla was zrobić, jeśli mi w tem nie pomożecie.

— Pan chce, abym udawała że się boję? — spytała szybko.

— Aha, żeby pani udawała — otóż to właśnie. To trudne zadanie dla pani, która pewnie nigdy w życiu niczego nie musiała udawać — prawda?

— Prawda — odrzekła po chwili.

Nieoczekiwana gorycz jej głosu wzbudziła przestrasch w Lingardzie.

— Niechże się pani nie obraża — prosił. — Muszę znaleźć wyjście z tej awantury. To nie są żarty. Czy pani potrafiłaby udawać?

— Może, gdybym się bardzo starała. Ale w jakim celu?

— Musicie wszyscy przenieść się na bryg — zaczął szybko — i wówczas przebrniemy może przez to wszystko bez bójk. Otóż — gdyby pani powiedziała, że pani sobie tego życzy, że pani nie czuje się bezpieczna na jachcie — rozumie pani?

— Rozumiem — wyrzekła w zamyśleniu.

— Bryg jest mały, ale ma kajutę odpowiednią dla kobiety — ciągnął Lingard z ożywieniem.

— Czyż nie służyła już za schronienie księżniczce? — dodała chłodno.

— A ja się narzucać nie będę.

— To jest zachęcające.

— Nikt nie będzie śmiał się narzucać. Nie będzie pani nawet potrzebowała mnie widywać.

— To jest prawie dla mnie decydujące, tylko że —

— Zdaję sobie sprawę z odległości, która nas dzieli.

— Tylko że mogłabym nie mieć dostatecznego wpływu — dokończyła.

— Temu uwierzyć nie mogę — rzekł szorstko. — Krótko mówiąc, nie ufa mi pani, ponieważ pani myśli, że tylko ludzie waszego stanu mówią zawsze prawdę.

— Oczywiście — mruknęła.

— Mówi sobie pani: oto ten tkwi po uszy w zmo-
wie z piratami, złodziejami, murzynami —

— Z pewnością —

— Człowiek jakiego nigdy w życiu nie spotka-
łam — ciągnął Lingard porywczo — taki — brutal.

Zatrzymał się zmieszany. Po niejakim czasie usłyszał jak mówiła spokojnie:

— Pan w tem jest podobny do innych mężczyzn,

że się pan gniewa, kiedy pan nie może odrazu postawić na swoim.

— Ja się gniewam! — wykrzyknął ściszym głosem. — Pani tego nie rozumie. Przecież myślę także i o pani — a pani jest dla mnie niedobra.

— Ja wątpię nie o panu, ale o własnej sile. Pan wywarł niekorzystne wrażenie na moim mężu.

— Niekorzystne wrażenie! Obszedł się ze mną, jakbym był łazikiem z wybrzeża. Mniejsza o to. To jest pani mąż. Każdemu mężczyźnie ciężko znieść trwogę w kimś, kto go obchodzi. A więc —

— Cóż to za machiawelizm!

— Co? co pani mówi?

— Ja się tylko dziwię, gdzie pan to spostrzegł. Na morzu?

— Co spostrzegłem? — rzekł z roztargnieniem i ciągnął dalej swą myśl: — Jedno pani słowo powinno wystarczyć.

— Tak pan myśli?

— Jestem tego pewien. Przecież nawet ja sam —

— Naturalnie — przerwała. — Ale czy pan nie uważa, że po rozstaniu się panów tak — tak — nieprzyjaznem, mogłaby zająć trudność przy ponownem nawiązaniu stosunków?

— Człowiek taki jak ja zrobi wszystko dla pieniędzy — czyż pani tego nie rozumie?

Po chwili zapytała:

— A czyby pan chciał, abym użyła tego argumentu?

— Jeżeli pani wie, że tak nie jest —

Głos jego zadrzał — cofnęła się zmieszana, jak gdyby dotknął jej niespodzianie.

— O co wam chodzi właściwie?

— O królestwo — rzekł Lingard.

Pani Travers wychyliła się daleko za burtę, patrząc w Lingarda, i twarze ich — jedna nad drugą — znalazły się tuż koło siebie.

— Ale nie dla pana? — szepnęła.

Poczuł na czole dotknięcie jej oddechu i przez chwilę stał nieruchomo, jakby nigdy już nie miał zamiaru poruszyć się lub odezwać.

— Takie rzeczy — zaczął nagle — wchodzi w drogę, kiedy się o nich nie myśli i biorą za łeb, zanim się człowiek zorientuje, co chce właściwie zrobić. Kiedy wjeżdżałem do zatoki na Nowej Gwinei, nie miałem pojęcia, dokąd mię ta podróż zaprowadzi. Mógłbym pani opowiedzieć jedną historję. Pani zrozumiałaby! Pani! Pani!

Zająknął się, zawahał — i nagle zaczął mówić, rzucając w noc obrazy z ostatnich dwóch lat, a pani Travers śledziła je, jak gdyby się rysowały ognistemi słowami.

VII

Opowiadanie jego było również zdumiewające, jak odkrycie nowego świata. Prowadził ją po krawędzi porywającego życia, które oglądała poprzez naiwny zapal opowiadającego. Wszystko co było nieproporcjonalne i bezsensowne w tej wdzięczności, w tej przyjaźni, w tem niepojętem poświęceniu, ginęło w olbrzymiem napięciu uczuć. Ślepa gwałtowność, z jaką dążył do celu, nadawała niejasnemu planowi podboju proporcje wielkiego przedsięwzięcia. Żadna wizja podbitego świata nie mogła być bardziej porywająca dla najznakomitszego ze zdobywców znanych w historii.

Od czasu do czasu przerywał opowiadanie, aby zapytać poufnie, jakby mówił do starego przyjaciela: „Co byłąby pani zrobiła?” — i ciągnął śpiesznie dalej, nie czekając na aprobatę.

Uderzyło ją w tem wszystkiem wielkie uczucie, piękno wrodzonej zdolności kochania, która znalazła samą siebie, sposób wypowiedzenia się i zaspokoiliła swą bezpośrednią potrzebę jakiegoś przedmiotu; uderzyła ją także tkliwość przejawiająca się gwałtownie, tkliwość, mogąca znaleźć ujście jedynie przez wspomaganie ludzkich istot walczących przeciw swemu losowi. Może nienawiść pani Travers do wszelkiego konwencjonalizmu, który pętał szczerość jej własnych porywów, uczyniła ją bardziej wrażliwą na wszystko co jest istotnie wielkie i głębokie w przejawach ludzkich namiętności, przejawach tak prostych i tak nieskończenie różnorodnych, stosownie do danej strefy i chwili.

Cóż z tego, że opowiadający był tylko błędnym marynarzem, królestwo — dżunglą, a ludzie — mieszkańcami lasów, o których nikt nie słyszał! Wielkość idei opanowała prostą duszę tego człowieka; nie było nic niskiego w jego płomiennych porywach. Z chwilą, gdy pani Travers to pojęła, opowiadanie przemówiło do śmiałego jej ducha i to, co usłyszała, tak ją oczarowało, że wprost straciła świadomość, gdzie się znajduje. Zapomniała, że jest osobiście związana z tą opowieścią, którą zobaczyła w oderwaniu, daleko — jako prawdę czy fantazję przedstawioną malowniczym językiem, a rzeczywistą jedynie przez odzew jej wzruszenia.

Lingard zamilkł na chwilę. Namiętny szept jego ustał i pani Travers zaczęła się zastanawiać. Z początku było to tylko niejasne poczucie, że opowieść tego człowieka ma jakiś sens realny. Sens, który ją osobiście

obchodzi. Po raz pierwszy cień niebezpieczeństwa i śmierci przesunął jej się przez duszę. Więc to ma takie znaczenie? Nagle olśniła ją błyskawica ostrej przenikliwości i pani Travers pojęła, że jest bezradnie wplątana w tę opowieść, jak się jest wplątanym w katastrofę.

Lingard znów zaczął mówić. Nie milczał dłużej nad minutę. A jednak wydało się pani Travers, że upłynęły lata, tak odmiennym był teraz skutek jego słów. Odczuwała takie podniecenie, jakby jego zwierzenia i ufność były faktem wstrząsającym do głębi. Był to fakt z własnego jej życia, a zarazem część tej historii. I to ją niepoilo. Słyszała jak wymawiał różne imiona: Belarab, Daman, Tengga, Ningrat. Należały teraz do jej życia, i stwierdziła z przestraczem, że nie umie połączyć tych imion z jakąkolwiek ludzką postacią. Wystąpiły na jaw samotnie, jak wypisane na tle nocy; nabrały symbolicznego znaczenia; narzuciły się jej zmysłom. Szepnęła jak gdyby w zamysleniu: „Belarab, Daman, Ningrat“ — a barbarzyńskie te dźwięki zdawały się posiadać wyjątkową siłę, złowrogi wygląd, posmak szaleństwa.

— Każdy z nich ma ciężkie porachunki z białymi. Cóż mnie to może obchodzić! Musiałem wynaleźć gdzieś ludzi, którzyby chcieli się bić. Narażałem życie, aby ich zebrać do kupy. Poczynilem im obietnice, których dotrzymam, albo — —! Czy pani teraz rozumie, dlaczego ośmieliłem się zatrzymać waszą łódź? Tak głęboko w to jestem wplątany, że żaden sir John mnie nie obchodzi. Gdy patrzę na robotę, która mnie czeka — nie dbam o nic. Dałem wam sposobność do ocalenia się — dobrą sposobność. Musiałem to zrobić. No, trudno! Przepuszczam, że za mało wyglądam na

dzentelmena. Tak, tak! Otóż to właśnie. A jednak wiem, czem są dzentelmeni. Żyłem całe lata w ich towarzystwie. Przyjaźniłem się z nimi — a jakże — na polach złotodajnych, a także gdzieindziej, wśród okoliczności, kiedy człowiek musi pokazać swoją podszewkę. Niektórzy z nich po dziś dzień pisują do mnie z kraju, ponieważ — ale mniejsza o to! I wiem, jakby się dzentelmen zachował, oho! Czy nie potraktowałby obcego jak uczciwego człowieka? Czy nie pamiętałby, że żaden człowiek nie jest kłamcą, póki mu się tego nie dowiedzie? Czy nie dotrzymałby raz danego słowa? No więc ja to właśnie uczynię. Póki ja żyję, włos pani z głowy nie spadnie.

Odzyskała już poniekąd panowanie nad sobą, ale przy tych słowach objęło ją nagle to chwiejne poczucie zupełnej niepewności, jakiego się doznaje podczas trzęsienia ziemi przy pierwszych wstrząsach. Potem wszystkie jej uczucia zastygły w oczekiwaniu. Milczała. Lingard myślał, że mu nie dowierza.

— No — jak pani sądzi — co mnie tu przywiodło — abym — abym — tak mówił do pani? Otóż — Hassim, a właściwie radża Tulla — pytał mnie dziś popołudniu: „Co ty teraz zrobisz z tymi twoimi przyjaciółmi?“ On prawdopodobnie dotychczas myśli, że to ja sprowadziłem was tutaj z jakiegoś powodu. Nie można nigdy przewidzieć, co za fałszywe pojęcia wylegną się w ich tępych głowach. Człowiek gotów jest kłąć ze złości. — I zaklął istotnie. — Z przyjaciółmi! Czy jesteście nimi naprawdę? I jak dalece? Niech pani powie — jak dalece? Nie więcej niż ja jestem waszym przyjacielem. Czy ktokolwiek z was — jaśnie państwa — naraziłby się w kraju na ostateczną ruinę, aby ocalić od utonięcia załogę rybackiego żaglowca?

Choć odczuwała niejasno, że coś jej grozi, żaden obraz śmierci jej się nie ukazywał. Czuła się nawskroś żywą. Czuła swą żywotność w przyplýwie sił, w świeżości doznawanych wrażeń, jakby życie jej było darem tej właśnie ostatniej chwili. Niebezpieczeństwo ukryte w ciemnościach żadnym znakiem nie wzbudziło jej trwogi, natomiast działalność ludzkiej duszy, prostej i gwałtownej, odsłoniła się przed nią; był w tem niepokojący czar nie doznanego jeszcze przeżycia. Przysłuchiwała się człowiekowi, który nic nie ukrywał. Rzekła:

— A jednak pan przyjechał?

— Tak — odpowiedział — tylko dla pani i przez panią.

Przypływ przebiegł szybko po ławicach i zapluskał spokojnie przy sterze jachtu.

— Nie chcę, aby pan ocalił tylko mnie jedną.

— Więc musi pani sama ich przyprowadzić — rzekł pośepnie. — Tam jest bryg. Ma pani mnie — moich ludzi — moje armaty. Pani wie, co pani ma zrobić.

— Spróbuję — rzekła.

— Doskonale. Przykro mi będzie ze względu na tych tam nieboraków z kasztelu, jeśli się pani nie uda. Ale uda się naturalnie. Niech pani obserwuje światło tam na brygu. Umyślnie kazałem je zawiesić. Bieda jest może bliżej niż nam się zdaje. Dwie moje łódki wyruszyły na zwiady, a jeśli przywiozą złe nowiny, każę światło opuścić. Niech pani się nad tem wszystkim zastanowi. Powiedziałem pani to, o czem nikt nie wie. Niech pani pomyśli też o tem, co dzieje się we mnie. Powiedziałem pani, ponieważ — ponieważ musiałem powiedzieć.

Odepchnął się od boku jachtu i znikł jej z oczu. Szmer wody ustał.

Odeszła od poręczy. Lampa i luki świetlne jaśniały słabo wzdłuż czarnej przestrzeni pomostów. Ten wieczór podobny był do poprzedniego — do wszystkich poprzednich.

— Czy to wszystko, co słyszałam, jest prawdopodobne? — zapytała siebie. — Nie, ale jest prawdziwe.

Usiadła na leżaku, aby zebrać myśli i przekonała się, że jest zdolna tylko do rozpamiętywań. Nagle zerwała się. Była pewna, że ktoś okrzyknął jacht z cicha. Czy to ten człowiek? Wytężyła słuch przez chwilę; nie usłyszała nic i zła była na siebie, że ją ten głos prześladowuje.

— Powiedział, że może mi ufać. Ale jakie niebezpieczeństwo nam grozi? I co to jest — niebezpieczeństwo? — rozmyślała.

Od przodu zbliżały się kroki. Postać wartownika mignęła niejasno na schodni. Znikł, pogwizdując z cicha. W łodzi rozległ się głuchy stukot, potem plusk wiosel dał się słyszeć. Noc pochłoneła te lekkie hałasy. Pani Travers usiadła znów i poczuła, że jest znacznie spokojniejsza.

Umiała myśleć samodzielnie i miała po temu odwagę. Aż do powrotu męża nie mogła rozpocząć żadnej akcji. Najsilniejszym jej wrażeniem nie były przestrogi Lingarda. Ale ten człowiek otworzył przed nią najskrytsze swe wnętrza, nie osłonięte żadnymi wybiegami. Widziała jak na dłoni jego pragnienia, jego wahań, uczucia, wątpliwości, jego gwałtowność, jego szaleństwo; wszystko to składało się na indywidualność rządzącą się własnymi prawami, ale nie mającą w sobie nic niskiego. Pani Travers zawiele miała

wzniosłości ducha, by spojrzeć na Lingarda z punktu widzenia innego niż ściśle ludzki. Jeśli jej ufał (jakie to dziwne; dlaczego jej ufał? Czy miał w tem rację?) — przyjmowała tę ufność ze skrupulatną lojalnością. A gdy zaświtało jej w myślach, że ze wszystkich mężczyzn na świecie tego zna bezsprzecznie najlepiej, ogarnęło ją zdumienie a potem uczucie głębokiego smutku. Wydało jej się to bardzo przykrą sprawą, dotyczącą tylko jej samej.

Przestała myśleć na chwilę, nasłuchując, czy łódź nie wraca. Przerazało ją zadanie, które miała przed sobą. Żaden dźwięk ciszy nie mącił, i czuła się jak gdyby zagubiona w pustej przestrzeni. Wtem ktoś na śródokręciu ziewnął przeciągle, mówiąc: „Ach mój Boże, mój Boże!“ Jakiś głos zapytał: „Czy jeszcze nie wrócili?“ Odpowiedziało mu przeczące mruknięcie.

Dla pani Travers Lingard był wzruszający, gdyż mogła go zrozumieć. Jakże prostem jest życie — myślała. Była szczerą względem samej siebie. Rozpatrywała Lingarda poza nawiasem społecznej organizacji. Odkryła, że niema tam dla niego miejsca. Jakież to zachwycające! Oto ma przed sobą ludzką istotę, a naga prawda bytu nie jest tak od niej daleka pomimo nalołu wieków. I wówczas przyszło jej na myśl, że czyn Lingarda ogołocił ją naraz z jej pozycji, z jej bogactw, z jej stanowiska, z jej przeszłości. „Jestem bezradna. Cóż mi pozostaje?“ zapytała siebie. „Nic!“ Ktoś byłby mógł jej poddać: „Twoja uroda“. Lecz zamało miała jeszcze prostoty aby wziąć pod uwagę swą piękność; a jednak potęgą indywidualności jest częścią nagiej prawdy rzeczy.

Spojrzała przez ramię i zobaczyła światło u najniż-

szej przedniej rei, palące się płomieniem silnym i równym wśród gwiazdnego pyłu, wiszącego nad wybrzeżem. Rozległo się mocne stuknięcie, jakby łódka uderzyła naosłep o trap. Wrócili! Wstała z leżaka w nagłym, wielkiem wzburzeniu. Co ma powiedzieć? Co przemilczeć? Jak zacząć? I poco wogóle mówić? To byłby zupełny absurd, tak jakby mówiła poważnie o tem, co jej się śniło. Nie zdobędzie się na to! W jednej chwili ogarnęło ją prawie szaleństwo. Usłyszała, że ktoś wbiega po trapie. Chcąc zyskać na czasie, podeszła szybko do tylnej burty. Światło na brygu paliło się nawprost niej bez drgnięcia, olbrzymie na tle słońc rozsianych w ogromie nocy.

Utkwiła w niem oczy. Pomyślała: „Nie powiem nic. To niemożliwe. Nie! Powiem mu wszystko!“ Spodziewała się każdej chwili, że posłyszysz głos męża i to oczekiwanie było nie do zniesienia, ponieważ czuła, że musi się zdecydować. Na pomoście ktoś paplał podnieconym głosem. Pragnęła całym sercem, aby d'Alcacer odezwał się pierwszy i odwłócił temsamem chwilę decydującą. Jakiś głos zapytał szorstko: „Co takiego?“ I wśród swej rozterki pani Travers poznała głos Cartera, gdyż ten młody człowiek — innego pokroju niż reszta załogi — zwrócił był na siebie jej uwagę. Wkońcu przyszło jej na myśl, że możnaby powiedzieć wszystko w sposób żartobliwy, albo — czemu nie udać strachu? W tej samej chwili światło u rei na brygu, na które patrzyła, drgnęło wyraźnie; oniemiała na ten widok, jak gdyby firmament się zatrząsł. Z ustami otwartymi do krzyku patrzyła jak opadło o kilka stóp, zamigotało i zgasło. Wszelkie niezdecydowanie opuściło panią Travers. Pierwsza oznaka niebezpieczeństwa przejęła ją dreszczem zupełnie nowego wzruszenia. Należało coś

zrobić natychmiast. Z jakiejś niejasnej przyczyny było jej wstyd poprzedniego wahania.

Ruszyła szybko ku przodowi i pod lampą spotkała się twarzą w twarz z Carterem, który szedł ku rufie. Zatrzymali się i wpatrzyli w siebie; światło padało na ich twarze i każde z nich było uderzone wyglądem drugiego. Błyszczało czworo oczu rozwartych szeroko.

— Widział pan? — zapytała i zaczęła drżeć.

— Skąd pani wie? — zapytał jednocześnie, widocznie zdumiony.

Nagle zobaczyła, że wszyscy byli na pokładzie.

— Światło opadło — wyjąkała.

— Panowie zginęli — rzekł Carter. Spozregł, że zdawała się go nie rozumieć. — Porwano ich z ławicy — ciągnął, nie odwracając od niej oczu, aby się przekonać jak na to zareaguje. Wydawała się spokojną. — Porwano ich jak parę jagniąt! Ani jednego krzyku — wybuchnął z oburzeniem. — Ale ławica jest długa i mogli się znajdować na drugim końcu. Czy pani była na pokładzie? — zapytał.

— Tak — szepnęła. — Tu na leżaku.

— My wszyscy byliśmy na dole. Musiałem trochę wypocząć. Kiedy wróciłem na pokład, wartownik spał. Przysięga, że nie spał, ale ja już wiem. Nikt nie słyszał żadnych hałasów, chyba pani. Ale może pani spała? — zapytał z szacunkiem.

— Tak — nie — prawdopodobnie — odrzekła słabym głosem.

VIII

Lingard był niezmiernie podniecony rozmową z panią Travers, a także udręką niepewności i nieopisa-

ńem znużeniem. Powróciwszy na pokład, zapytał o Hasima; odpowiedziano mu, że radza i jego siostra odjechali w swem czólnie, obiecując wrócić przed północą. Łódki posłane na zwiady wśród wysepek, na północ i południe od miejsca zakotwiczenia, jeszcze nie powróciły. Wszedł do swej kajuty, rzucił się na posłanie i zamknął oczy, mówiąc sobie: „Muszę zasnąć, bo inaczej oszaleję“.

Chwilami przejmowała go niewzruszona wiara w panią Travers, potem przypominał sobie jej twarz, która wnet znikąła. Wysilał się, aby tę twarz zatrzymać, co mu się nie udawało — i nagle odczuwał bezcienia wątpliwości, że jest zgubiony bez ratunku, jeśli się nie zgodzi, aby tych ludzi starto z oblicza ziemi.

— Oni słyszeli wszyscy, że ten człowiek kazał mi pójść precz ze swego statku — myślał, a potem przez jakichś parę sekund rozpatrywał nieugięte ponury obraz rzezi. — A jednak musiałem jej powiedzieć, że włos jej z głowy nie spadnie. Musiałem.

I wbrew wszelkiej logice, na wspomnienie tych słów wydało mu się, że wszelka udręka znikła z powierzchni ziemi. Niekiedy jednak przychodziły czarne chwile, gdy ze zmęczenia poprostu nie myślał o niczem; i podczas jednej z takich chwil zasnął, tracąc świadomość rzeczy zewnętrznych tak nagle, jak gdyby go ktoś powalił uderzeniem w głowę.

Gdy siadł na posłaniu, zanim jeszcze zdołał wytrzeźwieć, pomyślał z niepokojem, że przespał całą noc. W sąsiedniej kabynie paliło się światło i przez otwarte drzwi Lingard ujrzał wyraźnie panią Travers, przechodzącą przez oświetloną przestrzeń.

— Więc przenieśli się jednak na bryg — pomyślał — jakże się to stało, że mnie nie wezwano!

Wpadł do kabiny. Nikogo! Spojrzawszy w górę

na zegar w luce świetlnej, zauważył z rozdrażnieniem że wskazówki stoją, gdy wtem ucho jego pochwyciło słabe tykanie mechanizmu. A więc zegar szedł! Lingard nie spał dłużej niż dziesięć minut. Zszedł z pokładu najwyżej przed dwudziestu minutami!

Więc to było tylko złudzenie; nie widział nikogo. A jednak pamiętał zwrot jej głowy, linię karku, barwę włosów, ruch przechodzącej postaci. Poszedł zgnębiony do kajut-kompanji, mruczając: „Już nie będę mógł spać tej nocy“ — i wrócił natychmiast, trzymając kilka arkuszy papieru pokrytego dużem, kanciastem pismem. Był to list Jörgensona, napisany przed trzema dniami i powierzony Hassimowi. Lingard przeczytał był go już dwa razy, ale teraz podkręcił lampę i zasiadł, aby go raz jeszcze odczytać. Na czerwonej tarczy ponad głową Lingarda złożony snop błyskawic, godzących wdół między jego inicjałami, zdawał się celować prosto w jego kark, gdy siedział, oparłszy o stół gołe łokcie, ślęcząc nad pomiętymi kartkami.

List tak się zaczynał:

Hassim i Immada wyruszają dziś wieczór aby ciebie szukać. Jesteś spóźniony, a każdy dzień pogarsza sytuację. Przed dziesięciu dniami trzej ludzie Belaraba, którzy zbierali żółwie jaja na wysepkach, wrócili z pośpiechem, opowiadając o jakimś okręcie osiadłym na zewnętrznych mieliznach. Belarab rozkazał natychmiast, aby łodzie nie opuszczały laguny. Dotąd wszystko było w porządku. We wsi zapano wało wielkie podniecenie. Przypuszczam, że to musi być szkuner należący do jakiegoś głupiego kupca. No ale będziesz już wiedział o co chodzi, kiedy to przeczytasz. Może myślisz, że mogłem sam wyruszyć

na morze i sprawdzić wszystko naocznie. Ale pominąwszy nawet rozkazy Belaraba, których nie chciałem przekroczyć, aby nie dać złego przykładu, wszystko co posiadasz na tym świecie, mój Tomie, jest tutaj na Emmie, pod mojami nogami, i nie opuściłbym swego stanowiska nawet na pół dnia. Hassim brał udział w naradach odbywających się co wieczór w szopie, za ostrokołem Belaraba. Ningrat, ten mąż świątobliwy, był za złupieniem okrętu. Hassim sprzeciwił się temu, twierdząc, że okręt został prawdopodobnie wysłany przez ciebie, ponieważ żaden biały nie przedostał się nigdy przez pas mielizn. Belarab popierał Hassima. Ningrat rozgniewał się bardzo i wyrzucił Belarabowi, żenie daje mu — Ningratowi — opium do palenia. Na początku przemowy nazywał go „synem“, a przy końcu krzyczał: „O ty, któryś jest gorszy od niewiernego!“ Zaczął się rwetes. Zwolennicy Tenggi gotowi byli pośredniczyć, a wiesz przecież jak rzeczy stoją między Tenggą a Belarabem. Tengga chciał oddawna Belaraba wypędzić i okoliczności zaczęły coraz bardziej mu sprzyjać, kiedy ty się zjawileś i uzbroileś w nuszkiety przyboczną straż Belaraba. Jednakże Hassim uciszył kłótnię i tym razem nikt nie został raniony. Na drugi dzień — był to piątek — Ningrat, odczytawszy modlitwy w meczecie, miał przemowę na dworze do ludu. Beczał i podskakiwał jak stary cap, przepowiadając nieszczęścia, klęski i zagładę, jeśli dadzą tym białym odjechać. To warjat, ale oni uważają go za świętego, i bił się z Holendrami zamłodu przez długie lata. Sześciu ludzi ze straży Belaraba przemaszerowało drogą przez wieś z odwiedzionymi kurkami — i tłum się rozproszył. Ningrata uprowadzili ludzie Tenggi do ostrokołu

swego pana. Gdyby nie to, że lada chwila spodziewano się twego powrotu, byłoby doszło wieczorem do walki między partjami. Wielka szkoda, że zamiast Belaraba Tengga nie stoi na czele osady. Na odważnym i przezornym człowieku można zawsze do pewnego stopnia polegać, choćby nawet był w gruncie rzeczy zdradziecki. A z Belarabem nie wiadomo nigdy, czego się trzymać. Pokój! Pokój! Znasz jęgo manję. I z powodu tej manji postępuje głupio. To domaganie się pokoju doprowadzi go do awantury. Może w końcu przyplącić to życiem. Ale Tengga nie czuje się jeszcze dość silnym, aby oprzeć się tylko na swoich poplecznikach, Belarab zaś posłuchał mojej rady i rozbroił wszystkich mieszkańców wsi. Jego ludzie wtargnęli do chat i odebrali wszystką broń palną i wszystkie włócznie, jakie tylko znaleźli. Kobiety wymyślały im, naturalnie, ale oporu nie było. Widziano, że kilku ludzi uszło z bronią do lasu. Zapamiętaj to sobie, bo to znaczy że obok Belaraba jest we wsi druga siła. Wzrastająca siła Tenggi.

Jednego dnia rano — przed czterema dniami — pojechałem w odwiedzinach do Tenggi. Znalazłem go na wybrzeżu, gdzie obrabiał deskę małą siekierką, a niewolnik trzymał mu parasol nad głową. Zabawia się teraz budowaniem łodzi. Porzucił siekierkę, aby wyjść naprzeciw mnie i trzymając mię za rękę, zaprowadził w cieniste miejsce. Powiedział mi otwarcie, że wysłał dwóch dobrych pływaków, aby śledzili ów statek osiadły na mieliznie. Ci ludzie prześlizgnęli się w czółnie wdół rzeczki i znalazłszy się na brzegu morza, płynęli od mielizny do mielizny, aż zbliżyli się — prawdopodobnie niedostrzeżeni — na pięćdziesiąt jardów do tego szkunera. Co to może być za statek?

Nie mogę tego wyrozumieć. Ludzie donieśli, że jest trzech wodzów na pokładzie. Jeden ma błyszczące oko, drugi jest chudy i biało ubrany, a trzeci nie ma wcale włosów na twarzy i jest ubrany zupełnie inaczej. Czyżby to była kobieta? Nie wiem, co o tem myśleć. Chciałbym, abyś był tutaj. Po długich rozmoworach Tengga rzekł: „Przed sześciu laty byłem władcą swego kraju i Holendrzy mię wypędzili. Kraik był mały, ale nic nie jest za małym dla ich chciwości. Oddali go niby to memu siostrzeńcowi — oby zczezł marnie. Uciekłem, bo byliby mię zabili. Jestem tu niczem — ale pamiętam wszystko. Tamci biali ludzie nie mogą uciec i jest ich bardzo mało. Dałoby się może coś zrabować. Oddałbym to moim ludziom, którzy poszli za mną w nieszczęściu, ponieważ jestem ich wodzem, a mój ojciec był wodzem ich ojców. „Wykazałem mu całą nieostrożność takiego postępu. Odpowiedział: „Umarli drogi nie pokażą“. Na to zauważyłem, że ci którzy nie wiedzą, nie mogą dać informacji. Tengga milczał przez jakiś czas, wreszcie rzekł: „Nie wolno nam ich dotknąć, ponieważ skóra ich jest taka jak wasza i dlatego byłoby złem ich zabić; ale na rozkaz was, na rozkaz białych, wolno nam iść i walczyć z ludźmi o takiej samej skórze jak nasza, z ludźmi naszej własnej wiary — i to jest dobre. Obiecałem tuanowi Lingardowi dwudziestu ludzi i statek na wojnę w Wajo. Ludzie są dzielni, i spójrz na p r a o — szybkie jest i silne“. Muszę przyznać, Tomie, że p r a o to jest najlepszym statkiem w tym rodzaju, jaki kiedykolwiek widziałem. Odrzekłem, że zapłacicieś mu dobrze za tę pomoc. „Jabym także zapłacił“, odpowiedział, „gdybyś mi dał parę strzelb i trochę prochu dla moich ludzi. Ty i ja podzielimy się zdobyczą znalezioną na tym okręcie, a tuan Lingard nic się o tem nie dowie.

To będzie tylko taka sobie zabawa. Ty masz wiele strzelb i prochu pod swoją opieką". Miał na myśli proch i strzelby na „Emmie". Odpowiedziałem mu prosto z mostu co myślę o tej propozycji i rozmowa mocno się zaogniła, aż wreszcie dał mi do zrozumienia, że ma około czterdziestu popleczników, a ja tylko dziewięciu ludzi Hassima, aby bronić Emmy; że zatem mógłby bardzo łatwo napaść i zabrać wszystko. „A wówczas" — mówił — „będę bardzo mocny i wszyscy znajdą się po mojej stronie". Wymiarkowałem z toku późniejszej rozmowy, że rozeszły się pogłoski, jakoby cię spotkało coś złego, i że się tu już więcej nie pokażesz. Wywnioskowałem z tego iż położenie jest groźne i postanowiłem wracać natychmiast na Emmę; ale uśmiechnąłem się, udając zupełną obojętność i podziękowałem Tendze, że mię uprzedził o swych intencjach względem mnie i Emmy. Na to o mało się nie udusił swoją prymką z betelu, i wlepił we mnie małe oczki, mruczając: „Nawet i jaszczurka zostawia musze chwilę czasu na odmówienie modlitwy". Odwróciłem się i byłem bardzo zadowolony, gdy się znalazłem tak daleko, że włócznia nie mogła mnie już dosięgnąć. Odtąd nie opuściłem już Emmy ani razu.

IX

Dalej Jörgenson rozwodził się nad intrygami Tenggi, chwiejnym postępowaniem Belaraba i ogólnym stanem umysłów w osadzie. Zapisywał każdy zwrot w opinii i każde wydarzenie z tak głęboką wiarą w ich doniosłość, jakby chodziło o kronikę przesilenia w historii jakiego mocarstwa. Cień Jörgensona wszedł zaiste z powrotem w ludzkie życie. Stary marynarz oceniał z głębokiem zrozumieniem wartość drobnych szcze-

gółów, używając swych oczu dla tego drugiego człowieka, który miał się podjąć rozwikłania węzła. Lingard przeżył, czytając, wszystkie te dni w osadzie i był wdzięczny Jörgensonowi, tylko ponieważ nie żył z dnia na dzień ale od zdania do zdania, odczuwał zawrotną szybkość w następstwie wypadków, tak że chwilami aż pomrukiwał ze zdumienia lub sarkał gniewnie: „Co takiego?” i odczytywał po wiele razy kilka wierszy albo też całą stronę. Ku końcowi listu wystąpiła mu na czoło głęboka zmarszczka pełna troski; kręcił się niespokojnie na krześle, czytając:

— *i zacząłem myśleć, że potrafię utrzymać wszystko w spokoju, póki ci nieszczęśni biali nie wydobędą swego szkunera, gdy Szeryf Daman przybył z północy, tego samego dnia kiedy się go spodziewano, prowadząc dwa prao z załogą złożoną z Illanunów. Wygląda na Araba. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że Daman może sobie obwinąć naokoło palca obu illanuńskich pangeranów. Prao są duże i zaopatrzone w broń. Jechali rzeką z rozwiniętymi flagami i proporcami, bijąc w gongi i bębny, i wplynęli na lagunę; na pokładach pełno było zbrojnych ludzi potrząsających dwuręcznymi mieczami i wydających wojenne okrzyki. To piękne posiłki dla ciebie, tylko że Belarab, który jest przewrotnym szelmą, nie chciał zaraz przyjąć Szeryfa Damana. Tedy Daman udał się do Tenggi, który zatrzymał go bardzo długo. Opuściwszy Tenggę, przybył na pokład Emmy i wówczas poczułem odrazu, że coś się święci.*

Na samym wstępie zażądał ode mnie amunicji i broni, które ma dostać od ciebie, twierdząc, że chce zaraz popłynąć do Wajo, ponieważ było postawione, iż

cię o kilka dni wyprzedzi. Odparłem, że to jest zupełna prawda, ale że niema nawet mowy o wydaniu mu prochu i muszkietów przed twoim przyjazdem. Wówczas sprowadził rozmowę na ciebie i dawał do zrozumienia, iż może już nigdy nie wrócisz. „Zresztą wszystko jedno“ — dodał — „jest tu radża Hassim i księżniczka Immada, za których gotowiliśmy się bić, nawet gdyby się ani jeden biały na świecie nie ostał. Ale nie możemy się bić gołymi rękami“. Tu udał, że zupełnie o mnie zapomina i rozmawiał z Hassimem, a ja siedziałem i słuchałem. Przechwalał się, jak doskonale przepłynął wzdłuż wybrzeża Bruni. Żadne prao Illanunów nie przepравиło się tamtędy od długich lat.

Immada chciała żebym wydał broń, o którą mu chodziło. Dziewczyzna nie posiada się ze strachu, aby nie stało się coś, coby uniemożliwiło wyprawę na Wajo. Postanowiła niezłomnie swój kraj odzyskać. Hassim jest zamknięty w sobie, ale i on się mocno niepokoi. Daman nic na mnie nie wydebił i tegoż wieczoru prao dostały od Belaraba rozkaz opuszczenia laguny. On niedowierza Illanunom — i trudno mu się dziwić. Szeryf Daman wyniósł się potulnie jak baranek. Nie ma prochu dla swoich armat. Gdy prao mijaly Emme, krzyknął do mnie, że będzie czekał na ciebie przy ujściu rzeczki. Tengga dał człowieka, który pokaże mu odpowiednie miejsce. Wszystko to wygląda mi bardzo podejrzanie.

Więc pilnuj się tam na morzu. Prao włóczą się pomiędzy wysepkami. Daman odwiedza często Tengge. Tengga złożył mi wizytę jako dobremu przyjacielowi i usiłował mię przekonać, abym wydał Damanowi broń i proch, o które mu tak chodzi. Potrafili jakimś sposobem pozyskać dla siebie Belaraba, który odwiedził mnie

wczoraj wieczorem i dał mi do zrozumienia, że lepiej się zgodzić. On pragnie, aby ci Illanunowie wynieśli się czempredzej z sąsiedztwa. Myśli, że po złupieniu szkunera odjadą natychmiast. Narazie chce tylko tego. Immada odwiedziła żony Belaraba i pozostała dwa dni w obrębie ostrokołu. Najmłodsza z żon Belaraba — zaślubił ją przed sześciu tygodniami — jest za zrabowaniem okrętu; przypuszcza, że Belarab dostałby swoją część lupy, a wbiła sobie w głupią łepetynę, że na szkunerze są klejnoty i jedwabie. Otóż Belarab, wzięty we dwa ognie między Tenggę, który go dręczy poza domem, i kobiety, dręczące go w domu, postanowił odprawić modły u grobu ojca. Już od dwóch dni go niema; koczuje w tej niezdrowej miejscowości. Gdy wróci, jak dwa a dwa cztery dostanie febry i będzie wówczas do niczego. Tengga zapala często dymiące ogniska. To są z pewnością sygnały dla Damana. Wyprawiam się na wybrzeże z ludźmi Hassima i gaszę je. Za każdym razem grozi to walką, bo ludzie Hassima bardzo krzywo się na nas patrzą. Nie mam pojęcia, co teraz nastąpi. Na Hassimie można polegać bezwzględnie. Immada jest bardzo nieszczęśliwa. Opowiedzą ci wiele szczegółów, o których nie mam czasu pisać.

Ostatni arkusz wysunął się z palców Lingarda i opadł na stół. Przez chwilę Lingard siedział bardzo spokojnie, patrząc wprost przed siebie, wreszcie udał się na pokład.

— Czy nasze łodzie wróciły? — spytał Shawa, który laził po tylnym pomoście.

— Nie, panie kapitanie, a chciałbym, żeby tu już były. Czekam tylko na nie aby pójść spać — odpowiedział pomocnik kwaśnym, tonem.

— Spuśćcie latarnię tam na przodzie — zawołał nagle Lingard po malajsku.

— Praca na tym okręcie nie nadaje się dla przyzwoitego człowieka — mruknął Shaw pod nosem. Odszedł i oparł się o poręcz, patrząc markotnie w stronę morza. Po chwili rzekł: — Zdaje mi się, że coś zaszło tam na pokładzie jachtu. Widzę jak światła migają po pomostach. Nie myśli pan, panie kapitanie, że stało się coś złego?

— Nie, ja wiem co to znaczy — rzekł Lingard z uniesieniem. — Zrobiła to! — pomyślał.

Wrócił do kajuty, odłożył list Jörgensona i wyciągnął szufladę stołu. Była pełna naboii. Wziął ze stojaka muszkiet, nabił go, potem brał wszystkie inne po kolei. Ubijał pakuły z dziką radością. Stemple dzwięczały, odskakując. Zdawało mu się, że odrabia swoją część pracy w dziele, w którym ta kobieta odgrywa lojalnie swą rolę.

— Zrobiła to — powtarzał w myśli. — Będzie przebywała w kabinie. Będzie spała na mojem posłaniu. No, mojego brygu to się nie powstydzę. Dalibóg — nie! Będę się trzymał zdaleka; nigdy się do nich nie zbliżę, tak jak obiecałem. Teraz nie mam już nic do powiedzenia. Powiedziałem jej wszystko odrazu. Nie zostało nic.

Czuł ciężar pałacy w piersi, we wszystkich członkach, jakby krew w jego żyłach zmieniła się w płynny ołów.

— Ściągnę jacht z mielizny. Potrzebuję na to trzech, czterech dni — nie, tygodnia.

Uznał, że musi mieć na to tydzień. Przyszło mu na myśl, że będzie ją codziennie widywał, póki jacht nie odpłynie. Nie, narzucać się nie myśli, ale osta-

tecznie jest przecież panem i właścicielem brygu. Nie myśli przemykać się po własnym pokładzie jak zbity pies.

— Z dziesięć dni upłynie, nim szkuner będzie gotów. Muszę wyjąć z niego balast do ostatniej krzty. Muszę go ogołocić — dalibóg! muszę zdjąć jego niższe maszty. Sprawdzę, czy wszystko w porządku. Potem drugi tydzień zajmie wyrychtowanie — i — żegnajcie. Byłbym wolał nie spotkać ich nigdy. Żegnajcie — nazawsze. Tacy to powinni siedzieć w domu. Nie tak jak ja. W innych okolicznościach wcaleby nie chciała mnie słuchać. Ależ to jest kobieta — w każdym calu. Uścisknę jej rękę — na chwilę przed odjazdem. Czemużby nie, u licha? Jestem tu przecież panem — na tym brygu — tak jak i każdy inny — na Boga! więcej niż inny — więcej niż wszyscy na świecie!

Usłyszał, że nad jego głową Shaw poszedł szparko ku przodowi i zawołał:

— Co to takiego — łódź?

Jakiś głos odpowiedział niewyraźnie.

— Jedna z moich łódek wróciła — pomyślał Lingard. — Może są wieści o Damanie. Wszystko mi jedno, czy się stawia czy nie. Chciałbym, żeby się stawiał. Pokazałbym jej zaraz, że umiem walczyć równie dobrze jak kierować brygiem. Dwa *prao*. Tylko dwa. Nie dbałbym, gdyby ich było dwadzieścia. Zmiótłbym je z morza — zdmuchnąłbym je z wody — przejechałbym się po nich brygiem. I powiedziałbym jej: — Pani się nie boi; niechże pani teraz popatrzy, jak to się robi!

Czuł się dziwnie lekkim. Miał wrażenie, że wir jakiś unosi go wśród zgiełku hen w górę — bezsilnego niby piórko porwane przez huragan. Gwałtowny dreszcz go przebiegł.

Opuścił bezwładnie ramiona i stał przy stole z oczami

wlepionemi przed siebie, jak człowiek przygnieciony przez jakąś złowrogą nowinę.

Shaw, idąc na śródokręcie, aby przyjąć łódź, która nadjechała i którą wziął za jedną z łódek brygu — natknął się na Cartera, zmierzającego śpiesznie ku rufie.

— Hallo! To znowu pan? — rzekł szybko, zagraudzając mu drogę.

— Przybywam z jachtu — zaczął Carter z jawnem zniecierpliwieniem.

— A skądżeby pan mógł przybywać? — rzekł Shaw. — I czego pan chce teraz?

— Chcę widzieć się z waszym szyprem.

— To się nie da zrobić — oświadczył Shaw ze złością. — Poszedł spać.

— On czeka na mnie — rzekł Carter i tupnął w pokład. — Muszę mu powiedzieć, co się stało.

— Nie irytuj się, młody człowieku — rzekł Shaw zgóry — on o tem wie doskonale.

Zamilkli obaj nagle w ciemnościach. Carter wyglądał, jak gdyby to zbiło go z tropu. Shaw był za skoczony jego postawą, ale rozkoszował się wrażeniem, które wywarły jego słowa.

— Niech mnie djabli, jeśli tego nie myślałem — mruknął Carter do siebie, poczem zapytał chłodno, cedząc słowa: — A może i pan wie także?

— A cóż pan myślisz? Żem tu popychadłem? Nie po próznicy jestem pomocnikiem na tym brygu.

— A tak, nie po próznicy — rzekł Carter z pewną goryczą. — Ludzie mają się różnych dziwnych sposobów, aby tylko wyżyć — i ja sam nie jestem znów taki wybredny, ale grubobym się zastanowił, zanimbym wziął pańskie miejsce.

— Co takiego? Co pan in-sy-nu-u-je? Moje miejsce?

Nie masz pan na to żadnych kwalifikacyj — ty wyci-
rusie jachtowy, ty oszuście z mosiężnemi guzikami!

— Co się tam dzieje, czy to która z łódek wró-
ciła? — zapytał Lingard z rufy. — Niech majtek dy-
żurny przyjdzie tu do mnie natychmiast.

— To tylko wysłaniec z jachtu — zaczął Shaw
powoli.

— Z jachtu! Dawajcie tu na śródkręcie latarnie!
Przypilnować mi, żeby spuszczo trap. Rusz że się,
serangu! Panie Shaw! Zapalić pochodnie na rufie.
Dwie! Trzeba oświetlić drogę łódkom jachtu, które
tu płyną. Stewardzie! Gdzie ten steward? Dawajcież
mi go tutaj.

Bose nogi zaczęły plaskać wokoło Cartera. Cienie
przesuwały się szybko.

— No cóż tam z temi pochodniami? Gdzież maj-
tek dyżurny? — krzyczał Lingard po angielsku i ma-
lajsku. — Tędy, chodź tutaj! Osadz pochodnię na kiju
od rakiet — no dalej! Trzymaj nad burtą — o tak!
Tam na przodzie czekajcie z linami na łódki! Panie
Shaw — potrzebujemy tu więcej światła!

— Dobrze, dobrze, panie kapitanie — zawołał Shaw,
ale nie ruszył się wcale, jakby oszołomiony gwałtowno-
ścią swego zwierzchnika.

— Tego nam właśnie potrzeba — mruknął Carter
pod nosem. — Oszust! A jakże pan nazwie siebie? —
rzekł półgłosem do Shawa.

Czerwony blask pochodni oświetlił od stóp do głów
Lingarda stojącego u luki na rufie. Był z gołą głową,
a jego twarz, zalana światłem, miała wyraz srogi
i zmienny w chybotliwym blasku płomieni.

— Do czegoż on zmierza — myślał Carter, na któ-
rym zrobiła wrażenie ta postać o wyglądzie dzikim

i potężnym. — Coś się w nim zmieniło od czasu, kiedy go widziałem po raz ostatni — rozważał.

Przyszło mu na myśl, że zmiana była zasadnicza; niekoniecznie na gorsze — a jednak... Lingard uśmiechnął się do niego z rufy.

Carter wszedł po schodach i zawiadomił go bez zwłocznie o tem, co się stało.

— Pani Travers kazała mi zaraz udać się do pana. Bardzo jest wstrząśnięta, co pan łatwo zrozumie — cedził, patrząc bacznie w twarz Lingarda. Lingard zmarszył brwi. — Ludzie są też przerażeni — ciągnął Carter. — Wyobrażają sobie, że ci co porwali właściciela — dzicy czy też kto inny — wedrą się na jacht lada chwila. Ja sam tak nie myślę, ale —

— Zupełnie słusznie, to wcale nie jest prawdopodobne — mruknął Lingard.

— Ehe, widzę, że pan wie o wszystkim — ciągnął chłodno Carter; — ludzie są bez kwestji przestraszeni, ale nie mogę brać im tego za złe. Na statku niema nawet dość noży, żeby je rozdać majtkom. Jest tylko jedna stara strzelba od sygnałów. Kiepska sytuacja nawet i dla lepszej załogi.

— Przypuszczam, że to nie jest jakieś nieporozumienie? — spytał Lingard.

— No, chyba że tym panom zebrało się na figle i bawią się z nami w chowanego. Majtek mówi, że czekał dziesięć minut u końca rewy, potem przejechał zwolna wzdłuż brzegu, rozglądając się za nimi; spodziewał się, że spotka ich jak będą wracali. Spostrzegł pień drzewa, osiadłego widać na piasku i mówi, że gdy przejeżdżał tamtędy, jakiś człowiek wyskoczył z za kłody, rzucił w niego kijem i uciekł. Majtek cofnął się zaraz i zaczął wołać: „Czy pan tam jest,

proszę pana?“ Nikt nie odpowiedział. Majtek słyszał szelest zarośli i dziwne jakieś szmery podobne do szep-tów. Było bardzo ciemno. Nawoływał kilka razy i czekał, trzymając wiosła w pogotowiu, wreszcie zląkł się i wrócił na statek. To wcale jasne. Jednego tylko pewien nie jestem: czy ci panowie są jeszcze przy życiu. Nie powiedziałem tego pani Travers. Tę uwagę zechce pan oczywiście zatrzymać dla siebie.

— Nie zdaje mi się, aby ich zabito — rzekł Lingard z wolna, jakby myśląc o czem innem.

— Hm, jeżeli pan tak mówi, to wszystko w porządku — rzekł Carter rozważnie.

— Co ten majtek powiedział? — spytał Lingard z roztargnieniem — że rzucili w niego kijem? Włócznią w niego rzucili!

— Otóż to właśnie! — potwierdził Carter — ale nic mu na to nie powiedziałem. Byłem tylko ciekaw, czy nie rzucili takim samym kijem w naszego zwierzchnika — to i wszystko. Ale przypuszczam, panie kapitanie, że pan wie najlepiej co zrobić!

Lingard wziął się za brodę; namyślając się głęboko, stał wyprostowany w blasku płomieni z pochyloną głową.

— Myślę, że podług pana to wszystko jest moja robota — rzekł ostro, nie podnosząc oczu.

Carter obserwował go otwarcie z zaciekawieniem.

— Otóż, panie kapitanie, pani Travers napomknęła mi coś nie coś o naszym gigu. Pan go zatrzymał, prawda? Bóg raczy wiedzieć, jakim sposobem dowiedziała się o tem. Przykro jej było, że się wygadała, ale nie była to dla mnie taka nowina, jak jej się zdawało. Czasem to niezłą mam kapówkę. Naprzykład te rakiety wczoraj w nocy — co? Czemu nie odgryzłem sobie języka, za-

nim powiedziałem panu o wysłaniu naszej kapitańskiej łodzi. Ale byłem zaskoczony. Może nie? Niech pan sam powie! I tak też jej powiedziałem, kiedy mię pytała, co zaszło między panem a mną na tym brygu, przed mniej niż dwudziestu czterema godzinami. A teraz raptem wszystko wygląda inaczej. To wystarczyaby nastraszyć kobietę — ale ona jest najdzielniejszą z nich wszystkich. Tamci do cna stracili głowę, ponieważ jest trochę ciemno i stało się coś, do czego nie są przyzwyczajeni. Ale ona jest czemś pochłonięta. Nie mogę jej przeniknąć! Urwał, wzruszył zlekka ramionami. — Tak jak i pana — dodał.

— W tem sęk, prawda? — rzekł zwolna Lingard.

— Właśnie, panie kapitanie. Czy dla pana to wszystko jest jasne? Zatrzymuje się naszą łódź, porywa się tych panów. W swoim rodzaju to wcale niezłe kawały, ale — wobec pana jestem smarkaczem — ale czy to dla pana jasne? Stary Robinson nie był wybredny, proszę pana i —

— Jasne jak słońce! — zawołał porywczco Lingard. — Nie mogę poświęcić —

Zatrzymał się. Carter czekał. Ludzie trzymający pochodnie stali sztywno, odwracając twarze od płomieni, a wśród gry światła najbliższy maszt wznosił się w głuchą ciemność jak wyniosła kolumna. Liny wybiegały ukośnie wzwyż w ciemną próżnię i gubiły się dla wzroku, ale wysoko w górze połyskiwał blok od brasu i widać było koniec rei, zawieszony w powietrzu i palący się jak gdyby własnym światłem. Niebo zachmurzyło się nad brygiem bez najlżejszego powiewu.

— Nie może pan poświęcić — powtórzył Carter; poruszywszy się niespokojnie na nogach.

— Nikogo — dokończył Lingard. — Nie mogę. To jasne jak dzień. Nie mogę! Nie! I niczego!

Wpatrzył się w dal przed sobą, a Carter spojrział na niego i tknięty młodzieńczą intuicją szepnął: „To źle“ — głosem, w którym — prawie wbrew jemu samemu — świtało jakieś mgliste współczucie.

Czuł w sobie zamęt, a naokoło siebie — tajemnicę. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie doświadczył, służąc pod starym Robinsonem na *Ly-ee-moon'ie*. A jednak widział tam ciekawe machinacje i brał w nich udział, nie zdając w sobie wówczas z nich sprawy. Były tajne, ale można się było domyślać w nich czegoś zrozumiałego. A tutaj nie. Tkwiło w tem wszystkim coś nieuchwytnego, co na niego działało. Czuł niepokój, jak gdyby jakieś magiczne tchnienie powiało na wypadki i ludzi, nadając tym komplikacjom — które zaszły podczas podróży jachtem — znaczenie niemożliwe do odgadnięcia choć wyczuwalne w słowach, w gestach, w wypadkach — i przejmujące wszystko dziwnym, niejasnym lękiem.

Nie należał do tych, którzy umieją analizować swoje uczucia, a pozatem nie miał na to czasu. Musiał odpowiadać Lingardowi, który wypytywał o ludzi z jachtu. Nie, nie może powiedzieć, aby pani Travers była, powiedzmy, przestraszona. Ale zdaje się, że jest czemś zaprzątnięta. O tak! chłopcy są w strachu. Czyby się bili w razie czego? Każdy będzie się bił, jeśli go zmuszą do tego, czy się boi czy nie. Carter wie o tem z doświadczenia. Oczywiście każdyby wołał mieć coś lepszego w garści niż drąg żelazny. I to jeszcze —

Zamilkł i zdawał się rozważać spokojnie szanse ludzi uzbrojonych w drągi.

— A o co pan chce, żebyśmy się bili? — zapytał nagle. Lingard drgnął.

— Wcale nie chcę — rzekł — i nie prosiłbym pana o to.

— Niepodobna zgóry powiedzieć, co pan robi, panie kapitanie — odparł Carter; — niema jeszcze dwudziestu czterech godzin, jak pan chciał mnie zastrzelić.

— Powiedziałem tylko, że raczej pana zabiję, niż pozwolę, aby mi pan narobił kłopotu — wyjaśnił Lingard.

— Jedna noc nie jest podobna do drugiej — mruknął Carter — ale jakże ja się mam w tem połapać? Zdaje mi się, że to pan sam wpędza siebie w tarapaty — i to w jaknajszyszym tempie.

— No więc przypuśćmy, że tak — rzekł Lingard, nagle posepniejąc. — Czy wasi ludzie biliby się, gdybym ich porządnie uzbroił?

— Za kogo — za pana czy za siebie samych? — spytał Carter.

— Za tę kobietę! — wybuchnął Lingard. — Pan zapomina, że na statku jest kobieta. Gwizdź na to, co stanie się z resztą.

Carter rozważał to sumiennie.

— Nie dzisiaj — rzekł nakoniec. — Jest między nimi jeden czy dwóch jak się patrzy, ale reszta zupełnie zbaraniała. Nie dzisiaj. Niech im pan da czas trochę się uspokoić, jeżeli pan chce, żeby się bili.

Zdawał sprawę ze stanu rzeczy i wyrażał swoje zdanie, wahając się między lojalnością i niedowierzaniem. Stan własnej duszy dziwił go niepomiernie. Nie mógł nic zrozumieć, nie wiedział co o tem wszystkim myśleć, a jednak czuł instynktowne pragnienie, natchniony poryw, aby pomóc temu człowiekowi. Niekiedy wydawało mu się to koniecznością, to znów dy-

plomatycznym posunięciem, chwilami zaś wielkiem szaleństwem — któreby może i nie miało znaczenia, ponieważ podejrzewał, że jest tak czy owak bezsilny. Czasami porywał go gniew. Dotykał wówczas w kieszeni rękojeści nabitego pistoletu. Zaopatrzył się weń, gdy pani Travers poleciła mu wyruszyć na bryg.

— Gdyby chciał mi się stawiać, wygarnę w niego i wezmę nogi za pas — wyjaśniał pośpiesznie.

Pamiętał, jak przerażoną wydała mu się pani Travers. Naturalnie — taka kobieta nie jest przyzwyczajona do podobnych rzeczy. To też słuchał tego, co mówiła, tylko ze względu na dobre wychowanie. Kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha. Nie miał ochoty być porwanym — jeszcze czego — ani też dać się sponiewierać.

— Nie mogę pozwolić, aby mnie capnął. — rzekł — Pani będzie mnie teraz potrzebowała; i obiecuję pani, że nie wypalę z tego starego grata, póki tamten sam mnie do tego nie zmusi.

Idąc za głosem młodzieńczego rozumu, Carter postanowił nie ustępować prośbom pani Travers, choć jej niezmierne wzburzenie zachwiało na chwilę jego decyzją. Pamiętał, że gdy łódź była już w drodze, pani Travers krzyknęła za nim:

— Pan tego nie zrobi! Pan nie może zrozumieć.

Jej głos, brzącały nikło w ciemnościach, wzruszył go, tak był podobny do krzyku rozpacz.

— Naprzód, chłopcy, naprzód — przynaglał swych ludzi.

Był roztropny, zdecydowany, a że był i bardzo młody, więc prawie sobie życzył, „aby doszło co do czego“. I wydał przezornie rozkaz załodze łodzi, żeby

trzymała gig tuż za rufą, pod głównem olinowaniem brygu.

— Jeśli zobaczycie, że nagle skaczą do czółna, odbijajcie i wiosłujcie co tchu.

Podczas rozmowy z Lingardem nie miał jakoś ochoty strzelać, ale trzymał się bezwzględnie swej pięknej decyzji, aby mu się nie wymknęła i nie przepadła w morzu wątpliwości.

— Czy nie powinienem wracać na jacht? — spytał łagodnie.

Nie otrzymując odpowiedzi, ciągnął dalej z rozwagą:

— Pani Travers kazała mi powiedzieć, że bez względu na to, jak się to stało, gotowa jest panu zaufać. Przypuszczam, że czeka na jakąś odpowiedź.

— Gotowa mi zaufać! — powtórzył Lingard. Oczy jego dziko błysnęły.

Każdy ruch płomieni miotał zlekka tam i sam masywnymi cieniami głównego pomostu, na którym można było dojrzeć gdzieś postać człowieka, stojącego bardzo spokojnie z mroczną twarzą i błyszczącymi źrenicami.

Carter wsunął ostrożnie rękę do kieszeni na pierśsiach.

— No więc, panie kapitanie — wyrzekł, powtarzając sobie w duszy, że się nie da zastraszyć, a żona zwierzchnika niech sobie ufa, komu jej się żywnie podoba.

— Czy pan ma tam coś dla mnie na piśmie? — spytał Lingard i posunął się o krok w radosnem uniesieniu.

Carter odstąpił żwawo w tył, aby utrzymać odległość. Shaw gapił się z boku; czerwone jego policzki drżały, okrągłe oczy omal nie wyskoczyły z twarzy,

a usta były otwarte, jakby już, już miał się zatchnąć z niezmiernej ciekawości, zdumienia i oburzenia.

— Nie! Nie na piśmie — rzekł Carter spokojnie i cicho.

Lingard wyglądał, jak obudzony nagle ze snu przez jakiś krzyk. Głęboka i ponura zmarszczka wypadła — rzekłbyś — z mroku by osiąść na jego czole i szybko znowu w mrok wsiąkała — a gdy znikła był już taki spokojny, wzrok jego tak był trzeźwy a twarz opanowana, że trudno było uwierzyć, iż serce tego człowieka przeszło w tej ostatniej sekundzie próbę upokorzenia i niebezpieczeństwa. Uśmiechnął się smutno:

— No, mój młodzieńcze — rzekł z jakąś dobroduszną rezygnacją — co też pan tam ma? Nóż czy pistolet?

— Pistolet — odpowiedział Carter. — Czy pan się dziwi, panie kapitanie? — Mówił z zapalczywością, ponieważ uczucie żalu wkrađało mu się zwolna do duszy niepostrzeżenie i nieodparcie, jak wzbierający przypływ. — Kto zaczął te wszystkie kawały? — Wysunął z kieszeni pustą rękę i mówił dalej podniesionym głosem. — Pan zamierza coś, czego nie mogę wyrozumieć. Pan — pan nie jest otwarty.

Pochodnie trzymane wysoko paliły się bez drgnienia, i w owej chwili głębokiego spokoju cienie na pokładzie brygu znieruchomiały jak ludzie.

— Tak pan myśli? — rzekł Lingard w zadumie.

Carter skinął głową. Był podrażniony tym obrotem rzeczy i wzrastającym popędem by ulec temu człowiekowi.

— A jednak pani Travers mi ufa — ciągnął Lingard łagodnie z tryumfem, jakby wysuwał nieodparty argument.

— Tak mi mówiła — mówił Carter. — Ostrzegłem ją. Ona jest jak dziecko. Wszyscy tam są naiwni jak dzieci. A pan wie o tem. I ja też wiem o tem. Słyszałem coś nie coś o ludziach w rodzaju pana. Pan wyrzuciłby nas wszystkich za burzę, gdyby to panu dogadzało. Ot co myślę.

— I to już wszystko?

Carter skinął zlekka głową i odwrócił oczy. Zapadło milczenie. Wzrok Lingarda wędrował po brygu. Oświetlona część statku występowała jasno i chybotliwie aż do najdrobniejszych szczegółów, zamknięta w ścianach nocy i nakryta jej baldachimem. Lingard uczuł lekki wiew na twarzy. Powietrze się poruszyło, lecz płytkie morze, milczące i zagubione w mroku, nie dawało znaku życia.

Ta cisza ciążyła Lingardowi. Świat jego wysiłków i nadziei wydawał się martwym, wydawał się przepadłym. Pragnienie Lingarda było bezdomne w ciemności, która pochłonęła ten jego szmat morza, to wybrzeże i — pewność powodzenia. I właśnie tutaj, gdzie awanturnicza jego dusza czuła się w swoim żywiole, znalazł się jakiś zatracony młodzik, gotów zastrzelić go wskutek podejrzenia o dziwaczną zdradę. Zjawił się — i jużby chciał strzelać! To także jest wcale niezłe! Lingard zanadto był zmęczony aby się roześmiać — a może też i za smutny. Irytowało go również niebezpieczeństwo strzału, które uważał za realne, gdyż młodość jest porywcza. I ta noc, i to miejsce roily się od przeciwieństw. Niepodobna było rozstrzygnąć, kto w tej mrocznej walce ma być wrogiem, a kto sprzymierzeńcem. Zetknięcia z ludźmi, wynikłe z tych komplikacyj w czasie podróży jachtem, były

tak bliskie, że Lingard miał wrażenie, jakby wszystko działało się w jego piersi.

— Zastrzelić mię! Gotów zrobić ten kawał — niech go diabli. A jednak zaufałbym mu prędzej, niż każdemu innemu człowiekowi na tym jachcie.

Takie były jego myśli, gdy patrzył na Cartera, który gryzł wargi, podrażniony długim milczeniem. Kiedy zaczęli znów mówić, wyrażali się obaj powściągliwie, odczuwając głęboką ulgę, jakby wyszli na chłodne powietrze ze zbyt ogrzanego pokoju, a gdy Carter, odprawiony przez Lingarda, ruszył do swej łodzi, zgodził się był właściwie na linię postępowania, którą Lingard nakreślił dla załogi jachtu. Zgodził się, jak gdyby to się samo przez się rozumiało. Był to jeden z absurdów tej sytuacji, którym należało się poddać, choć były absolutnie niezrozumiałe.

— Czy mówię teraz otwarcie? — spytał Lingard.

— Dość otwarcie, jak mi się zdaje — przyznał Carter z pewną rezerwą — w każdym razie będę z panem współdziałał.

— Pani Travers mi ufa — zauważył Lingard powtórnie.

— Tam do licha — zawołał Carter, dając nagle wyraz jakiemuś ukrytemu przekonaniu — ostrzegałem ją przed panem. No, panie kapitanie, z pana to majster dopiero! Jakże pan zdołał to zrobić?

— Zaufałem jej — rzekł Lingard.

— Co pan mówi! — wykrzyknął zdumiony Carter. — Kiedy? Jak? Gdzie —

— Pan już i tak wie za dużo — odparł spokojnie Lingard. — Niech pan nie traci czasu. Będę pana pilnował.

Carter cicho zagwizdał.

— Jest parę takich osób, których nie mogę przeniknąć — krzyknął w tył do Lingarda, przełaząc śpiesznie przez burzę.

Shaw skorzystał teraz ze sposobności aby się zbliżyć. Zaczął wahająco: „Panie kapitanie, chciałbym parę słów panu powiedzieć“ — i ciągnął dalej, oświadczając, że jest porządnym człowiekiem. Wypowiadał się podniesionym, niepewnym głosem. Jest żonaty, ma dzieci, i nie znosi wszelkiej nielegalności. Światło igrało na jego otyłej postaci; rzucił na pokład swój kapelusz w kształcie grzyba i nie bał się mówić prawdy. Szare wąsy sterczały mu zaczepnie, a wzrok był niespokojny; przyciskał konwulsyjnie ręce do brzucha, otwierał szeroko grube, krótkie ramiona i wyrażał życzenie, aby dobrze to zrozumiano, że bywał głównym oficerem na angielskich statkach, oficerem o charakterze nieskazitelnym i, jak sądził, „na wysokości zadania“. Trudno znaleźć spokojniejszego niż on człowieka; byłby jednak skłonny do pewnych ustępstw, gdyby „przyszło do niesnasek z jakimi murzynami, których powinno się uczyć dobrych manier i rozsądku“ — i w razie czego byłby gotów do — — ale tu przecież chodzi o białych — panów, panie — nie mówiąc już o załodze.

Nigdy dotychczas tak się nie zwracał do żadnego ze swych zwierzchników, a mówiła przez niego przezorność, jego przekonania, zapatrywania, zasady, świadomość swej wyższości i nagromadzone latami pretensje do wszystkich po kolei szyprów, z których bywał niezadowolony w swem życiu.

Jeszcze nigdy nie zdarzyła mu się taka okazja pokazania, że wyzyskać się nie da. Przyłapał wreszcie jednego szypra i mógł na nim używać dowoli. Zresztą

była w tem wszystkim i odwaga, ponieważ wierzył, że wpadł niebacznie w szpony skończonego desperata, którego ramię sprawiedliwości nie może dosięgnąć.

Do tego śmiałego kroku przyczyniło się także wyrachowanie — choć w bardzo nieznacznym stopniu. Zaświtało mu w głowie, że właściciele jachtu dowiedzą się może, iż trzymał ich stronę. Toby mogło być oczywiście korzystne dla człowieka, który pragnie się wybić. „Właściciel jachtu — porządnie nastraszonego — wielki pan — cóż mu tam znaczą pieniądze“. Tu Shaw oświadczył z ogniem, że nie myśli maczać w tem wszystkim palców. Tacy, którzy nigdy nie wracają do kraju — którzy może nie mają i po co wracać — wtrącił prędko, mogą robić co im się podoba. Ale nie on. Ma żonę, rodzinę, mały domek — splecony z trudem. Prowadził zawsze na morzu życie porządne, wyjeżdżał z kraju i wracał regularnym trybem; nie wahał się tu i ówdzie, kumając się z pierwszym lepszym murzynem i zastawiając sidła na lepszych od siebie.

Jeden z dwóch majtków trzymających pochodnie westchnął u boku Shawa i przestąpił z nogi na nogę.

Ci dwaj majtkowie stali w tak zupełnej nieruchomości, że poruszenie to było równie zdumiewające, jak gdyby posąg zmienił pozę. Popatrzawszy na winowajcę z zimną niechęcią, Shaw zaczął mówić o sądach, procesach i wolności obywatelskiej, poczem wskazał na pewność wykrycia nadużyć i płynące stąd kłopoty, przybierając na tę chwilę ton mądry i obojętny.

— Wynikiem tej historii będzie piętnaście lat więzienia dla wszystkich — rzekł — a ja mam chłopca, który nie zna jeszcze swego ojca. Ładnych rzeczy się dowie, jak dorośnie. Ci, co tu nic nie zawinili, będą się mieli z pyszna na równi z panem — jak dwa a dwa

cztery. Mojej starej pięknie serce, o ile przedtem nie umrze z głodu. Dom zostanie wystawiony na sprzedaż.

Wyobrażał sobie, że jakaś tajemnicza niegodziwość mu zagraża i zaczął tracić głowę. W gruncie rzeczy chodziło mu o nieskazitelność swego życia, aby mógł dalej z sobą się cackać i być z siebie dumnym. To dążenie było moralne, ale — zdjęty trwogą — zdradził się przytem z wrodzoną sobie gburowatością, która wyskoczyła z trzaskiem jak djablik z pudełka. Wydał spisec, wsypie Lingarda, rozgłosi całą historję, weźmie stronę uczciwych ludzi, przysięgnie na ewangelję, powie co o tem myśli, niech się cały świat dowie... a gdy zatrzymał się by odetchnąć, wszystko naokoło niego było nieme i spokojne. W impecie cnotliwego uniesienia sypał słowami, które się rozwiewały jak plewy porwane wichurą i pędziły naoslep w mrok nad płytkiem morzem. Wśród wielkich ciemności noc wysłuchiwała niewzruszenie słów Shawa: „Umywam ręce od wszystkiego“.

— A bryg? — zapytał nagle Lingard.

To osadziło pomocnika. Przez sekundę przyznawał instynktownie — jako marynarz — że statek ma swoje prawa.

— Bryg... bryg. Przeciw brygowi nic nie mam — mruknął. Nie może nic na statek powiedzieć — broń Boże. Wprawdzie bryg nie dorównywa tym wielkim okrętom, do których Shaw się przyzwyczaił, ale w swoim rodzaju to najlepszy ze statków, jaki kiedykolwiek... I opamiętawszy się nagle, oświadczył, że go zwabiono na bryg pod fałszywemi pozorami. To taka sama niegodziwość, jak gdyby go porwano pijanego na okręt. Tak! przysięga na wszystko co ma najświęt-

szego. Został zwabiony na statek — prawie że korsarski! To jest właściwa nazwa dla tego statku — jak on nazywa się Shaw. Mówił to, wytrzeszczając oczy niby sowa. Lingard stał nieruchomy i niemy pod temi ciosami, nie dając znaku życia.

Głupi harmider tego człowieka boleśnie mu dośkwierał. Nie było końca tym idjotom, ciągnącym do niego z zatraconych krańców ziemi. Takiemu człowiekowi nie można nic powiedzieć. Żadnemu z nich nie można nic powiedzieć. Przybyli ślepi i ślepymi też odjadą. Stwierdził niechętnie, ale bez żadnej wątpliwości, że — jakby pchnięty przez jakąś zewnętrzną siłę — będzie musiał ocalić dwóch z pomiędzy nich. Przewidywał, że w tym celu trzeba prawdopodobnie bryg na jakiś czas opuścić. Trzeba zostawić go z tym człowiekiem. Z pierwszym oficerem. Sam go zgodził — aby ubezpieczenie statku było prawomocne — aby móc czasem porozmawiać — aby mieć kogoś przy sobie. Kto byłby przypuścił, że taki skończony bałwan może się na morzu uchować? Ktoby to pomyślał? I jemu ma bryg powierzyć. Swój bryg!

Od samego zachodu bryza, odpierana przez upał dzienny, usiłowała w ciemności zawładnąć znów mieliznami. Słychać było w nocy jej podchody, jej cierpliwe szepty, jej zawiedzione westchnienia; lecz teraz zdumiewająco silny powiew wpadł swobodnie, jakby gdzieś daleko na północy ostatnia zapora ciszy została zwycięsko zniesiona. Płomienie pochodni, zepchnięte wdół, mieniły się niebieskawo, poziome i hałaśliwe u końca wyniosłych żerdzi, jak wiejące proporce; i patrzcie, oto cienie na pokładzie oszalały i jęły się wzajem potrącać, jakby pragnęły uciec z okrętu skazanego na zagładę; ciemność podtrzymywana nakształt

sklepienia przez jaskrawy blask, rzuciła się ślepo na bryg nieodpartą lawiną; ludzie stali, chwając się, jakby mieli paść pod brzemieniem czarnej i niemej kłęski. Zatarte kontury brygu, maszty, takelunek, wszystko zdawało się wstrząsać ze zgrozy przed nieuchronną zaturą — gdy nagle ciemność skoczyła znów w górę, cienie wróciły na miejsca, ludzie ukazali się wyraźnie, smagli, o twarzach spokojnych, o błyszczących źrenicach. Zagłada minęła wraz z tchnieniem wiatru, przepadła.

Dysonans trzech głosów, które wydały jednocześnie przeciągły, zawodzący okrzyk, rozebrzmiał w zniurcho miałem powietrzu.

— Ohej, bryg! Rzućcie nam linę!

Łódź, obciążona pierwszym ładunkiem z jachtu, ukazała się i wpłynęła spokojnie na staw purpurowego blasku, rozedrganego wokoło brygu na czarnej wodzie. Dwaj majtkowie w przodzie łodzi wiosłowali, ściśnięci niewygodnie; w środku, na stosie podróżnych torb marynarskich z żaglowego płótna, siedział niepewnie jeszcze jeden, wsparty na obu rękach, z wyciągniętymi sztywno nogami, kanciasty i nieporadny. W świetle bijącym z rufy występowało to wszystko ponuro i dokładnie, a łódź, płynąca zwolna ku brygowi, miała wygląd podejrzany i żaloszny. Lichy ładunek, który ją zapełniał, wyglądał jak ukradziony przez tych ludzi podobnych do rozbitków. Carter, stojąc w rufie, sterował nogą. Uśmiechał się z młodzieńczym sarkazmem.

— Otóż i oni! — krzyknął do Lingarda. — Postawił pan na swoim, panie kapitanie. Uważałem, że powinienem odwiedzić osobiście ten pierwszy cenny ładunek —

— Objedźcie naokoło rufy. Bryg jest w obrocie — przerwał mu Lingard.

— Dobrze, dobrze! Postaramy się nie rozbić brygu. Bylibyśmy doprawdy zgubieni, gdyby — Odbij Janie! Odbijże, stary chwacie, jeśli dbasz choć trochę o swoją słoną skórę. Lubię tego starego draba — rzekł, stojąc już obok Lingarda i spoglądając wdół na łódkę, którą wyładowywali szybko biali i Malaje, pracując w milczeniu ramię w ramię. — Lubię go. On nie należy do tej jachtowej bandy. Zabrali go gdzieś po drodze. Niech no pan spojrzy na tego starego wilka — wygląda jak wyciosany z okrętowego budulca — rozmowny jak ryba — ponury jak wyopatroszony wrak. To coś w moim guście. Wszyscy inni albo są żonaci, albo mają się żenić, albo powinni byli się ożenić, albo martwią się, że nie są żonaci. Każdziutki z nich holuje za sobą kieckę — do licha! Od czasu jak jeżdżę po świecie, nigdy jeszcze nie słyszał takiego szwargotu o żonach i pędrakach. No, dalej na górę, wy tam z waszemi tłomokami! Ale, ale, nie było mi wcale trudno wydościć ich z jachtu. Nie widzieli jeszcze nigdy, aby kto skradł dwóch facetów — rozumie pan. Zmieniło to zupełnie ich skromne wyobrażenie o tem, co znaczy wjechanie statku na mieliznę — w tych tu okolicach. Nie mogę powiedzieć, aby i moje pojęcia pod tym względem trochę się nie pomięszaly — choć już widziałem niejedno.

Jego podniecenie zdradzało się w tej chłopięcej skłonności do zwierzeń.

— Niech pan patrzy — rzekł, wskazując rosnący stos worków i pościeli na tylnym pokładzie brygu. — Niech pan patrzy. Czy nie mają zamiaru spać miękko — i pewnie śnić o domu. O domu. Niech pan pomyśli.

Te bęcwały nie mogą się od niego odczepić. Nie tak jak pan i ja —

Lingard poruszył się.

— Ja, to uciekłem z domu kiedy byłem ot, tyli. Mój stary jest pilotem w Trinity. To praca, dla której warto w kraju posiedzieć. Matka pisuje do mnie czasami, ale nie mogą tak bardzo znów za mną tęsknić. Jest nas wszystkich czternaścioro — osiem sztuk jeszcze w domu. Niema strachu, żeby się kraj kiedy wyludnił — a na kogo padnie, ten niech umiera. Tylko żeby to była porządna rozgrywka, panie kapitanie. Niech pan nam coś pięknego pokaże.

Lingard zapewnił go krótko, że będzie zadowolony. Dlatego właśnie chciał mieć załogę jachtu na brygu. Potem spytał Cartera poważnie i spokojnie, czy ma wciąż jeszcze w kieszeni ten pistolet.

— Mniejsza z tem — rzekł śpiesznie młody człowiek. — Niech pan pamięta, kto zaczął. To nie dlatego, żebym się tak bał dostać kulą, tylko widzi pan, bałem się, że pan mnie zwymyśla. Ale wczorajsza noc już dawno minęła i — niech mnie powiesz, jeśli wiem czego chciałem właściwie, kiedym zdjął ten stary grat ze ściany. Nic więcej nie mogę powiedzieć, póki się wszystko nie rozstrzygnie tak lub owak. Czy to panu wystarcza?

Czerwieniejąc jak burak, odłożył sąd nad Lingardem, i powściągnął się od wyroku z młodzieńczą wspaniałomyślnością.

* * *

Dogadzało to snąć Lingardowi, że wyrok na niego został zawieszony w ten sposób. Pochylił zwolna głowę. Tak, to mu wystarcza. Wydało mu się, że — uzależ-

niając życie od nieświadomości tego młodzika — przywraca równowagę swej duszy i krzepi ją przeciw wielu tajnym zamysłom. Było to niesmaczne i gorzkie, a taką właśnie powinna być pokuta. On także trzymał w ręku życie; jedno życie i śmierć wielu ludzi — ale ich śmierć ważyła tyle co piórko na szalach jego sumienia. Lingard nie mógł odczuwać tego inaczej, gdyż jego siła nie dałaby się za żadną cenę zmarnować. Nie będzie zmarnowaną — i na tem koniec. Pozostawało mu tylko dodać jeszcze jeden hazard do całego morza hazardów. I tak to Lingard stał się zdolnym do zrozumienia, że kropla wody w oceanie stanowi wielką różnicę. Jego pragnienia — nieposkromione lecz wygnane — opuściły go i nie słyszał już ustawicznie ich głosu. Zdawał sobie z tego sprawę — widział siebie, swą przeszłość, przyszłość — i widział jak wszystko przesuwa się przed nim niewyraźnie na wzór owych kształtów, które wytężone oko wędrowca dostrzega w ciemniejszych smugach na obliczu nocy.

X

Gdy Lingard schodził po drabinie do swej łódki — wśladał za Carterem, który udał się z powrotem na jacht — poprzedzał go Wasub z masztem i żaglem na ramieniu. Stary Malaj wskoczył zręcznie do joli i zakrzętała się, aby ją przygotować dla swego dowódcy.

W tej to łódeczce Lingard zwykł był przeływać samotnie płytkie morze. Miała krótki maszt, lugrowy żagiel, mieściło się w niej z łatwością dwóch ludzi, a mogła pływać na kilku calach wody. Lingard nie był w niej zależny od załogi, a w razie gdyby wiatr zawiódł, mógł się posuwać zapomocą wiosła, skracając

sobie drogę przepływaniem nad rewami. Było tam tak wiele wysepek i piaszczystych ławic, że w razie nagłej niepogody udawało się zawsze znaleźć miejsce osłonięte od wiatru; gdy zaś Lingard chciał wylądować, wciągał łódkę na brzeg, idąc naprzód z liną w rękę, jak olbrzymie dziecko wlokące za sobą łódeczkę — zabawkę. Gdy statek był zakotwiczony na płytkim morzu, Lingard odwiedzał lagunę w tem właśnie czółenku. Raz, gdy zaskoczyła go nagle silniejsza bryza, dostał się wbród na pochyłe wybrzeże, niosąc łódeczkę na głowie i przez dwa dni spoczywali razem na piasku; wokoło nich szalała płytka, sina woda, a poprzez trzymiłowy płat piany widać było niekiedy jak bryg rozpływa się we mgle i znów się ukazuje wyraźnie, kiwając wyniosłemi masztami, które, zda się, dotykały rozplakanego nieba o rozpaczliwej szarości.

Za każdym razem gdy Lingard wpływał na lagunę, wiosłując nagiemi ramiona, Jörgenson — śledzący ujście zatoczki od chwili, kiedy stłumiony wystrzał od strony morza zawiadomił go o przybyciu brygu na Wybrzeże Zbiegów — mruczał pod nosem: „To płynie Tom w swojej łupince“. I rzeczywiście łódka była podobna z kształtu do łupiny od orzecha, a także i z barwy swych ciemnych, pokostowanych desek. Barki i ramiona mężczyzny wystawały wysoko nad burzę; łódeczka, obciążona barczystą postacią, wspinała się odważnie na strome krawędzie fal, zsuwała się przypnięta w zagłębienia morza i niekiedy przeskakiwała statecznie przez krótką falę. Jej zachowanie miało w sobie coś mężnego i godnego zaufania; zdawało się, że to górski kucyk o niezawodnych nogach, niesie po trudnym terenie jeźdźca znacznie od siebie większego.

Wasub wytarł ławki, umieścił z boku maszt i żagiel, założył dulki. Lingard spoglądał wdół na chude barki starego sługi, oświetlone zgóry chwiejnem lecz jasnem światłem. Wasub trudził się dla wygody swego dowódcy i prostoduszne jego przejęcie się tem zadaniem zesłało nagle na Lingarda pociechę płynącą z przyjaznego czynu. Stary Malaj podniósł wreszcie głowę i wymruczał coś z szacunkiem; na jego pomarszczonej twarzy o ciemnych wargach — u których tkwiło z obu stron po pół tuzina włosów sztywnych jak drut — malowało się coś nakształt satysfakcji pomieszanej ze znużeniem, a nieco ukośne, zmęczone oczy słały ukradkiem w górę spojrzenie pełne dyskrecji, wyrażające aluzję do czegoś nieokreślonego. Lingard uznał to niejasne żądanie za słuszne i mruknął, wchodząc do łodzi:

— Czasy są niebezpieczne.

Siadł i ujął wiosła. Wasub trzymał się burty, nie tracąc jeszcze nadziei, że nastąpią dalsze zwierzenia. Służył na brygu przez pięć lat. Lingard pamiętał to bardzo dobrze. Postać starego Malaja była ściśle związana z życiem brygu i jego dowódcy; zjawiała się w milczeniu, gotowa na wszelkie nagłe przypadki i okoliczności, oczekując rozkazów w bezwzględny posłuchu; był to symbol ślepej wiary w moc Lingarda, symbol bezgranicznego poddania się jego woli. Czy poddanie to było rzeczywiście bez granic?

— Potrzeba nam będzie męstwa i wierności — dodał Lingard badawczym tonem.

— Są tacy, którzy mnie znają — odciął stary z gotowością, jakby te słowa czekały już oddawna. — Patrz, tuanie. Napełniłem świeżą wodą beczułkę w przodzie łodzi.

— Ja cię znam również — rzekł Lingard.

— I wiatr — i morze — wykrzyknął *serang* urywanym głosem. — One są także wierne silnym mężom. Na Allaha! Ja, który jestem pielgrzymem i słuchałem słów mądrości w wielu miejscach, powiadam ci, tuanie: silnym jest ten, który wie, co się kryje w rzeczach pozbawionych życia, zarówno jak i w ludziach. Czy tuan jedzie na długo?

— Powrócę niebawem — razem z resztą białych z tamtego jachtu. To jest początek wielu podstępów. Wasubie! Daman, syn psa, uprowadził dwóch ludzi z mego plemienia. Twarz moja poczerniała.

— Tse, tse! Jaka dzikość! Nie należy obrażać przyjaciela, ani brata przyjaciela, aby zemsta nie nadeszła jak przyływ. Ale czyż wódz Illanunów może nie być tyranem? Moje stare oczy wiele widziały, ale nie widziały nigdy, aby tygrys zmienił swe pasy. *Ya-wa!* Tygrys tego zrobić nie może. To jest nasza mądrość — nieuczonych Malajów. Mądrość białych tuanów jest wielka. Oni myślą: siła wielu słów może sprawić, że tygrys — — Urwał, poczem dodał rzeczowo urywanym głosem: — Ster spoczywa bezpiecznie pod ostatnią ławką, na wypadek gdyby tuan chciał płynąć pod żaglem. Ta bryza nie ucichnie przed wschodem słońca. — I znów głos jego się zmienił, jakby dwie różne dusze przelatowały przez jego ciało. — Nie, nie, tuanie; zabij tygrysa, a wtedy będzie można policzyć pasy bez trwogi — jeden za drugim — o tak.

Wyciągnął szczupły, brunatny palec i nagle wykrztusił suchy dźwięk pozbawiony wesołości, jakby coś zagrzechotało mu w gardle.

— Nędzników tych jest wielu — rzekł Lingard.

— Nie, tuanie. Oni tylko idą za swymi wielkimi

mężami, tak jak my na brygu idziemy za tobą. Tak być powinno.

Lingard zastanawiał się przez chwilę.

— Więc moi ludzie pójda za mną — rzekł.

— To biedni *kalaszowie* bez rozumu — objaśnił Wasub z politowaniem pełnem wyższości. — Niektórzy z nich nie mają więcej rozeznania niż ludzie z dzungli, dopiero co zaciągnięci. Jest tam Sali, niemądry syn mojej siostry, któremu — z wielkiej swojej łaski, tuanie — powierzyłeś pieczę nad sterem tego okrętu. Głupota jego jest niezmierna, ale jego oczy są dobre — prawie równie dobre jak moje, które naskutek modlitwy i wielkiej wprawy umieją patrzeć w noc — daleko.

Lingard roześmiał się cicho i spojrział z powagą na *seranga*. Ponad ich głowami któryś z majtków potrząsnął pochodnią nazewnątrz burty; rzadki deszcz iskier spłynął i zagasł, nie dosięgnąwszy wody.

— A więc umiesz patrzeć w noc, o *serangu*! Więc dobrze, spojrzij — i mów. Mów! Walka czy pokój? Broń — czy słowa? które z tych szaleństw owładnie ludźmi? No dalej — co dostrzegasz?

— Ciemność, ciemność — wyszeptał wreszcie Wasub zalęknionym głosem. — Bywają noce — — Potrząsnął głową i mruknął: — Patrzaj. Przyплыw się odwrócił. Tak, tuanie. Przyплыw się odwrócił.

Lingard spojrział wdół, gdzie było widać, jak woda sunie wzdłuż boków okrętu; pokryta smugami piany płynęła gładko przez oświetlony krąg, który rzucały wokół statku pochodnie palące się na rufie. Świetliste bańki, ciemne smugi, połyskujące zmarszczki ukazywały się nieustannie na wodzie, sunęły i mijały rufę bez plusku, bez bulgotu, bez skargi. Prąd niepowstrzy-

many a łagodny przykuwał wzrok subtelnym czarem, narzucając podstępnie duszy jątrzące poczucie żalu za czemś, co mija bezpowrotnie. Odpływ morza przez samotny blask płomieni przypominał wieczysty odpływ czasu; a gdy Lingard spojrział wreszcie w górę, świadomość tego bezszelestnego ruchu wód oszołomiła go na chwilę. Plama światła zagubiona w mrocznym przestworze, bryg, czołno, ukryte wybrzeże, mielizny, nawet ściany i dach z ciemności — wszystko widzialne i niewidzialne zdawało się sunąć gładko naprzód poprzez olbrzymi mrok przestrzeni. Z wielkim wewnętrznym wysiłkiem Lingard osadził wszystko na miejscu; tylko piana i bańki na wodzie płynęły bezustanku, niepowstrzymane siłą jego woli.

— Przyплыw się odwrócił, *serangu*? Tak myślisz? Może, może — zakończył, mrucząc coś do siebie.

— Odwrócił się naprawdę. Czy tuan nie widzi, jak woda płynie przed jego oczami? — rzekł Wasub z powagą i niepokojem. — Patrz, tuanie. Przyszło mi na myśl, że *prao*, płynące od strony wysp z południa i wprowadzone chytrze w środek prądu, zbliżyłoby się do boku tego naszego brygu, dryfując równie cicho jak bezcielesny cień.

— I Illanunowie znaleźliby się w mig na naszym pokładzie — nieprawdaż? — rzekł Lingard.

— Daman jest przebiegły, a Illanunowie są bardzo krwiożerczy. Noc wcale im nie przeszkadza. Mężni są z pewnością. Czy nie urodzili się wśród walk, i czy nie słuchają podszeptów swoich złych serc, nim jeszcze nauczą się mówić? A wodzowie ich może już teraz prowadzą ich na nas, podczas kiedy ty, tuanie, od nas odchodzisz —

— Nie chcesz, abym odjechał? — zapytał Lingard.

Przez chwilę Wasub wsłuchiwał się uważnie w głębokie milczenie.

— Czyż możemy walczyć bez wodza? — zaczął znowu. — Wiara w zwycięstwo jest tem, co daje odwagę. I coby zrobili biedni *kalaszowie*, synowie chłopów i rybaków, niedawno zaciągnięci — bez rozeznania? Wierzą w twoją siłę — i w twoją potęgę — bo gdyby nie to — — A czy cię pomszczą ci biali, którzy zjawili się tak nagle? Siedzą tu jak ryby w matni. *Ya-wa!* Kto przyniesie o tobie wieści i kto przybędzie aby wykryć prawdę — a może i zabrać twe ciało? Wyruszasz sam, tuanie!

— Nie można dopuszczać do walki. Toby było nieszczęście — nalegał Lingard. — Jest krew, której przełać nie wolno.

— Posłuchaj mnie, tuanie! — zawołał Wasub z ogniem. — Woda biegnie teraz ku morzu. — Podkreślał słowa lekkimi targnięciami ciała w stronę czółenka. — Woda odpływa i będzie wracała w oznaczonym czasie. A gdyby między przyływem jej i odpływem wylano do morza krew wszystkich ludzi na świecie, woda nie podniosłaby się o szerokość paznokcia na moim palcu.

— Ale świat nie byłby już tym samym. Tego nie rozumiesz, *serangu*. Pchnij mocno łódkę.

— Natychmiast — rzekł stary Malaj i twarz jego zobojętniała. — Tuan wie najlepiej kiedy odjechać, a śmierć cofa się czasem przed stanowczym krokiem — jak spłoszony wąż. Tuan powinien wziąć z sobą towarzysza; nie głupiego młodzika, ale człowieka, który dużo przeżył — który ma serce spokojne, któryby siedł za nim cicho — i cicho. Tak. Szedłby cicho, miałby

oczy bystre — jak moje — i miałyby może broń — ja ciosy zadawać umiem.

Lingard patrzył na pomarszczoną twarz, przysuniętą bardzo blisko do jego twarzy i na wpatrzone w niego stare oczy. Jaśniały dziwnie. Żarliwe pragnienie wyrażało się w skurczonej postaci, podanej ku niemu. Z drugiej strony, na odległość ramienia, noc stała jak mur — zniechęcająca — mętna — nieprzenikniona. Żadna pomoc nicby tu nie znaczyła. Ciemność, z którą musiał walczyć, zbyt była nieuchwytna, by dało się roztrącić ją ciosem — zbyt gęsta, by wzrok mógł ją przeniknąć; ale — jakby czar jakiś się mieścił w słowach niosących daremną ofiarę wierności, ciemność ta stała się mniej obezwładniająca dla oczu Lingarda, mniej druzgocząca dla jego myśli. Ogarnęła go przez chwilę дума, która ukoiliła mu serce na przeciąg dwóch uderzeń. Jego nierozsądne i zapoznane serce, wzdrygające się przed groźbą przegranej, rozprężyło się swobodnie w uczuciu szlachetnej wdzięczności. Wśród groźnego półmroku przeżytych przez niego wzruszeń, propozycja tego człowieka stała się jasnym punktem — przeblyskiem pochodni trzymanej wysoko wśród nocy. To było bezcenne, oczywiście, ale daremne; za drobne, za dalekie, za samotne. Nie rozpraszało tajemniczego cienia, który zstąpił na los Lingarda, tak, że jego oczy nie mogły dostrzec dzieła jego rąk. Posępność kłęski przeniknęła świat.

— A cóżbyś mógł uczynić, o Wasubie? — rzekł Lingard.

— Mógłbym zawsze zawołać: strzeż się, tuanie!

— A przecież znam jeszcze zaklęcia. Co? Odzegnują niebezpieczeństwo, prawda? Ale mógłbyś mimo to zgiąć. Zdrada, to także silny czar — jak sam powiedziałeś.

— Tak, zaiste! Twój sługa mógłby odebrać rozkaz. Lecz ja — Wasub — syn wolnego człowieka, zasznik radzów, zbieg, niewolnik, pielgrzym — nurek łowiący perły, *serang* na statkach białych ludzi — miałem za wielu panów. Za wielu. Ty jesteś ostatnim. — Po chwili milczenia rzekł prawie obojętnym głosem: — Jeśli masz wyruszyć, tuanie, pozwól, abyśmy wyruszyli razem.

Przez jakiś czas Lingard nie odzywał się wcale.

— Nie — rzekł w końcu. Nie trzeba, *serangu*. Jedno życie wystarczy na okup za ludzkie szaleństwo — a ty masz dom.

— Dwa domy, tuanie; ale upłynęło już wiele czasu, odkąd siedziałem na drabinie wiodącej do mego domu i rozmawiałem swobodnie z sąsiadami. Tak. Dwa domy; jeden na — — Lingard uśmiechnął się zlekka. — Tuanie, dozwól mi z sobą wyruszyć.

— Nie. Powiedziałaś to, *serangu*: jestem sam. To jest prawda; i sam wyruszę dziś w nocy. Ale przedtem muszę sprowadzić tu wszystkich białych ludzi. Pchnij czółno!

— Jesteś gotów, tuanie? Uważaj!

Ciało Wasuba zgięło się nad morzem z wyciągniętymi ramionami. Lingard ujął wiosła, a gdy czółenko odskoczyło od brygu, widok oświetlonej rufy odsłonił się w całej pełni: nadąsany i zgębiony Shaw, oparty ciężko o tylną poręcz, ludzie trzymający pochodnie, wyprostowani i sztywni, głowy wzdłuż poręczy, oczy wpatrzone z nad burty w Lingarda. Przód brygu spowijała mroczna mgła, miejscami prześwietlona, posępna mieszanina ciemności i światła; strzeliste maszty, które można było wyśledzić po strzępiastych błyskach, znikały w górze, jakby ich słupy dość były wysokie,

by przebić ciężką masę oparów wiszących nieruchomo nad głowami. Statek był piękny i bezcenny. Rozkożane oczy Lingarda patrzyły nań, gdy tak tkwił nieruchomo w chwiejnej aureoli między niewidocznem niebem i niewidocznem morzem, niby cudowny okręt zawieszony w powietrzu. Lingard odwrócił głowę, jakby nie mógł znieść tego widoku w chwili rozstania i gdy czótenko minęło granicę światła rzuconego na wodę, ujrzał bardzo nisko w czarnej pustce zachodu latarnię na rufie jachtu, błyszczącą nikle jak gwiazda mająca zająć niebawem, niedosiężna, nieskończenie odległa — należąca do innego świata.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO



INSTYTUT
BADAŃ I PRAC
BIBLIOTEKI
ul. Nowy Świat 72
00-000 WARSZAWA
Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

PISMA ZBIOROWE
JOSEPHA CONRADA

(KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

Z przedmową Stefana Żeromskiego

TOM IX i IX-a

NOSTROMO

POWIEŚĆ Z POBRZEŻA MORSKIEGO

Z przedmową i portretem autora

Tom I. Srebro kopalni — Izabele.

Tom II. Latarnia morska.

Przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

2 tomy, str. 640 zł. 18.—.

„W powieści „Nostromo“ (przezwiśko Włocha, przybysza do rzeczypospolitej południowo-amerykańskiej Costaguana), — mamy olbrzymie mrowisko, gdzie się przesuują obrazy gromadzenia niezmiernych bogactw. Szaleją najbardziej rozkielznane pasje, uwidoczniła jest chciwość, oszukująca w sposób najbardziej podstępny czyste zamysły patrioty, przewala się iście zwierzęce okrucieństwo, działają instynkty najpodlejsze i pracują najszlachetniejsze pobudki marzycieli. Mamy tam typy przepyszne, jak owego milczącego fanatyka Goulda, dyktatora Ribieri, młodego dziennikarza Decouda, a przede wszystkim samego „Nostromo“, — które stawiają to dzieło w rzędzie pierwszorzędných kreacyj artystycznych.

Opowieść, w której główne światło skierowane jest na postać Włocha Nostromo, wskutek wciągnięcia w akcję szeregu figur świetnie narysowanych, przemienia się ostatecznie na historję nie tylko awantur i zaburzeń w jakiejś mieścinie Sulaco, czy w południowo-amerykańskich kopalniach srebra San Tomé, lecz na dzieje rewolucji wogóle. Innemi przeprowadzone środkami i inne malujące strony kuli ziemskiej, dzieło to staje obok „The Revolt of Islam“ Percy Byshe Shelley'a“.

Oto mocne zdanie o tem arcydziele Stefana Żeromskiego, wyjęte z jego przedmowy do zbiorowego wydania pism Conrada. Cóż można więcej do tych słów dodać? Nic ponadto: Czytaj i rozkoszuj się treścią tego arcydzieła literackiego.

WYDAWNICTWO DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

<http://rcin.org.pl>

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

SP. AKC. W WARSZAWIE, PLAC TRZECH KRZYŻY 8

POLECA POWIEŚCI:

- Augustynowicz Jan.* KSIĄDZ PROT. Historia ludzka.
Wydanie trzecie, na nowo przez autora opracow. 4.80
- Augustynowicz Jan.* PIEKŁO. Pieśń życia i śmierci. 8.—
- Conrad Joseph.* MURZYN Z ZAŁOGI „NARCYZA“ 6.—
- NOSTROMO. Pow. z wybrzeża morskiego 2 tomy 18.—
- OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE 4.—
- SZALEŃSTWO ALMAYERA 8.—
- TAJFUN. Przekład B. Rychlińskiego 3.80
- WŚRÓD PRĄDÓW 6.—
- MIĘDZY ŁADEM A MORZEM 7.—
- Gąsiorowski Wacław (Wiestaw Sclavus).* BEM. Powieść historyczna z czasów powstania listop. 8.—
- CZARNY GENERAL. Powieść historyczna . 9.—
- EMILJA PLATER. Powieść z 1831 r. 9.—
- HURAGAN. Powieść historyczna w 3 tomach 18.—
- KRÓLOBÓJCY. Historia carów rosyjskich . . 10.—
- KSIĘŻNA ŁOWICKA. Powieść hist. w 2 tomach 10.—
- ROK 1809. Powieść historyczna w 2 tomach 10.—
- SZWOLEŻEROWIE GWARDJI. Powieść hist. 7.—
- Jeleńska E.* DWÓR W HALINISZKACH. Powieść współczesna. 2 tomy 10.—
- Łubieński H.* RYCERZE ŚMIERCI. Powieść z 1863 r. 8.—
- Marion.* ROZBITE GNIAZDA. Opowieść o szarych ludziach 4.80
- Nikorowicz I.* NIEŚMIERTELNY KOCHANEK . 3.—
- Pollak J. dr.* ZBŁĄKANY PIELGRZYM. Powieść 7.50
- Relidzyński J.* POWRÓT Z TAMTEGO ŚWIATA 9.—
- Rzewuski A. hr.* ZE STRZELBĄ NA RAMIENIU 8.—
- Zahorska A. (Savitri).* TRUCIZNY. Powieść współcz. 6.60
- Żmichowska N.* CZY TO POWIEŚĆ? Z przedm. Boy'a 6.50
- WYDAWNICTWA ILUSTROWANE:
- Album Ostrobramskie.* Podług zdjęć Prof. J. Bułhaka.
Tekst pióra Prof. M. Limanowskiego. 20 plansz 2.—
- Gliński A. J.* BAJARZ POLSKI. Baśnie, powieści i gawędy ludowe z barwnymi rycinami Hoppena 12.50
- Warszawa. Varsovie. Warsaw.* Piękne album Warszawy z tekstem w 3 językach. Tekst ułożyli Al. Janowski i St. Lewicki. 68 plansz . . . 8.—

or

1

F

497